TADEUSZ BIEDZKI

Sen pod baobabem

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Tadeusz Biedzki

Sen pod baobabem

Wydawnictwo Zysk i S-ka

Sen pod baobabem

Wandzi

Biały mężczyzna przyjechał do nas, dobra kobieta przybyła z nim. Bawią i cieszą się razem z nami, bawią i cieszą się razem z nami. Niechaj spodoba się im u nas, niech pokochają naszą rzekę i pozostaną z nami na zawsze. Czy będą u nas szczęśliwi? Niech będą u nas szczęśliwi.

Pieśń griotów

Wstęp

Bamako

Policjant poprawia mundur, bierze oddech i wkłada rękę w boczną kieszeń torby. Wkłada ją dokładnie tam, gdzie Xavier schował paczki z białym proszkiem. Widać, że wie, gdzie szukać. Ma pewną minę, wie, czego szuka i gdzie to jest. Uważnie grzebie w kieszeni. Najpierw z brzegu, potem głębiej i jeszcze głębiej. I wciąż patrzy prosto w oczy, to moje, to Wandy. Z jego twarzy bije pewność siebie i przeświadczenie, że za chwilę osiągnie sukces i zasłuży na pochwałę przełożonych. A może nawet na nagrodę.

Mija minuta, potem druga.

– Nic nie ma, pusto – mówi zaskoczony do stojących obok cywilów.

– Druga kieszeń! – rozkazuje cywil.

Policjant wsuwa rękę do kieszeni z drugiej strony torby. Szuka skrupulatnie, spokojnie maca centymetr po centymetrze. A potem coraz bardziej nerwowo. Na jego twarzy malują się zdziwienie, zakłopotanie i zawód, jakby nie mógł uwierzyć, że tego, czego poszukuje, nie ma, że sukces wymyka mu się z rąk.

Gdyby znalazł te narkotyki, wrócilibyśmy do Polski w trumnach. Żaden biały nie przeżyje dziesięciu lat w malijskim więzieniu.

Rozdział 1

Dom niewolników

NDEYE FAMA GUENE

Dakar

Kilka miesięcy wcześniej Wanda powiedziała, że jedzie ze mną. Torby miała spakowane. Przez następne dni przeglądała atlasy i ściągała coś z Internetu. Potem położyła na biurko zszyty plik papierów. Były tam mapy, informacje o krajach i miastach, ludziach i przyrodzie. W księgarniach nie było żadnych przewodników, map ani książek. Do Afryki Zachodniej mało kto podróżuje i nie opłaca się ich wydawać.

– Czuję, że to nie będzie bezpieczna wyprawa – powiedziała Wanda, wchodząc do samolotu. Nie przypuszczaliśmy wówczas, że to prorocze słowa.

Boeing 767 ląduje w Dakarze kilka minut przed północą. Mimo później pory upał. Wokół tłumy tragarzy i taksówkarzy przekonują, że ich auto jest najlepsze. Ale dla nas ważne jest, czy Xavier nas pozna. W tych ciemnościach i zalewie czarnych, rozkrzyczanych twarzy my z pewnością go nie rozpoznamy. Wanda nie widziała go nigdy, ja tylko raz.

Xavier to Malijczyk, który od lat mieszka we Francji. Kiedyś Wanda poznała jego brata. Zaproponował, że Xavier może być naszym przewodnikiem po Afryce Zachodniej. Teraz więc rozglądamy się wokół. Jeszcze nie wiemy, że byłoby lepiej, gdyby nie przyszedł i gdybyśmy się nigdy nie spotkali.

– Witam państwa! Proszę do samochodu – mówi Xavier.

Rozklekotany, dwudziestokilkuletni fiat uno przecina puste o tej porze ulice Dakaru. W hotelu niespodzianka – na podłodze gliniane garnki przykryte ni to obrusem, ni serwetką. To kolacja przygotowana przez

mieszkającą po drugiej stronie ulicy rodzinę Xaviera. Ryż z sosem cebulowym, ryba z grilla. Świetne danie, ale nie ma sztućców.

– Trzeba jeść rękami – śmieje się Xavier. – U nas je się rękami. Jesteśmy w Afryce.

Ablaye przyjeżdża wczesnym rankiem. Ablaye to siostrzeniec Xaviera, dwudziestojednolatek po przejściach. Dwa lata wcześniej Xavier zabrał go do Francji na studia. Młodzian znalazł się w Europie, o czym marzą wszyscy Afrykanie. Dziewiętnastolatkowi, który pierwszy raz w życiu zobaczył europejskie miasto, studia nie były w głowie. Po pół roku Xavier odesłał go z powrotem do domu. Ale Afrykaninowi, który zakosztuje Europy, niełatwo wracać. Rozumie już, że żyje w gorszym świecie. Ablaye zaczął pić, staczał się na dno. Matka, urzędniczka pocztowa w Dakarze, która przez lata się nim nie zajmowała, bo zawsze ważniejszy był dla niej kolejny mężczyzna życia, zrozumiała, że z synem źle się dzieje. Dwa miesiące temu kupiła zdezelowanego fiata uno i kazała Ablayemu zarabiać. Teraz ma nas wozić. Umowa z Xavierem była co prawda inna – miał wynająć jeepa, bo auta z napędem na cztery koła najlepiej się sprawdzają na afrykańskich wertepach. Teraz przekonuje nas, że inaczej nie mógł.

– Rodzinie trzeba pomagać, ona jest najważniejsza – mówi. – Przyjeżdżam z Europy do Afryki, bo tu jest moja rodzina. A dla rodziny zrobię wszystko. Sami rozumiecie, że nie mogłem wynająć innego auta.

Dakar o poranku jest zatłoczony. Auto skrzeczy i zgrzyta, przednia szyba pęknięta, tylna się nie zamyka, a resorów ten samochód nie ma chyba w ogóle.

– *How are you*, Ablaye? – próbujemy nawiązać kontakt. Ablaye wykrzywia twarz w uśmiechu.

– Mów do niego po francusku – rzuca Xavier. – Tu mało kto mówi po angielsku. Jesteśmy przecież w dawnych koloniach francuskich.

Ablaye nie wygląda na zachwyconego tym, że ma nas wozić. Wolałby w tym czasie zabierać do auta dziewczyny. Ablaye lubi dziewczyny. I w ogóle lubi rozrywkowe życie.

Na szczęście do portu, skąd płyną statki na Gorée, czyli Wyspę Niewolników, nie jest daleko. Gorée jest najdalej wysuniętą na zachód częścią Afryki. Ze wzgórza na zachodnim krańcu wyspy widać Zielony Przylądek. Odkrył go w 1445 roku portugalski kupiec i żeglarz Dinis Dias. Dopłynął z północy, od strony dzisiejszej Mauretanii. Ze zdumieniem stwierdził, że roślinność jest tu bujna, całkiem inna niż w pustynnej Mauretanii. Drzewa były stale zielone, bo zrzucały stare liście, dopiero gdy wyrosły im nowe, a soczysta zieleń sawanny w głębi lądu cieszyła oczy. Dias nazwał odkryty półwysep Zielonym Przylądkiem. Kiedy dziś ogląda się Zielony Przylądek ze wzgórza na Wyspie Niewolników nazwa nie wydaje się trafna. Dawne zielone połacie pokryły brunatno-żółte zabudowania Dakaru. Również nazwa wyspy jest raczej chwytem turystyczno-dydaktycznym. Owszem, wywożono stąd niewolników w świat, głównie w XVIII stuleciu, ale po kilkuset rocznie. Niewiele w porównaniu z setkami tysięcy wysyłanymi z innych miejsc, choćby z położonego trzysta kilometrów na północ Saint-Louis, skąd w 1444 roku wypłynął do Lizbony pierwszy transport z niewolnikami, a po nim setki następnych. Ale w Saint-Louis nie ma wyspy, która tak doskonale nadaje się do prezentacji losu niewolników. Dlatego tutaj przywozi się turystów i szkolne wycieczki.

Niedaleko portu stoi dawny Dom Niewolników, dziś muzeum. Czerwonorudy, piętrowy budynek z dziedzińcem, na który spędzano niewolników, musiał wyglądać strasznie, gdy był wypełniony po brzegi.

Docierali tu z głębi lądu, po wielu dniach katorżniczej podróży. Porwanych, ale często także kupionych od miejscowych kacyków i wodzów, biali handlarze wiązali rzemieniami lub krępowali drewnianymi chomątami zamykanymi żelazną klamrą. Chomąta przykute łańcuchami do długich drągów uniemożliwiały ucieczkę. Tym, którzy po drodze zasłabli i nie mogli iść dalej, podrzynano gardła. Ci, którzy docierali tutaj, a także do wielu innych miejsc handlu niewolnikami, byli krańcowo wycieńczeni. Tu ich segregowano, lokowano na parterze w celach bez okien i odkarmiano. Na piętrze, na które wchodzi się dwoma rzędami półokrągłych schodów, pracowała „administracja". Teraz znajduje się tu ekspozycja zdjęć, rysunków i pism dokumentujących handel ludźmi. Najbardziej symboliczne jest jednak wyjście z budynku umieszczone w wąskim, ciemnym korytarzu pomiędzy celami. Prowadzi wprost na ocean. Wyprowadzani z cel niewolnicy odbywali tędy swoją ostatnią afrykańską drogę. Tutaj ładowano ich na statek, którym odpływali do Europy, Stanów Zjednoczonych i Brazylii. Stąd po raz ostatni widzieli Afrykę.

Kobiety na Gorée (Wyspa Niewolników) są równie kolorowe, jak tutejsze widoki i obrazy miejscowych malarzy

Kiedyś niewolnictwo, a dziś konflikty plemienne i religijne wstrząsają Afryką. Na uniwersytecie w Huye narodziła się ideologia nienawiści Hutu i Tutsi

– Zapamiętajcie to miejsce – mówi nauczyciel do grupy dzieciaków. – Zapamiętajcie na całe życie. Biali okrutnie traktowali naszych przodków. Biali to wstrętni ludzie. Przez nich jesteśmy biedni, a oni żyją w luksusie. Przez wieki wykorzystywali Afrykę i nadal wykorzystują. Nienawidzę białych.

Nauczyciel mówi do dzieci, ale patrzy na nas. Teraz i dzieciaki na nas spoglądają. Czy w ich oczach jesteśmy odpowiedzialni za losy pokoleń niewolników?

Ten straszny proceder trwał cztery wieki. Utrzymywał się długo, bo przynosił niewiarygodne zyski. W Afryce niewolnik kosztował od jednego do półtora funta, w Brazylii płacono za niego czterdzieści-pięćdziesiąt funtów, a w USA nawet ponad tysiąc. Straty, które niewolnictwo wyrządziło Czarnemu Kontynentowi, były ogromne. Na setki lat pogrążyło Afrykę. Przez sto lat, między XVI a XVII wiekiem, tylko z wybrzeża Angoli i Mozambiku wywieziono do Brazylii prawie milion ludzi, czyli po dziesięć tysięcy rocznie. A warto pamiętać, że w tym czasie Afryka wcale nie była gęsto zaludniona. Kraje europejskie zniosły niewolnictwo dopiero w drugiej połowie XVIII wieku (Portugalia – 1761 rok, Wielka Brytania – 1772 rok, Francja – 1794 rok), ale handel ludźmi trwał w najlepsze jeszcze w XIX wieku, a nawet w XX. Działo się tak, pomimo że już pod koniec XVIII wieku Anglicy karali handlarzy niewolników grzywną w wysokości stu funtów za każdego niewolnika. Szacuje się, że mimo zakazu, mimo grzywien, w pierwszej połowie XIX wieku do USA wywieziono z Afryki jeszcze trzysta tysięcy ludzi.

O niewolnikach XX wieku wspominał polski podróżnik i awanturnik Krzysztof Czyżewski, który spędził w Afryce piętnaście lat. W 1954 roku, gdy jechał z Nairobi do Chartumu, za notował: „(…) w południowym Sudanie wybuchły w tym czasie jakieś lokalne zamieszki i podróż groziła

niebezpieczeństwem zarówno ze strony walczących, jak i różnych band rozbójniczych. Te ostatnie zapuszczały się spod granicy abisyńskiej aż w głąb kraju, rabując i paląc murzyńskie wioski i biorąc niewolników, którymi handel do dziś uprawiany jest w całej Abisynii”[1]. Wspomina też, że w tym samym czasie w Sudanie popularne było niewolnictwo dobrowolne. Kandydaci na niewolników pojawiali się na targu, gdzie odbywała się licytacja – kto dał więcej, zabierał niewolnika na ustalony wcześniej czas, od kilku miesięcy do pół roku. Nabywca deklarował, że nie będzie karał niewolnika większą ilością kijów niż dwadzieścia pięć na raz. Czyżewski tak opisywał ten proceder: „Pisarz podniósł się ze stolika i uderzył kilkakrotnie grubym bambusem w stół. Znowu zaległa pełna napięcia cisza. Facet z kolczykiem w uchu podszedł do grupy golasów, wziął jednego z nich za rękę i wyprowadził na środek. Wymawiał głośno jego imię i nazwę wioski, z której pochodził. Z kolei golas zaczął przed grupą licytantów demonstrować swe mięśnie, uczynił kilka szybkich przysiadów i kilka podskoków (…). Ktoś wymienił dwanaście, inny – trzynaście, czternaście, piętnaście, piętnaście, piętnaście! Pisarz uderzył bambusem. Z tłumu wysunął się drobny człeczyna i podszedł do stołu. Spisano akt, plantator wypłacił jakąś sumę dla prowadzących licytację oraz za sporządzenie aktu. Schował w zanadrze zawiniątko z pieniędzmi i zabrał ze sobą nabytego niewolnika”[2]. Do dziś niewolników mają też Tuaregowie żyjący na Saharze. I choć nie mówią o tym głośno, to jednak jakoś szczególnie się z tym nie kryją.

Wyspa Gorée jest jednym z najważniejszych symboli niewolniczego procederu. Niedaleko Domu Niewolników, niemal zaraz za portem, stoi pomnik niewolnika zrywającego łańcuchy. Te dwa obiekty przypominają dziś ten ponury rozdział historii Afryki. Ale współczesne Gorée to skansen zdominowany przez sprzedawców pamiątek: rzeźb w drewnie, malowideł

na płótnie, batików oraz obrazów malowanych na piasku. Na wielu obrazach powtarza się motyw trzech kobiet niosących dzbany z wodą na głowie.

Nie czekaliśmy długo, gdy trzy kobiety z obrazu ożyły i stanęły przed nami. W wąskiej uliczce kolorowo ubrane dziewczyny niosą wodę w dzbanach na głowie.

– Oddaj moje fotografie! – krzyczy najmłodsza. Jest wściekła, że robimy zdjęcia. – Oddaj je!

Obietnica, że wyślemy fotki pocztą, łagodzi nastroje. Dziewczyny już nie są złe, uśmiechają się i proponują herbatę. Emocje, jak gwałtownie wybuchły, tak szybko opadają. Kilka godzin później kamieniarz, filmowany na najładniejszym bulwarze Dakaru nad Oceanem Atlantyckim, dostaje szału. Chce wyrwać kamerę, gotów się bić. Tak jak wcześniej dziewczyny sądzi, że wykorzystamy jego zdjęcia, by na nich zarobić. Afrykanie niezmiennie uważają, że nadal są wykorzystywani przez białych, że to wciąż rodzaj niewolnictwa, tyle że w innej formie. Konflikt z kamieniarzem staje się coraz groźniejszy. Murzyn jest wściekły. Łagodne słowa i gesty nie pomagają. Wyciągam pięć euro. Odtrąca rękę.

– Chcę tysiąc! – krzyczy.

Wokół zbierają się ludzie. Pozostaje ostatnia, sprawdzona w Afryce, metoda. Groźna mina, ostre słowa, krzyk. Kamieniarz w okamgnieniu pokornieje. Tak, Afrykanie nadal boją się ostrej reakcji białego. To smutna pozostałość niewolniczej przeszłości.

Biura wyglądają okropnie. Brudny budynek, zaniedbane pokoje, odpadający tynk, ściany niemalowane od lat. Meble są byle jakie, jakieś półki, szafy i zniszczone biurka oraz komputery sprzed piętnastu lat.

Właśnie tutaj, do firmy znajomego w centrum Dakaru, Xavier zaprasza na lunch.

Na stoliku stoi duża misa z ryżem, sosem i rybą. Urzędniczki uśmiechają się i wręczają łyżki. Jemy wspólnie, z jednej michy, razem chyba z dziesięć osób. Szef biura, jowialny Murzyn po czterdziestce, oblizuje swoją łyżkę, a potem dzieli nią rybę. I tą oblizaną właśnie łyżką podrzuca nam co lepsze kawałki. Bo o gości trzeba dbać, gościnność to afrykańska powinność. Gdybyśmy tu przyszli bez Xaviera, przypadkowo trafili na ten lunch, też zaprosiliby nas do wspólnej miski. Ci ludzie mają niewiele, ale dzielić potrafią się wspaniale. Tego samego oczekują od białych. Jak masz – podziel się. Nieważne, czy to butelka wody czy tysiąc euro. Jeżeli masz – podziel się. Tak pojmowana solidarność często rodzi konflikty między białymi i czarnymi w Afryce. Czarni mają mało i dzielą się chętnie, biali posiadają dużo, ale dzielić się nie chcą. Różnica w postrzeganiu tego, co wspólne, przekłada się na zupełnie inny stosunek do drugiego człowieka. To jedna z przyczyn, która sprawia, że Afryka nie rozumie świata, a świat Afryki.

Wanda uśmiecha się trochę nieszczęśliwie, gdy szef biura odgryza kawałek ryby, wyjmuje z ust i kładzie jej na łyżkę. Jak przełknąć ten dowód życzliwości?

– Jestem już syta, dziękuję bardzo – usprawiedliwia się.

Dziewczyny śmieją się do rozpuku. A Xavier brudną ręką sięga do miski i je, jakby nie robił tego od tygodnia.

Teraz pora na herbatę. Mieszanka z mięty i ziół, mocno posłodzona i wielokrotnie przelewana z metalowego czajniczka do maleńkich szklaneczek i z powrotem. Ta ceremonia przelewania herbaty ma praktyczne znaczenie, bo wskutek napowietrzania herbata staje się smaczniejsza.

– Spróbujcie – mówią.

Napój jest znakomity. Kilkanaście osób pije z dwóch szklaneczek. Pierwsze parzenie, potem drugie i trzecie. Herbata za każdym razem smakuje inaczej – za pierwszym jest najbardziej aromatyczna, za ostatnim najłagodniejsza i najsłodsza. I choć szklaneczki są lepkie od cukru i oślinione, nie wypada odmówić poczęstunku.

Dakar to trzymilionowa metropolia i jak na Afrykę eleganckie miasto. Sporo tu kolonialnych budowli, trochę wieżowców. Na placu Niepodległości, w samym centrum, wznosi się piękny kolonialny budynek – dziś Izba Handlowa. Naprzeciw duży hotel. Wszędzie meczety, bo ponad dziewięćdziesiąt procent ludności wyznaje islam. No i mnóstwo pomników.

Z powodu jednego pomnika doszło do zamieszek i konfliktu muzułmanów z katolikami. Pięćdziesięciometrowy, wyższy od nowojorskiej Statuy Wolności monument przedstawia kobietę, mężczyznę i dziecko, co ma symbolizować afrykańskie odrodzenie. Ale imamowie skrytykowali budowlę, twierdząc, że jest sprzeczna z kanonami islamu, bo przedmiotem czci nie może być wizerunek człowieka. Tym bardziej że postacie na pomniku są półnagie, co już zupełnie obraża muzułmanów. Dodatkowe kontrowersje wzbudził koszt budowy – dwadzieścia siedem milionów dolarów, kwota tutaj niebotyczna. Mimo tego – jedną trzecią dochodów z biletów przyznano prezydentowi Senegalu Abdoulaye Wade jako pomysłodawcy i projektantowi. Muzułmanie rozpoczęli protesty. Prezydent, by odeprzeć zarzuty, powiedział, że chrześcijanie modlą się przecież do „człowieka, którego zwą Jezusem” i którego muzułmanie uważają za proroka. To z kolei rozsierdziło katolików. Arcybiskup Dakaru oskarżył prezydenta o obrazę mniejszości chrześcijańskiej. „Jesteśmy wstrząśnięci porównaniem pomnika z wizerunkami Jezusa znajdującymi się w naszych kościołach – mówił. – Skandaliczne jest wyśmiewanie i

podważanie boskości Chrystusa, rdzenia naszej religii, przez najwyższe władze państwowe”.Kilkuset katolików urządziło demonstrację przed katedrą. Kiedy policja próbowała ich rozpędzić, doszło do bitwy na kamienie i pałki.

Od tamtej pory minęło trochę czasu, ale napięcie na linii muzułmanie – chrześcijanie pozostało. W kraju, który dotąd znany był z tolerancji wobec chrześcijańskiej mniejszości, czuje się niezdrową atmosferę.

– To wina katolików – mówi Xavier. – Powinni wynieść się do Watykanu.

Takie wyznanie zaskakuje. Xavier jest muzułmaninem, dziś modlił się już trzy razy, ale przecież od lat mieszka w Europie. Skąd tyle nietolerancji?

– Czy we Francji dokuczają ci, dlatego że jesteś muzułmaninem? – pytam.

– Niechby ktoś spróbował – denerwuje się. – Zgłosiłbym to na policję. Nie odpuściłbym.

– Dlaczego chcesz, by katolicy wynieśli się do Watykanu? Przecież Senegal to tolerancyjny kraj.

– Nie znoszę tolerancji. Żaden porządny muzułmanin nie może być tolerancyjny w sprawie wiary. Bo tylko islam jest drogą do Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem. Inne religie trzeba wytępić, zniszczyć. I tak się stanie. Kiedyś cały świat będzie islamski. Nie będzie innych religii. Zburzymy wszystkie świątynie, pozostaną tylko meczety. Zostawimy Watykan, niech katolicy zamkną się w tym skansenie – nie potrafi powstrzymać wybuchu złości.

Patrzę na niego z zaskoczeniem. Czterdziestoletni, wykształcony Malijczyk. Nie znałem go wcześniej i teraz wypada zaakceptować go takim, jaki jest. O religii nie będziemy już rozmawiać. Za to o sztuce afrykańskiej owszem. Uwielbia ją. Zachwala wyroby afrykańskiego

rzemiosła artystycznego. Uważa je za najładniejsze na świecie. Tak jak wszystko, co afrykańskie. Już wkrótce okaże się, że jest afrykańskim szowinistą.

Na targach wyrobów artystycznych, zwanych w Afryce Zachodniej *artisana*, można znaleźć ciekawe wyroby: figurki z metalu i rzeźbione w drewnie, fantastyczne maski, korale, obrazy. Ale dakarska *artisana* rozczarowuje. Ładniejsze rzeczy widzieliśmy na Gorée. Tu nie warto robić zakupów.

– Pokażę wam Sandagę – proponuje Xavier.

Sandaga to największy miejski targ, na którym można znaleźć absolutnie wszystko. Wanda podziwia piękne chusty i nie może oderwać wzroku od afrykańsko kolorowych materiałów. W straszliwym tłoku po raz kolejny wyjmuje portfel i kupuje tkaninę.

– Chodźcie już, chodźcie! – pogania Xavier.

– Jeszcze chwila – prosi Wanda.

– Nie ma mowy! – W jego głosie brzmi rozkazujący ton. – Idziemy na Marché Kemal. To bardziej interesujący targ. I ja tam mam swoje interesy. Tak zdecydowałem, rozumiesz?

Spoglądam na niego ze zdumieniem. Zachowuje się nie jak przewodnik, lecz dowódca. Dziś rankiem dałem mu sporą kwotę i ustaliłem, że resztę dostanie pod koniec podróży. Co prawda nie podobało mu się, że nie wszystkie pieniądze otrzyma od razu, ale musiał to zaakceptować. Ta część wystarczy na hotele, transport, posiłki, napoje. A także na jego wynagrodzenie, które wyliczył na półtora tysiąca euro. To w Afryce ogromne pieniądze.

– To ja decyduję! – Łapię Xaviera za ramię. Mówię twardym, doniosłym głosem. – Jak ci się nie podoba, oddaj pieniądze i rozstajemy się.

Xavier pokornieje.

– Dobrze, dobrze – mówi. – Ale chodźcie ze mną na Marché Kemal. Ja koniecznie muszę tam być. Zobaczycie ciekawy targ.

Marché Kemal rzeczywiście warto zobaczyć. Wyroby artystyczne są tu ładniejsze niż na *artisanie*. Wanda ogląda korale, ja maski. Xavier zniknął. Nagle miga gdzieś za rogiem stoiska.

– Xavier! – wołam.

Nie słyszy w tym gwarze. Za stoiskiem, gdzie zniknął, jest wąskie przejście.

– Nie idź tam! – mówi młoda kobieta w kolorowej sukni. – Nie idź! Posłuchaj mojej rady.

Z tyłu maleńki, niewiarygodnie zaśmiecony placyk. Xavier rozmawia z młodym Murzynem. W ręku trzyma wiązkę trawy. Spod trawy wystaje biały pakunek.

Młody Senegalczyk dostrzega mnie pierwszy.

– Kto to jest?! – krzyczy.

– Spokojnie, spokojnie, to przyjaciel – uspokaja go Xavier.

Przechodzą na wolof. Wolofowie to duże plemię zamieszkujące Afrykę Zachodnią. Mają swoje narzecze, w którym niewiele jest francuskich słów. Xavier i Senegalczyk gestykulują gwałtownie. Obaj są zdenerwowani. Nic nie rozumiem.

– Idź stąd! – Xavier patrzy na mnie spode łba.

– Co to jest? – Wskazuję na pakunek.

Xavier chowa go do plastikowej torby i przykrywa trawą. Młody Senegalczyk znika.

– Co to jest? – cedzę przez zęby. – Narkotyki?

– Zwariowałeś! – Śmieje się. Uśmiech ma sztuczny, jest zdenerwowany. – To tylko mieszanka mielonych ziół, nie narkotyki. Muszę to zawieźć do

Saint-Louis. Naprawdę nie ma problemu. Nie rób kłopotów.

– Nie jedziesz z nami do Saint-Louis! – Gorączkowo zastanawiam się, co zrobić. – Oddaj pieniądze i rozstajemy się.

– Nie oddam, bo nie mam – mówi. – Właśnie je wydałem. I nie rób problemów, dojedziemy do Saint-Louis, tam ci oddam.

Wszystko jasne. Za nasze pieniądze kupił narkotyki. Sprzeda je w Saint-Louis. Nie mamy wyjścia, jeśli chcemy odzyskać pieniądze. Ale to niebezpieczne. Do Saint-Louis jest trzysta kilometrów, a na drodze policyjne bariery. Wiele barier. Przed wyjazdem z miasta, przed wjazdem do miasta, przy byle targu lub w ogóle na pustkowiu. Tak jest niemal w całej Afryce – policjanci zatrzymują pojazdy, by wziąć łapówkę. Nawet nie szukają pretekstu. Łapówka należy się i tyle. Chcesz jechać dalej – musisz zapłacić. Czasem tysiąc franków zachodnioafrykańskich, czyli niecałe sześć złotych, czasem wystarczy pięćset. Białych traktuje się inaczej. Tylko najbardziej bezczelni policjanci żądają od nich łapówek. Większość żandarmów uważa, iż przed białymi należy ukryć, że korupcja to normalna zasada życia gospodarczego. Zasada, z którą nikt nie walczy.

– Jedziesz innym samochodem niż my – mówię.

– Jadę z wami – cedzi każde słowo. – Nie mam już kasy, rozumiesz? A poza tym z wami będzie bezpieczniej. Samochodu z białymi nie będą sprawdzać.

Sprytnie to wymyślił. Będziemy gwarancją jego bezpieczeństwa. A poza tym, gdyby jednak policja znalazła paczuszkę, powie, że to nasza. No bo oczywiście to biali handlują narkotykami, wykorzystują Afrykę i zarabiają na niej. Kto nam uwierzy? W Senegalu za handel narkotykami grozi wieloletnie więzienie. Sytuacja staje się beznadziejna.

– Jesteś przestępcą! – krzyczę. – Jesteś bandytą!

– Jestem biznesmenem – mówi i śmieje mi się prosto w twarz. Już wie, że nie mamy wyjścia, że postawił na swoim.

Wracamy. Wanda rozgląda się z niepokojem.

– No, nareszcie jesteś. Już się martwiłam. Popatrz na zakupy. – Wskazuje korale i maski.

Nie zamierzam jej mówić o narkotykach. Wystarczy, że jedno z nas się denerwuje.

---

[1] K. Czyżewski, W *afrykańskiej dżungli, buszu i pustyni*, Warszawa 1964.
[2] Ibidem.

Plaże atlantyckie w pobliżu ludzkich siedzib są jednym wielkim śmietnikiem. Na zdjęciu: plaża przy jednym z dakarskich hoteli

Rozdział 2

Biała Murzynka

Ablaye zatrzymuje samochód. Jesteśmy na drodze wyjazdowej z Dakaru. Bariera policyjna. Uśmiechnięty policjant podchodzi do auta. Drugi każe otworzyć bagażnik starej toyoty stojącej przed nami. Narkotyki leżą w plastikowej torbie między walizką Xaviera a naszymi bagażami. Chciałem, by tę torbę włożył do swojej walizki, ale nie jest głupi. Policjant wyciąga rękę po pieniądze, spogląda w głąb auta, dostrzega białych i cofa dłoń.

– Możecie jechać – mówi.

– No widzisz – śmieje się Xavier – nic nam nie grozi. Jest dobrze.

Wcale nie jest dobrze. Nie tylko z powodu narkotyków. Choć jeszcze wczoraj spędziliśmy miły wieczór z rodziną Aptonów. To ci, którzy przynieśli pierwszą kolację do hotelu. Mieszkają w sąsiedztwie, w domku szeregowym. Te domki szeregowe to rodzaj piętrowych baraków. Betonowa podłoga, betonowe schody na górę. W domu mieszka kilkanaście osób. Nikt nie pracuje, żyją z tego, co okazyjnie zarobią. Ten wieczór będzie dla nich udany. Xavier zapłaci za kolację pięćdziesiąt euro. Starczy im na miesiąc. Kolacja oczywiście na podłodze ze wspólnej miski. Smaczna – sałatka, jajka, ziemniaki, marynowane pomidory. Najdroższe w tym zestawie są słodkie ziemniaki. Tutaj to rarytas.

Późnym wieczorem mężczyźni odprowadzają nas do hotelu.

– To niedaleko, ale lepiej, żeby biali nie chodzili sami nocą po tej części Dakaru – mówi Mbambu, student, który wie, że nigdy studiów nie skończy. – Bo jak skończysz studia, musisz dostać pracę – wyjaśnia. – Taki jest obowiązek państwa. A pracy nie ma. Państwo i uczelnia zadbają więc, żebym nie skończył studiów.

Prawda to czy po prostu oblał egzaminy? Xavier mówi, że tak jest w Senegalu.

– A może byś zabrał mnie na studia do Polski? – pyta Mbambu.

– Najpierw mnie zabierze – przerywa mu Ablaye. Wciąż nie może zapomnieć europejskich luksusów. Od propozycji zabrania do Polski nie będzie się można opędzić do końca podróży. Ale nie dlatego i nie tylko z powodu narkotyków nie jest dobrze. Dziś rano, gdy Ablaye przyjechał pod hotel, w przednim lewym kole prawie nie było powietrza.

– Musisz dopompować – mówię.

Przez dwadzieścia minut biegał po sąsiednich domach i szukał pompki. Teraz leniwie pompuje. A jak już zaczął, nie może skończyć.

– Za dużo powietrza, Ablaye, upuść trochę, opona może pęknąć.

Zadowolony kończy. I wtedy okazuje się, że przednie koło jest przykręcone na trzy śruby. Czwarta złamana.

– Trzeba wymienić tę śrubę, Ablaye.

– *No problem*. – Jedyne dwa angielskie słowa, które zna, wypowiada z namaszczeniem. – *No problem* – powtarza i dodaje po francusku: – Ja już z dwoma śrubami jeździłem. Auto dobre, nic się nie stanie.

No problem to wielki afrykański problem. Afrykanie nie widzą problemu w niczym, nawet gdy sprawa jest naprawdę poważna. Chłodnica bez wody – *no problem*, auto jeszcze przecież jedzie. Samochód zepsuty i nie może jechać – *no problem*, przecież da się naprawić. Hotel niezarezerwowany i nie ma miejsc – *no problem*, znajdzie się inny. Telefon komórkowy się zgubił – *no problem*, czy to jedyny telefon na świecie? Pieniądze wydano nie na to, co trzeba, śniadanie, tak jak dziś rano, niezałatwione, rachunek za hotel nieuregulowany, to, co może się zdarzyć za kilka dni – wszystko *no problem*. Niefrasobliwość i nieodpowiedzialność Afrykanów jest niewiarygodna i niespotykana nigdzie indziej w świecie.

Życie się toczy, tak jak się toczy, a kiedy pojawiają się kłopoty, to żyje się z nimi, albo – jeszcze lepiej – obok nich. Nic nie jest na tyle istotne, by poważnie się martwić, a już broń Boże na zapas. Problemy są nie po to, by je rozwiązywać. Kiedy powstają, najlepiej machnąć na nie ręką. To nie jedyna, ale jedna z najpoważniejszych przyczyn dramatu Afryki – biedy i niepowodzeń. Ta wada zakorzeniona jest głęboko w mentalności Afrykanów i nie potrafią oni ani nie chcą z nią walczyć. Nawet gdy przyjeżdżają do Europy. Xavier, który lata spędził we Francji, zaserwuje nam jeszcze nie raz tę cechę.

– Ablaye, tu miałeś skręcić w lewo! – krzyczy Xavier.

– *No problem* – stwierdza Ablaye. Zwalnia i zjeżdża na pobocze. Powoli zawraca i pod prąd pędzi jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów do skrzyżowania, które minął. Naprzeciw autobusy, ciężarówki, mnóstwo aut osobowych i motocykli. Kierowcy trąbią na nasze uno, ale omijają je bezbłędnie. Nikt się nie złości, nikt nie krzyczy. Europejski kierowca, zanim dojechałby pod prąd do skrzyżowania, dostałby zawału, ale Ablaye jedzie z uśmiechem. *No problem*, to tylko dwieście pięćdziesiąt metrów. Musi przecież jakoś wrócić do skrzyżowania, skoro je minął.

Taka jazda jest standardem. Przepisy drogowe obowiązują, a jakże, ale ich przestrzeganie to już zupełnie inna sprawa. Aż dziw, że te karkołomne wyczyny nie kończą się katastrofami. Ale wypadków i tak jest dużo.

Kilka dni później, gdy jedziemy z Diourbel do wsi Keur Diouga, na poboczu leży paląca się cysterna. Nikt jej nie gasi. Gdy wracamy nocą, wciąż widać płonące auto. Nie powinniśmy zresztą jechać nocą. Drogi są nieoświetlone, większość pojazdów ma uszkodzony co najmniej jeden reflektor, niektóre w ogóle nie mają świateł, nieoświetlone są wozy zaprzęgnięte w osiołki, nieoświetleni są piesi. Na szczęście ruch jest niewielki, bo wszyscy wiedzą, że nocą w Afryce się nie jeździ. Nagle, ni

stąd, ni zowąd, za naszym uno pojawiają się dwa jeepy. Wyprzedzają nas równocześnie, a z przeciwka nadjeżdża ciężarówka, z jednym, niestety, tylko prawym światłem. Pisk hamulców, zgrzyt, Ablaye wali wprost na pobocze. Skąd w tym miejscu, na całkiem pustej drodze w tym samym momencie znalazły się nagle cztery samochody? Xavier wznosi modły do Allaha, Ablayemu trzęsą się ręce.

Kiedy indziej, w północnej Etiopii, przeprawiając się przez rzekę, zobaczyliśmy ciężarówkę z paką pełną ludzi. Pasażerowie zwisali z niej jak winogrona. Kierowca był pijany. Ponieważ padało, gliniasta droga była bardziej śliska niż lód. Jechaliśmy jeepami bardzo wolno, co chwila wpadając w poślizg. Ciężarówka wyprzedziła nas. Otworzyłem szybę i po chwili usłyszeliśmy potworne krzyki ludzi. Kilkanaście sekund później byliśmy na miejscu. Jedyny w tych okolicach most przecinał szeroką rzekę. Pobocze było zniszczone, a ciężarówka leżała kilka metrów w dole, na brzegu rzeki, przygniatając pasażerów. Wokół leżeli zabici i ranni. Wszędzie pełno krwi. Kilka osób nie doznało większych urazów.

Tyle pozostało z dawnych francuskich koszar w Beninie, podobnie jak z wielu innych budowli kolonialnych w Afryce

Na skraju gambijskiej dżungli, zaledwie 200 kilometrów na południe od Dakaru, można zobaczyć takie „tartaki”

– Trzeba dzwonić po pogotowie! – wołamy.

– Jakie pogotowie? – pyta Balay, nasz kierowca. – Tutaj nie ma żadnego pogotowia.

– Trzeba im pomóc.

– Ani się ważcie – ostrzega Balay. – Jeśli do nich pójdziecie, uznają, że wypadek to wasza wina. Zabiją was. A w najlepszym przypadku zarazicie się AIDS. Połowa z nich ma wirusa HIV.

– To co robić?

– Jedziemy dalej – decyduje Balay. – Kto umrze, ten umrze, kto przeżyje, będzie żył. Tak już u nas jest.

Teraz jednak wracamy pod prąd do skrzyżowania, gdzie należało skręcić. Udaje się szczęśliwie dojechać i skręcić, znów pod prąd, w prawo. Kilkunastokilometrowa droga, pełna dziur i kamieni, prowadzi do jeziora Retba, czyli z francuska Lac Rosé. W porze suchej jest naprawdę różowe i już z daleka widać charakterystyczną bladoróżową powierzchnię wody. Wrażenie robi wspaniałe. Niezwykłe jest też to, że w jeziorze trudno utonąć. To po prostu mocno zasolona dawna laguna, w której soli jest dziesięć razy więcej niż w Oceanie Atlantyckim. Podobnie jak w Morzu Martwym w Izraelu można położyć się na wodzie, bo sól wypycha ciało na powierzchnię. Sól to bogactwo jeziora i zbawienie dla okolicznych mieszkańców. Od wieków stanowi ich źródło utrzymania.

Poławiacze soli pracują straszliwie ciężko. Na jeziorze jest kilkadziesiąt łódek. Zanurzeni po szyję mężczyźni rozbijają długimi drągami słony szlam na dnie, a potem ładują go na łodzie. Wypełniają je po brzegi, tak że wydaje się, iż cały ładunek zatonie. Czasem wsiadają na łódź, a czasem pchają ją kilkaset metrów do brzegu. Tutaj formuje się wydobyty szlam w kilkumetrowe pryzmy. Gromadka mężczyzn wypłukuje z pryzm piach, a czysta sól schnie na słońcu. Wyschniętą sól wsypuje się do sizalowych

worków. Ułożone w stosy czekają na ciężarówki, które rozwiozą je we wszystkie strony Afryki. Obok worków z solą stoją sprzedawcy pamiątek. To ich stałe miejsce od czasów świetności, lat 1977–2007, gdy przy Lac Rosé znajdowała się meta rajdu Paryż−Dakar. Szeroka plaża nad jeziorem stanowiła końcowy odcinek wyścigu. Sprzedawcy pamiątek zarabiali wtedy tyle, że starczało na rok. Do następnego rajdu. Ale rajdu już nie ma i dziś pozostaje liczyć na pojedynczych turystów zwabionych niezwykłością jeziora i legendą wyścigu.

Gromadka handlarzy otacza samochód tak gęsto, że trudno wysiąść. W rękach trzymają malowane rogi. Są piękne. Krowie rogi długości kilkudziesięciu centymetrów wypolerowane i ozdobione afrykańskimi scenkami.

– Ile lat tu pracujesz? – pyta Wanda poławiacza soli, który właśnie dopchał łódź do brzegu.

– Dokładnie nie wiem, od dziecka pomagałem ojcu.

Ma trzydzieści lat, ale wygląda na czterdziestolatka. Ta praca wycieńcza. A poza tym złe jedzenie, brak opieki medycznej. Dlatego w Senegalu ludzie umierają młodo. Żyją średnio pięćdziesiąt lat. Ale pięćdziesięciolatków spotyka się niewielu. A jeśli już, to wyglądają starzej. Tu i tak nie jest jeszcze tak źle. Dalej na wschód i południe ludzie żyją krócej. W Mali przeciętna długość życia wynosi czterdzieści sześć lat.

Kilka kilometrów od Lac Rosé, na drodze dojazdowej do głównej szosy na Saint-Louis, przed kilkunastu laty powstał ośrodek medycyny naturalnej. Wśród drzew i upraw ziół stoją białe domeczki z niebieskimi okiennicami i drzwiami. Tam mogą mieszkać chorzy. Mogą, ale nie mieszkają. Nie stać ich na to. Leczenie jest drogie, zbyt drogie. Dotyczy to nie tylko tego ośrodka. Tak jest w prawie całej Afryce. A choroby atakują. Malaria,

tasiemce, gruźlica. Ludzie źle odżywieni, żyjący w niehigienicznych warunkach łatwo łapią choroby. Próbują je leczyć samodzielnie lub u szamanów, bo szpitale są drogie. Lekarstwa również.

Połowa Afrykanów ma malarię. Choroba ta prawidłowo leczona nie stwarza zagrożenia dla życia. Ale trzeba mieć lekarstwa. A na lekarstwa pieniądze. Koło się zamyka. Ludzie umierają gromadnie. Co roku w Afryce na malarię umiera ponad milion osób. Choruje około dwustu milionów. Najmniej odporne na chorobę są dzieci, zwłaszcza te najmłodsze, poniżej piątego roku życia. Ocenia się, że afrykańskie dzieci przechodzą malarię średnio trzy razy w roku, ale wielu zdarza się chorować nawet sześć razy. Kilkanaście procent najmłodszych dzieci umiera. Oznacza to, że jedno dziecko umiera co trzydzieści sekund. Osoby, które przeżyją, nabywają częściową odporność, ale zanika ona po pół roku. Często można spotkać ludzi, którzy przeżyli ataki malarii. Wyglądają koszmarnie, są osłabieni, przez wiele dni trudno im ustać na nogach. Muszą leżeć i wypoczywać. Jeszcze groźniejsza od malarii jest śpiączka po ukąszeniu muchy tse-tse. Rocznie dwieście kilkadziesiąt tysięcy Afrykanów traci życie z tego powodu. Po ukąszeniu we krwi i w różnych narządach rozwijają się świdrowce. Ludzie cierpią męczarnie. Gdy w końcu świdrowce dotrą do mózgu, chorzy zapadają w śpiączkę, która kończy się śmiercią. Pamiętam, jak w południowej Etiopii, niedaleko jeziora Turkana (dawniej Rudolfa), siedząc na drzewie, zobaczyłem tę zielonawoniebieską muchę. Zjechałem z góry w tempie błyskawicy. Wielu nie zdąży, nie zauważy lub dostrzeże muchę za późno. Ich los jest przesądzony. Nie ma całkowicie skutecznej szczepionki na świdrowce. Jedyny skuteczny lek, melarsoprol, jest bardzo drogi. Zbyt drogi dla dwustu kilkudziesięciu tysięcy Afrykanów rocznie.

– Na imię mam Dierr, jestem szefową tego ośrodka. – Mała, drobniutka kobieta w niebieskiej sukni i z niebieskim turbanem na głowie zaprasza do

wnętrza. Pokazuje sale chorych, uprawę ziół i laboratorium, w którym pełno słoików z lekarstwami.

– Leczymy tu raka, choroby gastryczne, malarię – mówi. Przyciąga wzrok, bo sama jest chora. To albinoska, ma czerwone oczy i białą skórę z dużymi, szpecącymi czarnymi plamami. Biała Murzynka. Albinosi w Afryce budzą fascynację, strach, a wielu wierzy w ich nadprzyrodzone możliwości. W niektórych regionach uważa się, że wypicie mieszanki z krwią albinoską leczy choroby, chroni przed złym. Ostatnio rozniosły się wieści, że seks z albinoską leczy AIDS. W Mali zdarzają się wypadki składania ofiar z albinosów, które mają chronić przed skutkami klęsk żywiołowych. W Burundi grupa napastników, krótko przed naszym przyjazdem, zabiła pięcioletniego chłopca i jego matkę, odcięła im nogi i ręce, bo niektórzy wierzą, że zjedzenie mięsa z nóg albinosa, posiadanie jego dłoni, penisa lub kobiecej piersi przynosi szczęście. Te zabójstwa są szczególnie okrutne, mordercy bowiem ucinają maczetami członki, zanim ofiara skona. Dzieje się to na oczach rodziny, a gdy ktoś staje w obronie, zabijają i jego. Części ciała odcięte przed śmiercią osiągają zawrotne ceny. Istnieje czarny rynek, na którym „komplet albinoski” kosztuje powyżej pięćdziesięciu tysięcy dolarów. W biednej Afryce, gdzie niejedna rodzina ma na miesięczne utrzymanie dwadzieścia lub trzydzieści dolarów. Tymczasem albinizm jest chorobą genetyczną wywołaną brakiem lub niedostatkiem melaniny w skórze, tęczówce oka i włosach. Melanina chroni przed działaniem promieni ultrafioletowych, dlatego pod afrykańskim słońcem albinosom żyje się szczególnie ciężko. Cierpią na choroby skóry, owrzodzenia, raka oraz choroby oczu, często prowadzące do ślepoty. Rytualne mordy, które w ostatnich latach zamiast wygasać, przybierają na sile – rocznie ginie w ten sposób od kilkudziesięciu do nawet kilkuset osób – są dodatkowym, straszliwym zagrożeniem.

Każdy sposób jest dobry, by zarobić parę groszy – na afrykańskich bezdrożach można spotkać najdziwaczniejsze postacie

Niekiedy idzie się piechotą na
targ przez trzy dni, niosąc
nieliczne produkty na sprzedaż

Nasza Dierr ma siedemdziesiąt lat. Zapewne z powodu swego albinizmu wiele widziała i przeżyła. Nie chce o tym rozmawiać, ale na jej twarzy bolesne doświadczenia wyryły ślady. Życia nie miała łatwego.

Po trzech godzinach jazdy wszyscy w samochodzie są mokrzy. Kilka kilometrów od szosy na Saint-Louis jest niewielkie miasteczko Ngay Gachu. W rodzinie miejscowego urzędnika przygotowano lunch. Ale najpierw powitanie. To cała ceremonia. Trwa i trwa. Pytaniom i odpowiedziom nie ma końca.

– Witam – mówi gospodarz, sympatyczny czterdziestolatek. – Jak podróż?

– Okej, choć trochę gorąco – odpowiadamy.

– A wasze zdrowie w porządku?

– Tak, w porządku.

– A zdrowie twojego ojca, w porządku?

– Tak, jest zdrowy.

– A zdrowie mamy?

– Okej, mama zdrowa.

– Czy wasze dzieci mają się dobrze?

– Oczywiście, tak.

– A wasi krewni? Wszyscy zdrowi?

– Tak.

– Czy wasi sąsiedzi to dobrzy ludzie?

– Bardzo sympatyczni.

– Z podróży po Afryce jesteście zadowoleni?

– Tak, jesteśmy.

Pytania padają nieprzerwanie. A gdy wreszcie, jak nam się wydaje, następuje koniec, okazuje się, że to wcale nie koniec. Teraz pora, by pytać

gospodarza. Byłoby niegrzecznie nie pytać lub też poprzestać na jednym czy dwóch pytaniach. Trzeba pytać o cokolwiek, co tylko przyjdzie do głowy. Im dłużej, tym lepiej. Pokażemy w ten sposób, że los naszego gospodarza nie jest nam obojętny, że polubiliśmy go i że zasługujemy na najlepszą gościnę w jego domu. Ceremonia powitania jest najlepszym wstępem do tego, by przestąpić progi domu, poznać rodzinę i do późniejszej ceremonii jedzenia.

Po powitaniu pora na obejście domu i poznanie rodziny. Trzeba to zrobić, ale gospodarz już nie towarzyszy gościom – to nie należy do jego obowiązków. Dom jest niewielki, ale schludny. Kilka pomieszczeń z betonową, gdzieniegdzie pomalowaną farbą olejną podłogą wypełnionych barłogami, lodówka z lat sześćdziesiątych na korytarzu, niewielkie podwórko. Tutaj są kobiety i dzieci. Szesnastoletniej Khani jej siostra wplata we włosy sztuczne dredy. Obok siostry, bracia, żona gospodarza, kuzynki, siostry kuzynek, dzieci… W tym domu mieszka pewnie kilkadziesiąt osób. Jak zmieszczą się w tych kilku klitkach z posłaniami na betonie?

Pojawiają się sąsiedzi, przyjaciele i znajomi. Ngay Gachu to miejsce poza szlakiem, tu białych widuje się rzadko. A ludzie są ciekawi. Gospodarzowi nie wypada odmówić znajomym zobaczenia i poznania białych. Widać zresztą jego dumę, że to właśnie do niego zawitali. W tym miasteczku to nie byle kto. Jest urzędnikiem. Szychą. Do kogo biali mieli przyjechać jak nie do niego?

Lunch jest w największym pokoju. To jedyne pomieszczenie w domu, gdzie są meble: jakaś szafa z półkami, dwie wiekowe kanapy, dwa fotele, stary telewizor, włączony od rana do nocy.

Do pokoju wchodzi mężczyzna. To przyjaciel gospodarza, miejscowy biznesmen. Znów ceremonia powitania. Po niej ceremonia jedzenia. Potrwa

ponad dwie godziny. Potrawa tradycyjna, czyli ryż z sosem, warzywami i rybą. I oczywiście z jednej miski. Ale są łyżki.

– Ja tam wolę jeść rękami – mówi Xavier i wkłada brudną, niemytą od dwóch dni dłoń do miski, nabiera ryżu i je. – Czuję się wtedy naprawdę Afrykaninem – tłumaczy.

Gospodarz i jego gość z podziwem spoglądają na Xaviera. Ten prawie Europejczyk je jak oni. Nie muszą wstydzić się, że jedzą rękami. Potem spoglądają na Wandę, która sięga po łyżkę. Krótko się wahają i też biorą łyżki do ręki. Jedzą bez pośpiechu i rozmawiają. Rozmowa toczy się powoli, nikt się nie śpieszy. Dwa, trzy zdania i pięć minut milczenia. Jakieś pytanie, odpowiedź i przerwa na milczenie. Miska już pusta, ale ceremonia trwa. Teraz leniwie dochodzimy do ostatniej części, czyli picia herbaty. Tym razem szklanka jest jedna, ale herbata smaczniejsza niż w Dakarze. I oczywiście dalszy ciąg nieśpiesznej rozmowy. Potem tylko długa ceremonia pożegnania i można jechać.

Droga wiedzie już prosto do Saint-Louis.

Rozdział 3

Dziewczynka na sprzedaż

Saint-Louis i okolice

Widok z okien hotelu Auberge Café des Art jest zaskakująco piękny. Niemal zaraz za oknem jasnoniebieskie wody rzeki Senegal pełne kolorowych łodzi, za nią, na drugim brzegu, jednopiętrowe białe, żółte i czerwone domki. To prawie jak Wenecja widziana z morza.

Saint-Louis jest najładniejszym miastem Senegalu i jego historyczną stolicą, takim senegalskim Krakowem. Założone przez Francuzów w 1659 roku jako kolonialna faktoria na wyspie rzeki Senegal aż do 1904 roku było stolicą Francuskiej Afryki Zachodniej. Potem Francuzi przenieśli stolicę do Dakaru, ale Saint-Louis do 1958 roku pozostał stolicą połączonych Senegalu i Mauretanii. Dziś mieszka tu sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi, a miasto zajmuje nie tylko wyspę, ale także obydwa brzegi rzeki. Najpiękniejszą jego część stanowi jednak stare miasto na wyspie, wpisane w 2000 roku na listę dziedzictwa UNESCO.

Choć jest wczesny ranek, słońce grzeje mocno. Na hotelowym termometrze prawie 34°C. Po południu będzie pewnie ze 40°C. Parę miesięcy temu temperatura dochodziła tu do 45,5°C.

W hotelu nie ma nic do zjedzenia. Uliczny sprzedawca oferuje słodką kawę *touba* z blaszanego garnka i bagietki z omletem.

Podróż łódką z wyspy na drugi brzeg trwa zaledwie pięć minut. Na brzegu czeka już kilkunastu chłopaków. Najbliższy łapie Wandę za rękę.

– Będę przewodnikiem, znam miasto – mówi.

Pozostali też znają, jeden lepiej od drugiego. Wszyscy chcą być przewodnikami i trochę zarobić. Domki, które tak ładnie wyglądały z wyspy, to brudne, z odpadającą farbą, zasypane śmieciami slumsy. Ale w

środku toczy się kolorowe, bujne życie. Mnóstwo dzieci, od ledwo raczkujących niemowlaczków po kopiących gumową, sflaczałą piłkę nastolatków. Mężczyźni wylegują się na piachu przed domami. Żadnych ulic, chodników, tylko piach i piach. Nic dziwnego, dwieście metrów dalej jest plaża nad Atlantykiem. Większość mężczyzn śpi. Ci, którzy się obudzili, spoglądają ciekawie na obcych. Kobiety robią pranie. W jednym, drugim i trzecim domu. Wszędzie piorą i suszą pranie. Dziś niedziela, może to dzień prania?

Nie sposób oderwać wzroku od tych kolorowych ludzi i pięknych dzieci. Pięcioletni brzdąc łapie mnie za rękę i prosi:

– Daj pieniądze, daj prezent.

Wanda wyciąga lizaki. W ciągu paru sekund otaczają ją tłumy dzieciaków.

– Mnie daj!

– Nie jemu, daj mnie.

Źle zrobiła, za dużo tu dzieci. Lizaki się kończą, a dzieci przybywa.

– Daj, daj! – wołają. Cała gromada wlecze się za nami na plażę.

Wysokie fale rozlewają się po żółtym piasku. Woda jest zimna. Ale nawet gdyby była cieplutka, nie ma mowy o kąpieli. Plaża jest pełna śmieci, plastikowych butelek, puszek, papierów i gnijących ryb. Wszystko to prędzej czy później znajdzie się w morzu. Z każdym krokiem zmienia się otoczenie. Kolorowe domki zostają z tyłu, przy plaży wyrastają jeszcze nędzniejsze slumsy – sklecone z byle czego budy pokryte kawałkami blachy. Na plaży coraz więcej brudu, prawdziwe śmietnisko. To dzielnica nędzy, dzielnica rybacka.

Do brzegu dopłynęła łódź z połowem. Zmęczeni rybacy próbują wypchnąć ją na brzeg. Jak tylko udaje im się przesunąć łódź dwa metry, przychodzi fala i wciąga łódź do morza. I tak to trwa od pół godziny.

Stoimy jak zaczarowani i obserwujemy tę mordęgę. Nieco dalej, w głębi plaży, na dużych stołach zbitych z desek tysiące ryb suszą się na słońcu. Suszą się i straszliwie śmierdzą. Trzeba zatkać nos, gdy przechodzi się obok. Ale dziesięć metrów dalej następna suszarnia i następna. Dziesiątki stołów, miliony ryb. Kosztują grosze, więc rybacy zarabiają marnie, żyją w nędzy. Z niechęcią patrzą na nas. Biali ludzie kojarzą się z pieniędzmi i luksusem. Biali mają to, czego brak czarnym. Mają niezasłużenie i tylko dlatego, że wykorzystują czarnych. Europa i Ameryka są winne wszelkim nieszczęściom Afryki. Europa, bo przez lata kolonizowała i wykorzystywała Afrykanów, Ameryka, bo tam pracowali niewolnicy wywiezieni z Czarnego Lądu. Zdaniem miejscowych biali wykorzystują Afrykę nadal, eksploatują i wywożą jej bogactwa, swoje towary sprzedają drogo, nie pozwalają afrykańskim państwom na rozwój.

– Jesteście winni naszej biedy – powie kilka dni później imam meczetu w Toubie. – Blokujecie nasz rozwój, wydzieracie nasze bogactwa, eksploatujecie nas. Niszczycie Afrykę.

Dlatego mieszkańcy dzielnicy rybackiej patrzą na nas wrogo. Nie pozwalają się fotografować, jakaś kobieta rzuca garścią piachu. Dopiero dzieci ułatwiają nawiązanie kontaktu. Prześliczna trzyletnia dziewczynka podchodzi do Wandy, łapie ją za rękę i ciągnie w głąb dzielnicy. Biała kobieta i czarna dziewczynka trzymające się za ręce łagodzą nieco nastroje. Wyglądają pięknie, trudno oderwać od nich wzrok. Dziewczynka uśmiecha się do Wandy i prowadzi ją do matki. Wokół straszliwa nędza i brud. Chore dzieci śpią na piasku przed domami, chłopcy przestają grać w szmacianą piłkę i dołączają do tego dziwnego korowodu, który prowadzą Wanda z dziewczynką. Brudne kobiety siedzące przed domami odsuwają niemowlęta od piersi, patrzą na nas, wyciągają ręce, pokazując, by dać im jeść, stary

kulejący Murzyn w straszliwie obdartym i brudnym ubraniu cichym głosem błaga:

– Daj mi pieniądze, daj mi jeść!

Dziewczynka staje przed matką, nie wypuszczając z dłoni ręki Wandy. Jej matka może mieć dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata, choć wygląda starzej. Obok niej trójka dzieci, na plecach zawinięty w chustę kilkumiesięczny niemowlak. Brzuch kobiety jest już zaokrąglony, kolejna ciąża.

– To jest Ngumi – pokazuje na dziewczynkę. – Jest ładna i pracowita. Kup ją – zwraca się do Wandy, widząc, z jakim zachwytem biała kobieta patrzy na jej córkę. Nie żartuje. Naprawdę chce, żebyśmy kupili dziewczynkę. Sprzeda ją niedrogo, będziemy mieli z niej pożytek, bo jak trochę dorośnie, będzie dla nas pracowała. Nie akceptuje odmowy, nie rozumie jej. Przecież za kilka lat Ngumi będzie starsza i będzie nam pomagała.

– Dlaczego nie chcecie jej kupić? – pyta dramatycznie. Chwilę później rezygnuje ze sprzedaży.

Sklecone z byle czego budy
w rybackiej dzielnicy
Saint-Louis nad Atlantykiem

Ryby suszą się na plaży i okropnie śmierdzą

– Daję wam Ngumi za darmo. Weźcie ją. No, weźcie. – Popycha dziewczynkę w kierunku Wandy.

Wcale nie jest wyrodną matką. Jest bardzo kochającą matką. Dobrze wie, jaki los czeka Ngumi tutaj. Będzie żyła w nędzy, nigdy nie nauczy się czytać ani pisać. Kiedy będzie miała kilkanaście lat, urodzi pierwsze dziecko. A potem drugie, trzecie i dziesiąte. Mąż będzie ją bił. Kiedy skończy czterdzieści lat, będzie starą kobietą. A potem umrze w takiej samej nędzy, w jakiej przyszła na świat.

– Zabierzcie ją, proszę – uśmiecha się błagalnie. Ngumi też się uśmiecha. Chyba nie wie, o co chodzi, ale jakby coś czuła. Złapała nas za ręce i bez oporów pójdzie z nami. Jej matka wie, że jeśli zabierzemy Ngumi, to już nigdy jej nie zobaczy, ale wie też, że wtedy Ngumi wygra los na loterii. Że będzie żyła w świecie niewyobrażalnie lepszym niż ta rybacka dzielnica Saint-Louis. Odda dziecko każdemu białemu, który zabierze je do

Europy lub Ameryki. Potem zapłacze, ale tak naprawdę będzie szczęśliwa. Dlatego musi wykorzystać okazję, jaka się nadarzyła. Takie okazje nie trafiają się codziennie. Wie, że czasem biali adoptują murzyńskie dzieci.

Kilka tygodni później w samolocie do Casablanki spotykamy dwie hiszpańskie pary, które adoptowały trójkę dzieci. Choć maluchy są z nimi zaledwie trzy tygodnie, już widać, że je kochają i zrobią dla nich wszystko. Te dzieci rzeczywiście wygrały życie.

Ngumi pozostała w rybackiej dzielnicy.

Minęło południe i zrobiło się gorąco. Prawie 40°C. Na szczęście to nie dżungla, powietrze nie jest zbyt wilgotne, upał nie osłabia tak bardzo. Mimo to patrzymy z podziwem na robotników w „stoczni”. Położona kilkaset metrów od dzielnicy rybackiej, już nad brzegiem rzeki „stocznia” to dwóch młodych Senegalczyków, dwie siekiery i szeroki na metr, długi na kilka metrów pień drzewa. Siekierami wyłupują wnętrze. Za dwa dni z pnia zrobią łódkę. Taką, jaką płyniemy teraz przez rzekę z powrotem na wyspę. Xavier mówi, że trzeba się śpieszyć, bo jego siostra przygotowała obiad.

Ngumi, która
pozostała
w slamsach
Saint-Louis

„Stocznia” nad brzegiem rzeki Senegal w Saint-Louis

Siostra Xaviera to ładna i zaskakująco dobrze wyglądająca czterdziestolatka. Na imię ma Muum i nie jest typową afrykańską kobietą, która nosi wodę, gotuje i pierze, podczas gdy mąż śpi na podwórzu lub

ogląda mecz. Muum jest feministką i „politykuje”, jak sama mówi. Jest jedną z tych nielicznych afrykańskich kobiet, które uważają, że ich przeznaczenie to nie tylko rodzenie dzieci, gotowanie i usługiwanie mężowi. Uważa, że ma prawo do decydowania o swoim życiu. A ponieważ energia tryska z niej jak z wulkanu, zaś mąż, wysoki i chudy jak szczapa Allahadi, to potulny baranek, domem rządzi Muum. Rządzenie polega na tym, że robi, co chce i kiedy chce. A chce przede wszystkim smarować się kremami, które rozjaśniają cerę. To modne wśród miejscowych feministek. Która ma jaśniejszą cerę, ta lepsza. Muum kupuje drogie kremy i liczy, że Xavier przywiezie jej kilka sztuk lub przynajmniej zostawi pieniądze. Jak się ma bogatego brata w Europie, można tego oczekiwać. Xavier zdaje sobie z tego sprawę i dlatego podarował jej z dziesięć słoiczków kremu. Dzięki tym zabiegom siostra ma dużo jaśniejszą karnację niż on. Nie może przestać używać kremu, bo za kilkanaście dni ciemny odcień skóry by wrócił. Nic gorszego nie mogłoby się jej przytrafić. Straciłaby tak ciężko wypracowaną pozycję wśród feministek. Xavier tego nie pochwala, bo w przeciwieństwie do siostry uważa, że wszystko, co afrykańskie, jest najlepsze w świecie. Najlepszy jest afrykański sposób jedzenia z jednej miski i rękami, najlepsza jest ciemna skóra i kręcone włosy, najlepsza jest afrykańska muzyka, afrykańskie złoto, afrykańskie marzenia i afrykańskie lenistwo. W ogóle wszystko, co z Afryki, jest najlepsze, a Europa i USA to samo zło. Xavier jest nie tylko islamskim fundamentalistą, ale także afrykańskim szowinistą. Siostrze jednak nie odmówi. Muum kremuje się więc często, a ponadto nosi perukę z prostymi włosami, bo kręcone są zbyt afrykańskie. Nie lubi za to gotować ani sprzątać. Nie przeszkadza jej bałagan w domu, barany i kury na wspólnym podwórzu. Ani to, że dzieciaki śpią ze zwierzętami, że kury razem z nimi oglądają telewizję. Ani to, że dzieci, choć rodzina nie jest biedna, biegają czasem głodne. Uwielbia za to

„politykowanie”. „Politykuje” codziennie. Polega to na tym, że pięknie ubrana, pokremowana i w peruce idzie na popołudniowe spotkania kobiet. I tak od kilku lat. Może będą z tego jakieś rezultaty. Co prawda kobietom, podobnie jak mężczyznom, trudno wypracować wspólne stanowisko, bo łatwiej się im dyskutuje i marzy, niż formułuje myśli, ale ostatnio wymyśliły dwa postulaty do władz miasta.

– Jakie to postulaty, Muum? – pytam.

– Jeszcze dokładnie nie wiadomo – odpowiada. – Musimy je dopracować.

Pewnie potrwa to kolejne dwa lub trzy lata.

Muum wróciła już z „politykowania”, ale obiadu oczywiście nie ma. Będzie za chwilę. To znaczy za jakieś dwie godziny. Pewnie nie byłoby go wcale, gdyby nie my. Dzieci sobie poradzą, mężem nie trzeba się przejmować, ale gości nie wypada zostawić na lodzie. Tym bardziej że Xavier dał jej za te kilka posiłków sto euro, o czym skwapliwie nam powiedział, by móc je odliczyć z rachunków. Takie pieniądze to tutaj majątek. Muum będzie mogła przez miesiąc albo i dwa nie przejmować się niczym i zajmować „polityką”, a Allahadi będzie mógł spać, ile chce, a jak się obudzi – oglądać telewizję. Kiedy skończą się pieniądze, wtedy pomyślą, co robić.

Dwa miesiące to szmat czasu, którego Afrykanin nie ogarnia. Bo tutaj żyje się chwilą, dniem dzisiejszym. Jutro jest zbyt odległe, by o nim myśleć dzisiaj. Obok niefrasobliwości wyrażanej poprzez *no problem* ta niezdolność do myślenia o przyszłości, nieumiejętność jakiegokolwiek planowania jest inną ważną przyczyną nieszczęść Afryki. Jutro będzie jutro. Po co robić coś dziś, jeśli będzie to potrzebne dopiero jutro? Zrobi się jutro. Kiedyś w Etiopii trafiliśmy na czas wyjątkowego urodzaju, zbiory mogły być dwa lub trzy razy większe niż zwykle. Ale rolnicy zebrali tylko tyle, ile

zawsze, tyle, ile potrzeba, by przeżyć do następnych zbiorów. Reszta została na polu. No bo po co się męczyć, skoro to, co jest, wystarczy? Nikt nie pomyślał, że w następnym roku może być susza, powódź lub inna klęska żywiołowa. I że wtedy trzeba będzie czekać jak na zbawienie na amerykańskie samoloty, które zrzucą z nieba pojemniki ze zbożem. Kto to widział zastanawiać się, co będzie za rok, skoro nie planuje się kolejnego dnia? Jutro jest przecież tak odległe. O jutrze zapominał regularnie nasz kelner w hotelowej restauracji w Wagadugu. Co wieczór umawialiśmy się z nim, że na śniadaniu będziemy o ósmej. Kilka minut po ósmej siedzimy przy stoliku. Przesympatyczny chłopak woła już z daleka:

– *Ça va? Ça va bien?*[3]

– A co ze śniadaniem, Gabriel?

– Aaa, śniadanie! – przypomina sobie. – Zaraz będzie, tylko skoczę do sklepu po bułkę i ser.

I już wiadomo, że śniadanie będzie za godzinę. I tak codziennie. Tak jest zresztą ze wszystkim: pękła linka pedału gazu – naprawi się jutro, trzeba kupić bilety na autobus – kupi się jutro, musimy załatwić wizy – ambasada jutro jest też otwarta. Słówko „jutro” daje błogie poczucie, że dziś wszystko zostało zrobione, że już nie mamy żadnych obowiązków, że można nie martwić się niczym i o nic. Że pora na odpoczynek. Odpoczynek po „nicnierobieniu”. A gdy nadchodzi jutro, to też *no problem*. Przecież jutro też ma swoje jutro. Można położyć się w cieniu, pomarzyć i błogo spać.

Muum nie martwi się zatem o jutro, kiedy ma w ręku sto euro. A swoją drogą Xavier lekką ręką wydaje pieniądze. Zjedliśmy może za dwa lub trzy euro. Ale najważniejsze, że ma pieniądze. Będziemy mogli rozliczyć się i pożegnać.

– Xavier, pozbyłeś się towaru, oddaj pieniądze.

– Nie oddam, bo nie wszystko sprzedałem. Musimy jechać do Diourbel, tam sprzedam resztę.

– Oddaj, co masz.

– Oddam w Diourbel.

Już wiadomo, że nigdy nie odda. Trzeba zaakceptować jego towarzystwo do czasu, aż uzna, że wydał wszystkie pieniądze i zażąda kolejnej wypłaty. To będzie czas na rozstanie. Tymczasem płaci przynajmniej za nasze przejazdy i hotele.

Kto widział wieżę Eiffla w Paryżu, nie ma wątpliwości, że most na Senegalu w Saint-Louis jest autorstwa tego samego człowieka. Z daleka prezentuje się pięknie, kolejne arcydzieło artysty architekta. Z bliska widać, że jest pordzewiały i za dwa lata strach będzie po nim jeździć. Rozpoczęto co prawda remont, ale tak się ślimaczy, że nie wiadomo, czy przed zakończeniem prac most się nie zawali.

Bulwar prowadzący do mostu jest najładniejszą częścią miasta. Kilka zadbanych hotelików, parę sklepików z pamiątkami, jakieś restauracje i naprawdę elegancka galeria sztuki afrykańskiej prowadzona przez francuską rodzinę żyjącą tu od 1959 roku. Drugą, większą galerię Francuzi mają w Dakarze.

Za mostem – droga do Mauretanii. Jedziemy nad mauretańską granicę, do Parku Narodowego Djoudj. Senegal, który wpada do morza za Saint-Louis, płynie wcześniej wzdłuż mauretańskiej granicy, tworząc liczne rozlewiska i bagna. Ponieważ zaraz za granicą zaczyna się suchy, półpustynny Sahel, rozlewiska są pierwszymi dużymi zbiornikami wodnymi, jakie napotykają ptaki migrujące z Europy przez Saharę. Zatrzymują się tu liczne stada. W utworzonym na obszarze szesnastu

tysięcy hektarów parku żyje dziś 235 gatunków ptaków, wiele płazów, gadów i ssaków.

Dwudziestodwuletni Kwame, strażnik i przewodnik, prowadzi nas prosto do łódki.

– Uważaj! – krzyczy nagle i ciągnie mnie za ramię. – Popatrz przed siebie, tam, w dół.

Dwa metry dalej, w sitowiu na brzegu jeziora leniwie przesuwa się cętkowane, grube ciało. Przeszkodziłem w wypoczynku potężnemu pytonowi, który powoli sunie do wody. Dziesięć minut później, już płynąc łódką, Kwame dostrzega kolejnego dusiciela. Leży on dziwnie na wodzie jakieś pięćdziesiąt metrów od łodzi. Jest dwa razy dłuższy i grubszy niż tamten z brzegu. Kwame podpływa w jego stronę i wtedy dostrzegamy, że wąż nie żyje. Jest ogromny, bo wnętrzności straszliwie napuchły. Śmierdzi okropnie. Nieco z boku, zanurzone do połowy, pasą się dzikie świnie, dalej krowy, a na brzegu wylegują się warany. Prawdziwym skarbem parku są jednak ptaki. Kormorany obsiadły koronę drzewa, które wygląda, jakby przeniosło się tutaj z baśniowej księgi. Na brzegu majestatycznie krąży para bocianów. Czy rozumieją po polsku? Ale najwięcej jest tu pelikanów. To one królują w parku. Najpierw pojawia się ich kilka, paręset metrów dalej jest ich kilkaset, a potem tysiące, dziesiątki i setki tysięcy. Piękne, ogromne białe ptaki z żółtymi dziobami po obu stronach łodzi na dotknięcie ręki. Szczelnie pokryły taflę jeziora, widać tylko wielki, biały pelikanowy świat. Na pobliskiej trzystumetrowej wysepce ogromna kolonia pelikanów. To młode, które nie potrafią jeszcze pływać i latać. Tu są bezpieczne, bo na wyspie nie żyje żaden ich wróg. Rodzice karmią je rybami. Jak wśród dziesiątek tysięcy piskląt odnajdują swoje potomstwo?

– Ten pelikan umrze – Kwame wskazuje dużego ptaka z ogromną rybą w gardle. – Złowił za dużą rybę, nie połknie jej ani nie wypluje. Zdechnie z

głodu.

Przyroda Parku Narodowego Djoudj aż tętni życiem. Jest ono tutaj pełne namiętności, siły i ekspresji. Niezwykłe i piękne. To taki skrawek Afryki, z jakim reszcie świata kojarzy się ten kontynent. Bujna roślinność, dżungla, sawanna, fantastycznie bogaty świat zwierząt – tak wciąż postrzega się Afrykę. Piękny, bajkowy świat utrwalony na obrazkach i zdjęciach sprzed stu lub pięćdziesięciu lat. Ale takiej Afryki jest coraz mniej. Zastępuje ją Afryka slumsów, brudu, chorób, biedy i przemocy.

Kilkanaście kilometrów za Djoudj ta przemiana dokonuje się na naszych oczach. Im bliżej Saint-Louis, tym gorzej. Dopiero przed miastem pojawiają się ładne zabudowania miejscowego uniwersytetu. Na wydziale informatycznym pracuje doktor Abdou Karin Farota. Kilkanaście lat temu skończył informatykę na Politechnice Krakowskiej. We Wrocławiu poznał żonę, Senegalkę, którą przywiózł tutaj.

– Dobrze mi się powodzi – mówi – ale brakuje kontaktu z Europą, z wyższym poziomem cywilizacji, z wyższym poziomem nauki. Nasz uniwersytet bardzo potrzebuje współpracy z europejskimi uczelniami. To niezbędne dla naszego rozwoju.

Zbliża się wieczór, mija kolejny afrykański dzień. Dzień paradoksów: pelikan z rybą w gardle umiera z głodu, Senegalczyk żonę Senegalkę odnajduje we Wrocławiu, a kipiąca życiem Afryka zabija samą siebie.

---

[3] *Ça va? Ça va bien?* (franc.) – Jak się masz? Czy wszystko w porządku?

Droga do Mauretanii jest długa i monotonna

Życie w Parku Narodowym Djoudj aż bucha

Rozdział 4

Uśmiech Bamby

Uczyń tutaj miejsce pobożności, nauki i religii. Niech będzie ono źródłem uniesienia.

Uczyń tutaj miejsce adoracji Allaha miłosiernego i odrzucenia szatana.

Uczyń tutaj miejsce nauczania, medytacji i zrozumienia. Zrób tutaj ziemię bogactw, ziemię bezpieczną, ziemię miłosierną, ziemię wiecznej obfitości.

Zbieraj tu wszelkie dobra pochodzące ze Wschodu, z Zachodu, z Północy, z Południa, z Nieba i z Ziemi.

Tutaj znaczy w Toubie, mieście świętym dla senegalskich muzułmanów. Tutaj, czyli w senegalskiej Częstochowie, słowa te napisał Amadou Bamba, założyciel największego senegalskiego bractwa muzułmańskiego.

Amadou Bamba uśmiecha się do nas zewsząd. Nie ma takiego miejsca w Toubie, gdzie nie wisiałby plakat z jego podobizną. Śmieje się ze ścian domów, z okien sklepików, z walących się ogrodzeń. Uśmiechał się w Saint-Louis, w Dakarze, a za kilka tygodni zobaczymy go w Bamako, Djenné, Wagadugu. Uśmiechał się podczas podróży, bo Ablaye zawiesił jego podobiznę na tylnej szybie swego uno, wskutek czego nie widział nic, co się działo z tyłu samochodu, bo przecież bocznych lusterek nie ma od dawna.

Amadou Bamba (1853–1927), mistyk, ale i energiczny pragmatyk, nadał nowy kierunek islamowi w Afryce Zachodniej. Przed nim muzułmanie tego regionu szukali przywódców duchowych w Mauretanii.

Jeździli setki, a nawet tysiące kilometrów, spędzali całe tygodnie w podróży. Bamba odwrócił role – przyjechał do nich. Zamieszkał w Toubie i zaraził mieszkańców wizją zbudowania wielkiego meczetu. I nauczał. Mówił, że główne zasady, na których winien opierać się islam, to modlitwa, praca i pokora. Mówił, że modlitwa to mistyka, która jest zaczynem wszelkiego szlachetnego czynu. Że praca tworzy wszelkie społeczne i indywidualne dobro. Że solidarność i oddanie drugiemu człowiekowi jest warunkiem lepszej egzystencji całej wspólnoty. Z miesiąca na miesiąc słuchało go coraz więcej wiernych. Przekonał ich, uwierzyli mu, poszli za nim. I tak w Toubie narodził się Muridiyya, nowe bractwo muzułmańskie.

Francuscy kolonizatorzy dostrzegli przywódczą rolę Bamby. Uznali go za zagrażającego ich interesom i wywieźli do dżungli w Ghanie.

– Zrobili to na szczęście za późno – mówi dwudziestoszześcioletni imam z Touby. – Ziarno już kiełkowało, już rosło. Ludzie przyjęli naukę Bamby. A on przeżył w dżungli siedem długich lat, w warunkach, w jakich umierało się w ciągu kilku miesięcy. I wrócił do Senegalu. Nie pozwolono mu jednak przyjechać do Touby. Osiadł w nieodległym Diourbel i zbudował tam meczet. A jego nauka zataczała coraz szersze kręgi. Trafiała w ludzkie potrzeby i odczucia.

Meczet w Toubie,
świętym mieście senegalskich
muzułmanów w którym rozpoczął swą
działalność Amadou Bamba

Dziewczynki z Touby chętnie pozują do zdjęcia przed meczetem

Młody imam z zapałem opowiada o swoim przodku. Mówi, że synowie Bamby, czyli jego dziadkowie, najpierw zbudowali w Toubie meczet. Teraz on i jego rodzina opiekują się nim.

Meczet jest ogromny i piękny. Budowę rozpoczęto w 1936 roku w stylu marokańskim. Może szkoda, bo meczet w sąsiednim Diourbel, budowany pod okiem Bamby w stylu afrykańskim, wydaje się ładniejszy, ciekawszy, bardziej pasuje do otoczenia. Tyle że jest dużo mniejszy i bardzo zaniedbany. Ale już obok powstaje nowy.

Rodzina Bamby wciąż rozbudowuje toubański meczet. Przybywa nowych sal. Prowadzone są prace wzbogacające wystrój wnętrza. Do środka – to tutaj rzadkość – mogą wejść niemuzułmanie. Tak chciał Bamba.

To jego zasługa, że zachodnioafrykański islam jest tolerancyjny, niepodobny do agresywnego islamu arabskiego i zachodnioazjatyckiego. Zdarza się, że jedną rodzinę tworzą muzułmanie i katolicy, że chrześcijańscy księża wywodzą się z rodzin muzułmańskich. Czy tak będzie nadal? Czy agresywny islam, który dociera z Bliskiego Wschodu, niczego nie zmieni?

Imam mówi, że będą wierni idei Bamby. Im dłużej mówi, tym więcej rodzi się wątpliwości. Jego słowa stają się mniej przyjazne, znika gdzieś tolerancja i życzliwość. Świat Zachodu, nasz świat, postrzega jako źródło zła, przemocy i bogactwa. Najbardziej boli go właśnie bogactwo. Nie wierzy, że jest wynikiem pracy pokoleń, lecz grabieży Afryki.

– Wielkie koncerny biorą z Afryki, co najlepsze – mówi, patrząc na nas z niechęcią. – Wywożą od nas bogactwa, nic w zamian nie dając. Nie inwestują w Afryce, tylko sprzedają. Wszyscy chcecie – teraz już mówi do nas – tylko sprzedawać w Afryce. I to jak najdrożej. Czemu nie przywieziesz do nas kapitału, dlaczego u nas nie inwestujesz? No czemu?

Kobiety wnoszą obiad. Siedzimy w pokoju gościnnym, niemal jak w polskim domu. Dwie kanapy, fotele, na podłodze dywan. Na stoliku obok telewizor i radio z kolumnami. Tylko stołu brakuje, jemy na dywanie.

Do pokoju wchodzą osiemnastoletnia dziewczyna i dwunastoletni chłopak z rodziny imama.

– Oni bardzo chcą jechać do Europy. Może ich zabierzecie? – pyta imam.

Dzieciaki patrzą na nas z wyczekiwaniem.

– Naprawdę chcielibyście jechać do Polski?

– Ja mogę już, natychmiast – mówi chłopak.

– Ja też, ja też! – Dziewczyna nie chce być gorsza.

Nie żartują, w ich oczach błyska iskierka nadziei. Dlaczego te dzieci z najzamożniejszego domu w Toubie chcą wyjechać z Afryki? Z miasta, które rozwija się najdynamiczniej w regionie, a może nawet w całym Senegalu? I po co imam pyta? Żeby zrobić nam na złość? Żeby udowodnić, że tym dzieciakom nie chcemy pomóc? Wie przecież, że ich nie zabierzemy. Sam mógłby ich zabrać, bo co roku odwiedza wyznawców Bamby we Francji, w Niemczech i w Polsce. Przyjeżdża, by głosić im prawdy wiary, prawdę Koranu. Wyjeżdża z pieniędzmi zebranymi od europejskich wiernych. Z dużymi pieniędzmi. Te pieniądze idą na rozbudowę meczetu. I przy okazji na budowę własnego domu na przedmieściach Touby.

Miły nastrój pryska. Nie mamy o czym rozmawiać. Imam zna się na islamie, Koran nie ma dla niego tajemnic. Kończył szkołę koraniczną. I tylko tę szkołę. Nie uczył się matematyki i geografii, nie ma pojęcia o fizyce i chemii, nie potrafi obsłużyć komputera, nie zna języków. Zna Koran. Dwa tygodnie później poznałem uczniów takiej szkoły. W Timbuktu, w Mali, przy niewielkiej uliczce jest szkoła talibów. Pozwolili mi wejść na chwilę do klasy. Była tam jedna książka – Koran. Nauczyciel deklamował wersety, uczniowie powtarzali. Gdy wychodziłem, nauczyciel podszedł do mnie i powiedział:

We wsiach leżących przy drodze do Touby spotyka się kobiety, które potrafią unieść na głowach pakunek ważący nawet 50 kilogramów

Osiemnastolatka
z Touby, która bardzo
chciała wyjechać
do Polski

– Allah jest wielki.

– Allah jest wielki – powtarza trzykrotnie kilkunastolatek z Wagadugu, stolicy także uchodzącego za kraj religijnie tolerancyjny Burkina Faso, i zakrywa mi obiektyw aparatu, gdy robię zdjęcia meczetu. – Nie jesteś godzien posiadać obrazu naszego meczetu – wyjaśnia. Drugi nastolatek uderza mnie w plecy i brutalnie popycha.

Kiedy indziej w Bamako robimy zakupy w okolicy meczetu. Jest dwadzieścia po pierwszej. Tłumy mężczyzn. Zbyt późno zorientowaliśmy się, że nadeszła pora modlitwy. Nagle, w ciągu kilkunastu sekund, świat wokół zamiera. Już nic nie można kupić. W meczecie, na jego dziedzińcu, na ulicach obok, wszędzie kilka tysięcy mężczyzn rozpoczyna modlitwę. Ulice zamknięte barierkami, które nagle znalazły się tu nie wiadomo skąd. Nie można wejść ani wyjść. Mężczyźni modlą się żarliwie. Stoimy wśród nich i nie wiemy, co począć. Modlić się jak oni nie potrafimy, iść nie wypada. Stoimy, gdy oni stoją, stoimy, gdy składają pokłony. Patrzą na nas niechętnie, niektórzy wrogo. W końcu powoli, dyskretnie udaje się nam wycofać. Odprowadzają nas tak nienawistne spojrzenia, że ciarki przechodzą po plecach.

Inaczej brzmią teraz słowa Xaviera o skansenie watykańskim. Czy tacy jak on, wykształceni, żyjący w Europie i zarazem odczuwający do niej niechęć, a nawet nienawiść, zatrują tolerancyjny zachodnioafrykański islam? A może zatruwają go wzorce płynące z Bliskiego Wschodu? Skąd się wzięła tak niechętna katolikom wypowiedź prezydenta Wade? Wanda sięga do wydruków, które przygotowała przed wyjazdem. Bara Ndiaye, Senegalczyk żyjący w Polsce, stwierdza: „W Afryce islam jest rozumiany zupełnie inaczej, niż przyzwyczaiły nas do tego media. Nie mamy nic wspólnego z ekstremizmem, terroryzmem”. Siostra Cecylia Tymoszuk, polska misjonarka przez lata pracująca w Senegalu, pisała w listopadzie

2002 roku: „Moje osobiste doświadczenia senegalskiej tolerancji religijnej zdobyłam na pierwszej placówce misyjnej w Joalu, małej osadzie rybackiej leżącej na południu kraju, nad Atlantykiem. Byłam tam świadkiem i uczestniczką wspólnie przeżywanych świąt muzułmańskich i chrześcijańskich, a nawet wspólnie odbywanych pielgrzymek do katolickiego sanktuarium maryjnego w Popenguine (…). Czułam wówczas, że Bóg jest jeden i Wszechmogący, i że to On sam łączy nas wszystkich, mimo różnic w kulcie". Swoje doświadczenia podsumowuje: „Islam senegalski wydaje się daleki od ortodoksji"[4].

Minęło trochę czasu. Czy te opinie są aktualne? Zapewne jeszcze tak. Ale co będzie w przyszłości? Którą drogę wybiorą muzułmanie Afryki Zachodniej? Tę, którą pokazał im Bamba, czy też tę, którą idą Xavier, imam z Touby i mężczyźni spod meczetu w Bamako?

Diourbel jest stolicą regionu, w którym leży Touba. To jedno z najokropniejszych miast, jakie widziałem w Afryce. Dwie dziurawe ulice, reszta to piach i kamienie. Domy parterowe, rzadko piętrowe, najczęściej niedokończone, pokryte blachą lub bez dachu, wyglądają jak powojenne ruiny. Nawet Hotel de Ville, czyli ratusz, wygląda paskudnie. Warto jednak przyjechać, bo wizyta tutaj jest pouczająca. Diourbel jest kwintesencją kształtowania się współczesnych afrykańskich miast i kierunku, w jakim zmierzają.

Miasta w Afryce założyli kolonizatorzy. Budowali pałac gubernatora, pałacyki lub kamienice dla urzędników, kupcy stawiali swoje domy, których wielkość i wystrój zależały od zamożności, w centrum wznoszono kościół. Garstka białych budowała małe europejskie miasteczko, które było dla nich namiastką Europy, przypominało rodzinne strony. Daleko za miastem leżała afrykańska wieś – z gliny i bambusa.

Tak było do wyzwolenia Afryki. Ruchy wyzwoleńcze przybrały na sile po drugiej wojnie światowej. Afrykańscy żołnierze, walczący w europejskich armiach, powrócili wtedy do domów. Stali się zaczynem ruchów wyzwoleńczych, których wzmożona działalność nastąpiła w końcu lat pięćdziesiątych. Rok 1960 stał się rokiem Afryki. W tym jednym roku niepodległość uzyskało siedemnaście państw. Wkrótce niemal cała Afryka była niepodległa. Niedługo potem z Afryki wyjechała większość wystraszonych Europejczyków. Ich miejsce, ich domy i urzędy, zajęła afrykańska elita. Za elitą do miast popłynęła armia ludzi ze wsi. W poszukiwaniu lepszego życia i z nadzieją, że ważny krewniak pomoże, bo to przecież jego obowiązek. Wokół dawnego europejskiego miasta powstawało drugie – afrykańskie. Biedne, zbudowane z byle czego, takie, na jakie było stać tych ludzi bez pieniędzy i bez pracy, za to z wyobrażeniami i nawykami ukształtowanymi na wsi. Powstawało miasto, które tak naprawdę było wsią. Nędzne rudery, zbudowane koniecznie z podwórzem wewnątrz, na którym trzymano zwierzęta hodowlane: drób, owce, kozy, osły. Wiejski model życia był jedynym znanym tym przybyszom. Wiejskie miasta rosły w błyskawicznym tempie. Dodatkowym czynnikiem potęgującym ten rozrost była klęska suszy, jaka dotknęła Afrykę w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Wyschnięte pola i wygłodzone bydło nie dawały mieszkańcom wsi szans na przetrwanie. Taką szansę stwarzała jedynie żywnościowa pomoc zagraniczna, ale ona docierała tylko do miast. Ludzie uciekali tam z nadzieją na przeżycie. Nigdy nie powracali. Proces ten trwa do dziś, a nawet przybiera na sile. Wysoki przyrost naturalny sprawia, że codziennie tysiące Afrykanów migrują do miast, gdzie liczą na pracę i lepsze życie. Pracy jednak nie ma, a lepsze życie to nigdy niespełniona nadzieja. Ale mieszkać gdzieś trzeba. Powstaje więc następny miejski krąg. Za miastem-wsią budują się miasta-

slumsy, powstają tam domy z gliny, dykty, blachy lub po prostu szałasy. I ten krąg jest dziś największy, w nim mieszka najwięcej ludzi. Żyją w straszliwej nędzy, w okropnych warunkach higienicznych, głodni, umierają na ulicach w wyniku chorób, głodu i wycieńczenia. Umierają na oczach innych ludzi, umierają na naszych oczach. Nie sposób im pomóc. Nikt nie lituje się nad nimi, bo sąsiedzi mają własne dramaty, a obfitość tragedii rodzi obojętność.

Takim miastem jest Diourbel. Ta kwintesencja współczesnego rozwoju afrykańskich miast jest też przykładem kompletnej bezradności Afrykanów, ich rządów i międzynarodowych instytucji. Dziś jedyną szansą dla bardziej świadomych tego, gdzie i jak żyją, jest wyrwanie się z tego świata i ucieczka za wszelką cenę. Nieważne, że podróż trwa całymi tygodniami, nieważne, że przymiera się z głodu i pragnienia, że przeciążona łódź może zatonąć. Ważne, by się stąd wyrwać, bo jeśli się uda i znajdziesz się w Europie, jesteś uratowany, a wraz z tobą cała rodzina, która pozostała w Afryce. Cena życia jest w tej sytuacji niewysokim kosztem.

W Diourbel nie da się długo wytrzymać. Po dwóch dniach stąd uciekamy. Wyjeżdżamy na wieś. Na pierwszą wioskę natrafiamy już kilkanaście kilometrów za Diourbel. Okrągłe domy z gliny, spiczaste dachy z bambusa. Wokół ogrodzenia otaczającego wieś tony śmieci. Jest tu prawie tak brudno, jak w mieście. To właśnie skutek bliskości miasta, skąd docierają produkty w plastikowych opakowaniach. Ten plastik wala się teraz wszędzie, nikt go nie wywozi ani nigdy nie wywiezie. Służby komunalne w naszym pojęciu nie istnieją w mieście, a co dopiero na wsi.

Kilkadziesiąt kilometrów dalej, w dużej odległości od głównej drogi leży inna wieś – Keur Diouga. Kontakt z miastem jest tutaj minimalny, miejscowi żyją swoim życiem, miasto im niepotrzebne. Zagrody są czyste, murowane, a pokryte blachą domki otoczono dwumetrowymi,

bambusowymi płotami, z dużymi podwórzami, które dają poczucie intymności.

Magge bardzo się cieszy z naszej wizyty. Jego kilkunastoosobowa rodzina dyskretnie i ciekawie przygląda się obcym. Najbardziej zainteresowane są dzieci, które nigdy nie widziały białych. Nawet w telewizji. W Keur Diouga nie ma prądu, nie ma więc telewizji. Dwóch maluchów patrzy na nas ze strachem, młodsza dziewczynka wybucha płaczem. Kilka pomieszczeń domu to komórki z legowiskami. Tylko jedno wygląda na pokój – to sypialnia z pięknie haftowaną pościelą. Tutaj Magge zaprasza na obiad.

Wieś zamieszkują Wolofowie. To jedno z największych plemion Afryki Zachodniej. Ich narzecze jest równie popularne, jak francuski. Właściwie każdy Senegalczyk mówi w wolof albo przynajmniej go rozumie.

Wolofowie z Keur Diouga zajmują się uprawą ziemi. Na jednym z podwórek kobiety kijami zakończonymi tłuczkiem ubijają kolby prosa w glinianych naczyniach. Po kilku godzinach w naczyniach pozostaje wymłócone ziarno prosa. Ta praca, podobnie jak wszystkie inne w polu i w domu, należy do kobiet. Ich rolą jest utrzymanie domu, troszczenie się o jedzenie, ubranie, dzieci. Rolą mężczyzn jest bycie mężem. Jeśli gdzieś pracują, dokładają się do budżetu domowego, ale najczęściej są bezrobotni. O dom i dzieci dbają kobiety, podczas gdy mężczyźni śpią, dyskutują i marzą.

W środku wsi znajduje się jedyna w okolicy studnia. To najważniejsze miejsce we wsi. Kobiety z wielkimi dzbanami i misami czekają w kolejce po wodę. Jest okazja do rozmowy, bo studnia odgrywa rolę rynku i magla. Właśnie wypełnia się wodą ogromna misa dziewiętnastoletniej Beni. W misie zmieści się czterdzieści litrów. Beni mieszka trzysta metrów stąd, chodzi po wodę trzy razy dziennie. Towarzyszy jej dwoje dzieci, trzecie

zostało w domu. Koleżanka pomaga jej włożyć misę na głowę. Teraz Beni idzie równym krokiem, prosta jak struna, by nie uronić ani kropli. Wróci tu jeszcze raz przed zmrokiem. Powtarza tę czynność od kilku lat. Mówi, że tutejsze kobiety mogą nieść na głowie do pięćdziesięciu kilogramów. W ciągu całego życia da to setki ton. Przed Beni jeszcze trzydzieści, może czterdzieści lat noszenia wody.

Przed zachodem słońca idziemy do sąsiedniej wioski. Leży niespełna dwa kilometry od Keur Diouga. Wszystko jest tutaj inne. Zamieszkują ją ludzie innego wielkiego plemienia Afryki Zachodniej – Fulanie. Nie uprawiają roli, zajmują się wyłącznie hodowlą bydła. Inna jest organizacja wsi. W Keur Diouga, u Wolofów, każde domostwo stanowi całość i ogrodzone jest wysokim płotem. U Fulan domy stoją jeden obok drugiego, wioska jest ogrodzona w całości. Ludzie mają wspólne podwórze na środku wsi, żyją razem. Wokół zabudowań, na zewnątrz ogrodzenia, stoją wysokie na trzy i szerokie na dwa metry kosze, w których Fulanie przechowują paszę dla bydła.

Mieszkańcy obu wsi żyją w zgodzie zbudowanej na wspólnocie interesów. Wolofowie dostarczają Fulanom płody rolne i paszę dla bydła, w zamian dostają mięso i mleko.

Szef wioski częstuje kwaśnym mlekiem i opowiada o tutejszym życiu. Mówi, że z Wolofami współżyje się im dobrze, że dzieci chodzą do jednej szkoły, a ciężarne kobiety do tej samej porodówki w Keur Diouga. Ludziom z obu wsi świat zewnętrzny jest niepotrzebny. Wydaje się im obcy.

Kiedy kończy opowiadać, jest już ciemno.

– Zostańcie na noc – proponuje. – Nie wypada o zmierzchu wypuszczać gości. Będzie wam tu dobrze.

Musimy, niestety, odmówić gościnnym gospodarzom. Jutro z rana mamy autobus z Diourbel do Mali.

Pożegnanie trwa długo. Zbiega się cała wieś. Każdemu trzeba podać dłoń, dzieci otaczają nas i wyciągają rączki. Dobrze, że mieszka tu tylko sto kilkadziesiąt osób.

Noc jest cicha, spokojna i chłodna. Księżyc i tak inne niż w Europie gwiazdy oświetlają drogę. W ich świetle widać cienie spiczastych dachów wioski i niesamowite kształty ogromnych baobabów. Świat wokół jawi się jako tajemniczy i baśniowy. Straszna Afryka? Tak, straszna Afryka. Ale i piękna, wciąż jeszcze bardzo piękna Afryka.

---

[4] „Misyjne drogi” nr 97 (1 / 2003).

Meczet w Diourbel zbudowano
w prawdziwie afrykańskim stylu

Afrykanin potrafi tak siedzieć całymi godzinami, dniami, latami…

Rozdział 5

Kura na kolanach

Autobus do Mali

Na przystanku w Diourbel kilka osób czeka na autobus do Mali. Przystanek autobusowy to dużo powiedziane.

Stoimy na targu, z jednej strony stoisko z bluzkami, T-shirtami i spodniami, z drugiej – cebula, chili i suszony hibiskus. A w środku jedno krzesełko i przedpotopowy komputer. To właśnie jest przystanek, punkt rezerwacji i kasa biletowa. Niełatwo było znaleźć to miejsce, bo oznaczeń żadnych nie ma, a dworce i przystanki autobusowe w Afryce to miejsca raczej tajemne. Ale ludzie wiedzą wszystko. I to jest metoda, żeby znaleźć, czego tylko potrzeba. Wystarczy zapytać. Zawsze znajdą się tacy, którzy zaprowadzą na miejsce. Ot, tak dla przyjemności lub z nudów, a jeśli wpadnie za to jeszcze kilkaset franków, to z wielką przyjemnością.

– *Ou se trouve le gare de bus?*[5] – pytamy brzdąca, który kręci się po Diourbel. Bierze nas za ręce i prowadzi przez miasto, potem na targ i między kramami. Na targu ze trzy razy sprawdzamy, czy wie, o co chodzi. Ale wie doskonale i w końcu doprowadza nas między T-shirty i cebule.

– O której autobus do Bamako?

Agent firmy przewozowej, wysoki, młody Murzyn w długiej, pasiastej koszuli, przypominającej arabską galabiję, patrzy zdziwionym wzrokiem.

– Jak przyjedzie – mówi.

Rozkład jazdy nie obowiązuje. Autobus jedzie, gdy zbierze się wystarczająca liczba pasażerów. Podróżni nie pytają o godzinę odjazdu. Czekają. Mają niesamowitą zdolność czekania. Trwają ni to w odrętwieniu, ni w półśnie. Ten stan nie jest dla nich niczym niezwykłym, jest czymś codziennym, naturalnym. Wielu z nich trwa w takim oczekiwaniu całe życie. Czekają bez cienia zniecierpliwienia. Jeśli mają szczęście, odjeżdżają

po godzinie, jeśli szczęścia mniej – za cztery lub pięć godzin, a jeśli jeszcze mniej – następnego dnia. Ale kiedy chce się jechać, to trzeba czekać i broń Boże nie opuszczać przystanku. Autobus może przyjechać i odjechać w każdej chwili, kierowca nie zważa, że ktoś poszedł za potrzebą. Dlatego przystanki i dworce autobusowe są miejscem, gdzie toczy się codzienne życie. Kobiety karmią piersią, dzieci biegają i wrzeszczą, ktoś gotuje strawę na ogniu, ktoś sika przy płocie. Ludzie rozmawiają, jedzą, śpią. Nikt się nie denerwuje, nikt nie spogląda na zegarek, bo mało kto go posiada, a poza tym jakie to ma znaczenie, która jest godzina? Co za różnica, czy autobus przyjedzie rano, czy wieczorem? Ważne, żeby przyjechał. Aż przychodzi taki moment, że wszyscy nagle zaczynają biegać i znosić torby, worki, paczki, walizy. To znaczy, że za chwilę autobus odjedzie lub przyjedzie. Skąd oni to wiedzą, nie wiadomo. Wiedzą i tyle. Zaczyna się wtedy bezładne pakowanie. Najpierw zapełniane są dolne luki. Gdy braknie miejsca, a brakuje zawsze, bagaże wędrują na dach. I rośnie tam góra pakunków wyższa niż sam autobus. Kiedy więcej załadować już nie można, przychodzi pora na ludzi. Pomocnik kierowcy wykrzykuje nazwiska pasażerów, wywołani wchodzą i siadają na wyznaczonym miejscu. Reszta pokornie czeka na decyzję pomocnika. Pomocnik to bardzo ważna osoba. On decyduje, kto, kiedy i gdzie usiądzie, a przede wszystkim, czy wsiądzie. Bo do tego, by pojechać, bilet nie wystarczy. Trzeba jeszcze zdobyć uznanie pomocnika kierowcy. Nie wszyscy posiadający bilet się zmieszczą. I wtedy, po chwili krzyków i biegania, zaczyna się rozpakowywanie dachu. Pół biedy, jeśli bagaże pechowców są na górze. Gorzej, jeśli niżej. Po półgodzinie, czasem po godzinie do autobusu, w którym trudno wytrzymać, a pasażerowie są spoceni i wyglądają, jakby wyszli z wody, wsiada kierowca.

[5] *Ou se trouve le gare de bus?* (franc.) – Gdzie jest dworzec autobusowy?

Dworzec autobusowy
i pasażer, który za chwilę
razem z tykwami wsiądzie
do pojazdu

Czekamy na targu drugą godzinę. Zaczyna doskwierać głód. Co prawda zjedliśmy dziś najlepsze w życiu afrykańskie śniadanie, czyli gotowaną kaszę z prosa z rodzynkami, zalaną zsiadłym słodzonym mlekiem, ale minęło sporo godzin. Na szczęście obok smażą się omlety, które sprzedawca wkłada do przekrojonej bagietki. Olej w kociołku, który wisi na drągu nad ogniskiem, jest czarny jak smoła i bardziej przypomina zużyty olej samochodowy niż spożywczy, ale bagietki z omletem smakują nieźle. Kończymy ten „lunch”, gdy ludzie zaczynają biegać. Po chwili podjeżdża autobus. Africa Tours Trans to porządny przewoźnik, pojazdy ma przyzwoite i jest nadzieja, że nie sprzedają więcej biletów, niż jest miejsc. Stoimy w wianuszku przed wejściem, a pomocnik wywołuje nazwiska. Trzeba tylko rozpoznać swoje. Jak wypowie polskie imię i nazwisko?

– Łanda – woła przewoźnik i już wiemy, że jedziemy.

Z Diourbel do Bamako jest jakieś tysiąc dwieście kilometrów. Na tutejsze drogi i autobusy to ogromna odległość. Trzeba też przekroczyć granicę senegalsko-malijską, a to zawsze wielka niewiadoma. Pojedziemy pewnie z trzydzieści godzin w przepełnionym i nieklimatyzowanym pojeździe. Na zewnątrz jest prawie czterdzieści stopni, wewnątrz więcej, a ponadto duszno i wilgotno.

Po dwóch godzinach siedzący przede mną Senegalczyk zaczyna majstrować przy fotelu. Chce go przesunąć do tyłu i opuścić siedzenie. W końcu udaje mu się i robi się straszliwie ciasno. Muszę zrobić to samo.

– Re! – warczy ktoś z tyłu, gdy obniżam oparcie fotela. – Re! – powtarza i kopie w mój fotel. Tego już zbyt wiele. Staję nad nim z groźną miną i tłumaczę, o co chodzi. Najpierw cicho, potem donośnym głosem. Jest większy, młodszy i silniejszy ode mnie, ale słucha z pokorą. Do końca podróży nie warknie, nie kopnie w fotel i będzie obchodzić się ze mną jak z jajkiem.

Na kolejnym przystanku bajkowa scena. Do autobusu wsiada pięćdziesięcioparoletni Malijczyk w galabii, obwieszony koralami, z długim kosturem w prawej ręce i kurą na sznurku w lewej. Pierwszemu z brzegu pasażerowi podaje kurę ze sznurkiem, a sam przepycha się przez autobus. Kurą nie interesuje się wcale. Wolne miejsce znajduje za Wandą, rozsiada się wygodnie i dopiero wtedy woła. Kura z rąk do rąk wędruje przez cały autobus i ląduje na jego kolanach. Przejedzie z nią tak ponad pięćset kilometrów, wysiądzie dopiero na pierwszym przystanku w Mali. Dlaczego wiezie ją taki szmat drogi? Przecież w każdej wsi, w każdym mieście żyją miliony kur. Zapytany o to nie odezwie się słowem.

Atrakcją podróży są przystanki. Na małych przystankach postój trwa kilka minut. Ale w tym czasie można obejrzeć cały spektakl. Dziesiątki handlarzy wpychają się w drzwi autobusu. Nie wolno im wejść do środka, stoją na stopniach i przekrzykują się. Hałas i tumult robią ogromny. Oferują wszystko: banany, mango, wodę w woreczkach nylonowych, napoje w butelkach, pieczone mięso, gotowany ryż, sezamki, orzeszki ziemne, obrazki, korale – targ na głowach i w rękach. Pewnego razu, już w Mali, na schody wepchnął się dziesięcioletni chłopczyk i zaczął śpiewać. Głos miał przepiękny, silny i głęboki, śpiewał smutną afrykańską pieśń. Robił to tak przejmująco, że wszyscy zamilkli. Był to najlepszy przystankowy „towar”, jaki kiedykolwiek spotkaliśmy w Afryce.

Gdy autobus rusza, zaczyna się mlaskanie, oblizywanie i plucie. Nasze sezamki ze sprasowanego ziarna i bez grama cukru smakują wyśmienicie. Ale sąsiadom bardziej odpowiadają owoce i pieczona baranina. Wkrótce skóry z bananów i pestki z mango, ogryzione kości, nylonowe woreczki po wodzie latają w powietrzu w kierunku wyjścia. To miejsce jest autobusowym śmietnikiem. Szybko całe przejście i stopnie zapełniają się odpadkami. Zanim dojedziemy do następnego przystanku, gdzie pomocnik

kierowcy nogą zrzuci to wszystko na zewnątrz, zlecą się setki much na żer. Kosze na śmieci, europejski wynalazek, nie przyjęły się w Afryce. Podczas wielu podróży po Czarnej Afryce zauważyliśmy tylko jeden. Stał – i pewnie stoi nadal – przed Ministerstwem Finansów w Bamako. Był całkiem pusty, wokół walały się śmieci.

Na większych przystankach postój trwa dwadzieścia minut albo i pół godziny. To sporo czasu, więc handlarze budują drewniane kramy i przystanki zamieniają się w targi. Podczas półgodzinnego krążenia wśród nich niemal każdy podróżny coś kupi. Mamy właśnie postój na dużym przystanku, który tym różni się od innych, że z tyłu, za targiem, jest maleńki meczet. Nadeszła pora wieczornej modlitwy. Kierowca, pomocnik i wszyscy podróżni zmierzają do meczetu. Podczas modlitwy nikt im nie przeszkodzi. Dopiero gdy skończą, targ ożyje i zaczną się zakupy.

Często takie targi są nie tylko miejscem handlu, ale i produkcji. Tak było w Diourbel, gdzie za kramami spotkaliśmy Oumara w jego „fabryczce rękodzieła artystycznego”. Był to plac o powierzchni stu metrów kwadratowych. Na ziemi siedziało kilkunastu mężczyzn, którzy młotkami bardzo podobnymi do murarskich, tylko nieco większymi i ostrzejszymi, rzeźbili w drewnie. Aż wierzyć się nie chce, że subtelne drewniane figurki można wyrzeźbić takimi narzędziami. Ale powstawały one na naszych oczach, a na murku stanowiącym wystawę fabryki stało ich kilkanaście różnej wielkości. Oumar prezentował wyroby, namawiał do zakupu i z dumą opowiadał, że od dwóch lat ma stałego nabywcę z Paryża, który sprzedaje je w paryskiej galerii. Kosztują tam po kilkadziesiąt euro. W Diourbel za hebanowe cacko zapłaciliśmy trzy tysiące franków (niewiele ponad cztery euro). Rzeźbiarzowi, który je wykonał, Oumar płaci za dzień pracy od półtora tysiąca do dwóch tysięcy franków. Za wyrzeźbienie naszej

figurki otrzymał sześćset franków. Gdy dołożyliśmy mu tysiąc, nie posiadał się z radości.

Kierowca zatrąbił, a pomocnik stanął na schodach autobusu – to znak, że koniec postoju, że jedziemy dalej. Przy pojeździe robi się niesamowity tłok. Nagle jakby cały targ znalazł się przed tym autobusem. Pchają się pasażerowie, pchają się handlarze. To już ostatnia szansa, żeby coś sprzedać lub kupić. Trzeba tylko przejść przez prowadzący wprost do drzwi autobusu szpaler handlarzy, którzy wpychają do rąk swoje towary. Jeśli nie chce się czegoś kupić, nie wolno tego wziąć do ręki, bo taki towar uważają za zakupiony, nie odbiorą go i żądają pieniędzy.

Pustynny „motocyklowy nomad” spotkany na bezdrożach Mali

Przystanek autobusowy to mozaika najprzedziwniejszych postaci

Droga jest monotonna, prowadzi przez pół step, pół sawannę, porośnięte wysoką, suchą trawą, krzakami tarniny, czasem pojawia się pojedynczy baobab lub akacjowiec, w którego cieniu ktoś zasnął głębokim snem. Gdzieniegdzie biedne wioski, ale teren jest coraz mniej zaludniony. Szosa staje się węższa, niekiedy asfalt zamienia się w czerwony szutrowy pas. Mija kolejna godzina jazdy przez wschodni Senegal w kierunku granicy z Mali.

O czwartej nad ranem autobus zatrzymuje się przed graniczną barierą. Na granicy nie ma nikogo, żadnego strażnika, żadnego urzędnika. Właściwie można by jechać dalej i pewnie nikt by tego nie zauważył, nic by się nie stało. Przy niewielkim budynku senegalskiej straży granicznej stoi kilka autobusów. Afrykańską czarną noc rozświetlają ogniska podróżnych, którzy coś gotują.

– Kiedy odprawa? – pytam pomocnika.

Uśmiecha się.

– Jak pojawią się strażnicy. A teraz można jeść i spać.

Strażnicy przychodzą po pięciu godzinach, o dziewiątej rano. Przed dziesiątą zabierają się do pracy. Potem odbierają od kierowców autobusów paszporty podróżnych i znikają w budynku. Kilkaset osób stoi na zewnątrz w oczekiwaniu na wywołanie swojego nazwiska.

– Przekroczenie granicy w Afryce to ciekawe doświadczenie – mówi John, student malarstwa ze Szkocji. – Tydzień temu na granicy gwinejskiej utknąłem na dobę. Za to z Gambii do Senegalu przeszedłem w dziesięć minut. Średnia nie najgorsza – śmieje się.

Jest bardzo zmęczony, przede wszystkim psychicznie. W Afryce przebywa od czterech miesięcy. Mówi, że artystycznie Afryka go inspiruje,

że zrobił wiele fajnych szkiców, ale dłużej nie może już tu wytrzymać. Jedzie do Bamako, stamtąd odleci do Europy.

John ma rację, gdy mówi, że odprawa graniczna jest wielką niewiadomą. Niedawno przeszliśmy do Mauretanii i powróciliśmy bez żadnej odprawy. Wracaliśmy wówczas znad jeziora w Parku Narodowym Djoudj. Na przejściu granicznym Diama-Maka zbudowano most. Aż dziw, że tak tam pusto, choć w pobliskim Rosso, gdzie nie ma mostu i kursuje prom, jest zawsze tłum. Strażnik przy granicznym szlabanie śpi. Nie budzimy go, idziemy do Mauretanii bez wiz i odprawy. Gdy po godzinie wracamy na wozie zaprzęgniętym do osiołka, strażnik wciąż śpi. Mały chłopczyk podnosi barierę graniczną i droga do Senegalu stoi otworem. Podobnie jest z granicami na Saharze. Tuaregowie, rycerze i gospodarze pustyni, w ogóle nie uznają granic. Wędrują, gdzie chcą i kiedy chcą, nie przejmując się wykreślonymi na mapach liniami. Na pustynnym piasku te linie przecież nie istnieją.

Inaczej wyglądała odprawa graniczna, gdy wracaliśmy z Burkina Faso do Mali. Strażnik wręczył nam do wypełnienia plik formularzy. Na wszystkich te same rubryki: imię, nazwisko, numer paszportu, miejsce jego wydania, wszelkie możliwe daty od urodzenia począwszy, oraz mnóstwo danych, których nikt nigdy nie sprawdzi ani nikomu do niczego nie będą potrzebne. Bo po co pytanie o dzieci, ich wiek oraz imiona, nazwę hoteli, w których będziemy w Mali mieszkać, gdy sami nie wiemy, kiedy i gdzie się zatrzymamy, zawód, kraje, które odwiedziliśmy dwa i pięć lat temu oraz dziesiątki podobnych? Ale każdą rubrykę, nawet najbardziej bezsensowną i naprawdę do niczego nieprzydatną, jak numer lotu, którym przylecieliśmy do Senegalu kilka tygodni wcześniej, trzeba uzupełnić. Pusta rubryka natychmiast wywołuje reakcję strażnika:

– O, tu niewypełnione! – zawoła i zwróci formularz.

Zapisuję te rubryki solidnie – choć równie dobrze można by wpisać, jak kiedyś zrobiłem to w Etiopii, jako miejsce urodzenia „kuku na muniu”, a imię syna „Sikorka” – bo nie mamy porządnych papierów. W moim paszporcie urzędnicy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Bamako wkleili wizę Wandy z jej zdjęciem i odwrotnie.

Asystujący strażnik nie odrywa wzroku od mojego długopisu.

– Czy wiesz – pyta – jak my kiepsko zarabiamy? Nigdy nie będzie mnie stać na taki długopis.

– Kiedy skończę wypełniać formularze, dostaniesz długopis – mówię.

Na jego twarzy pojawia się błogi uśmiech.

– Mój przyjacielu, jesteś dobrym człowiekiem – mówi.

Odbiera formularze, oddaje paszporty i ogląda długopis. Potem kłania się w pas:

– *Au revoir*[6] – żegna się elegancko.

A gdy wsiadamy do samochodu, woła za nami:

– Kim jesteście? Anglicy? Amerykanie?

Dwadzieścia minut trzymał w ręku nasze paszporty. Niemożliwe, by nie wiedział, skąd jesteśmy.

– Nie dziw się, on jest analfabetą – mówi nasz kierowca.

– Z Polski jesteśmy – odzywam się i uśmiecham do strażnika.

– Aaa, z Polski? Znaczy się z Ameryki.

Tymczasem wciąż czekamy na wywołanie naszego nazwiska. John otrzymał już paszport i wsiada do autobusu. Strażnicy odprawiają podróżnych jak leci. Jeden z autobusów jest już pełny, brakuje dwóch pasażerów. Zostaną odprawieni jako przedostatni.

Każdy wchodzący do odprawy Afrykanin trzyma w ręku tysiąc franków. To graniczny standard łapówkowy. Tylko z tych czterech

autobusów zbierze się dwieście tysięcy – dwie bardzo dobre miesięczne pensje. Ile będzie w ciągu dnia? Ile w ciągu miesiąca? Kwoty idą w miliony. Ale w rękach strażników pozostanie tylko maleńka część tych pieniędzy. Większość przekażą swoim przełożonym. Ci zostawią sobie trochę, a resztę wręczą swoim przełożonym. Nie wiem, gdzie kończy się ten łańcuszek.

– Dokąd państwo jadą? – pyta oficer przy biurku, uśmiechając się grzecznie. Cóż za pytanie, stąd można jechać tylko do Mali.

– Do Mali – odpowiadam.

– A skąd państwo jadą?

Żarty sobie stroi? Mina wskazuje, że pyta serio.

– Z Senegalu.

– Życzę miłej podróży – mówi oficer i oddaje paszporty.

Podróż od granicznej bariery senegalskiej do malijskiej trwa dwie minuty. Tu procedura ta sama: oczekiwanie na paszporty, tysiąc franków, skąd i dokąd jedziemy i *bon route*[7]. Po ośmiu godzinach postoju na granicy droga do Mali stoi otworem.

---

[6] *Au revoir* (franc.) – Do widzenia.

[7] *Bon route* (franc.) – Szczęśliwej podróży.

Odprawy graniczne w Afryce trwają godzinami, ale tym razem Wanda niepotrzebnie sięga po paszport. Granicę z Mauretanią przekroczyliśmy bez wiz i formalności, bo strażnik spał

Rozdział 6

Mój dziesiąty wuj

Kayes

Kobieta potyka się, traci równowagę i wydaje się, że runie do wody. Na szczęście nie upada, odzyskuje równowagę i idzie dalej. Gdyby się wywróciła, utonęłaby wraz z trójką dzieci, z których jedno niesie w zawiniątku na plecach, a dwoje starszych idzie za nią, trzymając się kurczowo jej sukni, bo woda sięga powyżej ich szyi. Kobieta brodzi przez szeroką w tym miejscu na trzysta metrów rzekę Senegal, bo nie ma pieniędzy, żeby zapłacić za przewóz łódką, choć kosztuje to dosłownie grosze. Na głowie niesie wielki kosz z owocami. Kieruje się na drugą stronę rzeki, na targ w Kayes.

Targ ciągnie się od brzegu Senegalu do biegnącej powyżej piaszczystej ulicy, wzdłuż której stoją piękne kolonialne domy. To znaczy kiedyś były piękne, widać jeszcze architekturę, a teraz są straszliwie zaniedbane, brudne i wydaje się, że za moment się rozpadną. Na parterze domów sklepiki bez drzwi i okien, bo ich framugi już dawno zostały wyrwane i posłużyły za opał do palących się wzdłuż ulicy ognisk. A przed sklepami targowe stoiska z afrykańsko-chińskim towarem: owoce, warzywa, suszona papryka i cebula, T-shirty, klapki na nogi i mnóstwo elektryczno-plastikowej chińszczyzny.

Kayes to czwarte co do wielkości miasto Mali, w którym mieszka według różnych szacunków od osiemdziesięciu do stu trzydziestu tysięcy mieszkańców. Taka rozbieżność danych jest w Afryce normalna, nikt dokładnie nie wie, ile ludzi żyje w miastach, i zapewne nikt też nie wie, ile na całym kontynencie. Kayes jest pierwszym dużym malijskim miastem na drodze z Senegalu. W latach 1892–1899 było stolicą francuskiej kolonii Sudan Francuski. Potem stolicę przeniesiono do odległego o pięćset

kilometrów Bamako. Podczas drugiej wojny światowej właśnie tu, a nie do Bamako, wywieziono większość rezerw złota Banku Francji. Któż by go tutaj szukał? Po wojnie złoto powróciło tą samą drogą, czyli koleją Bamako–Dakar i dalej drogą morską – do Francji.

Jest straszliwie gorąco. To jedno z najgorętszych miast Afryki. W maju średnia temperatura wynosi 46°C, ale teraz wcale nie jest mniej. Gdy wracamy z targu łodzią na drugą stronę rzeki, na brzegu widać kobiety, mężczyzn i mnóstwo dzieciarni. Dzieci i młodzi chłopcy kąpią się nago. Półnagie kobiety myją się, a potem w wodzie z mydlinami zmywają garnki i misy. Jest tak kolorowo i pięknie, że trudno oderwać wzrok. Przypomina to trochę indyjskie ghaty w Waranasi nad Gangesem, gdzie tysiące ludzi bierze rytualne kąpiele. Tutaj kąpiel nie ma nic z rytuału, ale widoki są równie zachwycające.

Dobrze, że zatrzymaliśmy się w Kayes. Po dwudziestu godzinach jazdy autobusem świadomość, że trzeba jechać jeszcze dziesięć godzin do Bamako, była nie do wytrzymania. Wysiedliśmy i zanim zdążyliśmy zabrać bagaże, doszło do straszliwej kłótni. Taksówkarze pokłócili się i omal nie pobili o to, kto ma nas zabrać. Wskoczyliśmy do najbliższej taksówki. Było to najgorsze auto, jakim w życiu jechałem. Miało pewnie ponad pięćdziesiąt lat, tylko przednią szybę, choć całą popękaną, a resorów wcale. Podwozie szorowało po piaszczystej drodze, wzniecając tumany kurzu. Taksówkarz zawiózł nas do swego przyjaciela Abdou.

Dom Abdou jest modelowy – jak na dłoni widać w nim sposób życia afrykańskiej rodziny. Familie są tu wielkie, liczą po kilkaset, a nawet kilka tysięcy osób. Z reguły los rozrzucił je w różne miejsca, często odległe. Poznałem ludzi, którzy najbliższych krewnych mieli w dalekich krajach. Blaise, który mieszka w Diourbel, gdzie żyją też jego dwie siostry i dwaj bracia, ma brata w Bamako, w Mali, dwaj bracia wyjechali do Kamerunu,

dwie siostry są w Ghanie, jedna w Nigrze, a najstarsza wyemigrowała do Włoch. Wszyscy utrzymują ze sobą kontakt, głównie dzięki telefonom komórkowym, a raz na kilka lat się spotykają. Dzięki temu Blaise, jego siostry i bracia gdziekolwiek pojadą, mają gdzie mieszkać. Jak nie u siostry lub brata, to u bratanka, kuzyna, wuja. Odmowa gościny nie wchodzi w grę. Rodzina to świętość i najświętszym obowiązkiem jest przyjąć i gościć krewnego tak długo, aż ten zdecyduje się wyjechać. Oczywiście, przyjezdny musi pamiętać, że jego utrzymanie kosztuje, i stosownie się rewanżować. Blaise, który handluje, czym się tylko da, jeździ po wszystkich tych krajach i jeszcze mu się nie zdarzyło, żeby nocował w hotelu.

– Gdziekolwiek pojadę – mówi – zawsze znajdzie się jakiś krewny. Twierdzi, że jego najbliższa rodzina liczy ponad trzysta osób. A razem z dalszą będzie ze dwa tysiące. Przyczyna takiego rozproszenia jest prozaiczna – brak miejsca w domu rodzinnym dla licznego potomstwa. Niemal każda kobieta ma kilkanaścioro dzieci. Gdy te dorastają i gdy rodzą im się dzieci, z rodziny kilkunastoosobowej robi się kilkudziesięcioosobowa. W następnym pokoleniu to już kilkaset osób. Muszą zatem opuścić dom i szukać własnego miejsca na świecie. Ale więzy rodzinne pozostają silne.

W rodzinie Abdou migracja jest mniejsza, bo mają duży dom. Przypomina piętrową, obszerną kamienicę, jest długi na pięćdziesiąt metrów i szeroki na kilkanaście, z ogromnym dziedzińcem wewnątrz. Właściwie najważniejszy jest dziedziniec. Tutaj toczy się życie. W domu oprócz rodziców Abdou mieszkają jego trzy siostry, czterej bracia i dwaj kuzyni. Wszyscy mają swoje rodziny, więc kręci się tu niewiarygodna liczba dzieci. Najstarsze z nich też już założyły rodziny i mają własne dzieci. Łącznie mieszka tu prawie sto osób.

Nie ma wątpliwości, że tworzą jedną rodzinę. Kończymy właśnie obiad, a w misce pozostało jeszcze sporo kaszy i ryb. Podchodzą dwie siostry Abdou i jego żona, zabierają misę, przysiadają kilka metrów dalej na dziedzińcu i wraz z dziećmi, które zbiegły się z różnych miejsc domu, zjadają resztę. To standard afrykański – gdy mężczyźni i goście się najedzą, tym, co pozostało, posilają się kobiety i dzieci. Nie ma żadnych podziałów, jedzą wszystkie dzieci, które podejdą do misy.

Dwuletnia dziewczynka wywróciła się i płacze. Jej matka w drugim końcu dziedzińca coś gotuje. Starsza kuzynka bierze dwulatkę na ręce i ją uspokaja. Osiemnastoletnia córka Abdou karmi piersią swego synka, a gdy na czworakach doczłapuje do niej siedmiomiesięczna córeczka jej ciotki, przykłada ją do drugiej piersi. Kobieta karmiąca piersią równocześnie dwoje dzieci nie jest widokiem niezwykłym. Widzieliśmy takie sceny na ulicy w Toubie, na targach w Diourbel i później w Bamako.

Kobieta z trójką dzieci przechodzi przez
trzystumetrowej szerokości
rzekę Senegal, bo nie ma paru
groszy na przeprawę łódką

Wszędzie w Afryce, w Mali, Ugandzie, Kongo, Nigerii kobiety ubierają się niezwykle barwnie. Zwłaszcza wtedy, gdy wybierają się na targ lub na uroczystość rodzinną, która obowiązkowo kończy się tańcami

Afrykanie kochają dzieci. Niemowlaki, dopóki matka nie urodzi następnego dziecka, mają fantastyczną opiekę, nieporównanie lepszą niż ich europejscy czy amerykańscy rówieśnicy. Cały czas, dwadzieścia cztery godziny na dobę, spędzają z matką. Albo leżą na jej brzuchu i ssą pierś, albo spoczywają na jej plecach przewiązane chustą. Z dzieckiem na plecach kobiety gotują, sprzątają, noszą wodę, handlują na targu, nawet tańczą na weselach i zabawach. Dziecko jest stale z matką i to w ścisłym, fizycznym kontakcie. Pozycja na plecach jest z medycznego punktu widzenia idealna, bo wymusza rozłożenie nóżek i rączek w sposób gwarantujący odpowiedni rozwój fizyczny, a bliski kontakt z matką zapewnia ważne w tym wieku poczucie bezpieczeństwa i komfort psychiczny. Dopiero niedawno odkryliśmy te walory, a młode amerykańskie i europejskie małżeństwa zaczęły nosić niemowlaki w nosidełkach na piersiach lub plecach. Afrykanie stosują ten sposób od tysięcy lat. Luksus niemowlaka kończy się, gdy matka rodzi kolejne dziecko. Teraz ono zajmuje miejsce przy piersi i na plecach, a siostrzyczka lub brat lądują, i to dosłownie, na ziemi. Matka nie zapomina o nich, karmi je i dba, pomagają jej siostry, kuzynki, rzadziej babcie, bo te umierają wcześnie, ale to już nie to samo. Dziecko, zdane coraz bardziej na siebie, początkowo nie odstępuje matki, potem biega za starszym rodzeństwem i szybko uczy się wyciągać rękę: *Cadeau*, *cadeau!*[8]

Oczekiwanie na prezent jest powszechne. Wystarczy na moment się zatrzymać, by zostać otoczonym przez gromadę niemiłosiernie brudnych i obdartych dzieci. Nieważne, czy to wielkie miasto, czy busz, gdzie nie ma żywego ducha. Nie wiadomo skąd błyskawicznie pojawia się ta gromadka z wyciągniętymi rękami. Kiedyś zatrzymaliśmy się na siusiu w – jak nam się wydawało – zupełnie bezludnym terenie. Nie udało się. W ciągu minuty otoczyło nas mrowie maluchów. Skąd się tam wzięły? Te dzieci przyjmą wszystko, co się im da: bułkę, cukierek, owoc, lizak. Zjedzą w

okamgnieniu. Widać, jak bardzo są niedożywione. Wiecznie głodne nie potrafią nic odłożyć na później, nawet gdy dostaną więcej, niż mogą zjeść. A potrafią pochłonąć niewiarygodnie dużo. Zaraz za jedzeniem w rankingu cennych prezentów są długopisy, a w ostatnich latach również pisaki i mazaki. Kosztują grosze, ale te grosze trzeba mieć. Dzieci ich nie mają, więc kiedy dostaną długopisy, są naprawdę szczęśliwe. Zwłaszcza dzieci ze wsi, które nie tylko nie mają pieniędzy, ale też sklepu, gdzie można coś kupić. Nieraz przejeżdża się sto, dwieście kilometrów, mija dziesiątki wiosek i nie zobaczy sklepu, w którym byłoby cokolwiek prócz artykułów spożywczych.

Bieda dotykająca tych ludzi nie jest dla nich powodem do wstydu. Wszędzie na świecie ludzie wstydzą się swojej biedy, starają się ją ukryć. Ale nie w Afryce. Tutaj jest ona czymś zwyczajnym, tak oczywistym, jak to, że po nocy przychodzi dzień. Jest nawet powodem do pewnej dumy: jestem biedny, a więc jestem normalny, uczciwy, prawdziwy. To bogactwo wydaje się czymś nienormalnym i wstydliwym. Jeśli jesteś bogaty, to znaczy, że nie jesteś taki jak wszyscy, jesteś podejrzany.

Zbliża się wieczór i dopiero teraz widać, jak dużo osób mieszka w tym domu. Wrócili mężczyźni i chłopcy, zebrały się dzieci. Wciąż jest upalnie, na ziemi dziedzińca kobiety rozkładają materace i koce. W pokojach jest zbyt ciepło, a poza tym w pozornie ogromnym domu większość przestrzeni zajmuje tak naprawdę dziedziniec, pokoi jest niewiele. Im bliżej nocy, tym większą powierzchnię podwórza zajmują legowiska. Nad niektórymi, tam gdzie śpią małe dzieci, kobiety rozwiesiły moskitiery. Starsi sami muszą poradzić sobie z komarami.

Gdy o trzeciej nad ranem wychodzimy, by zdążyć na autobus do Bamako, trzeba uważać, by nikogo nie potrącić, nie nadepnąć. W świetle wiszącego na niebie księżyca przed oczami jawi się widok setki

mieszkańców domu śpiących głębokim snem. To jeszcze jedno, tym razem nocne, oblicze Afryki.

---

[8] *Cadeau* (franc.) – Prezent.

Rozdział 7

Marzenia Baaby

Bamako

Coś zapiszczało pod nogami. Idziemy po betonowej kładce przykrywającej miejski rynsztok. Bamako pocięte jest siecią płytkich kanałów ściekowych i rynsztoków. Gdzieniegdzie tylko pokrywają je betonowe płyty. Tam, gdzie ich nie ma, ścieki, zmieszane z miejskimi śmieciami, płyną niemal na poziomie ulicy i straszliwie śmierdzą. Całe Bamako śmierdzi. Kończy się betonowa płyta i w odkrytym rynsztoku je zauważamy. Dziesięć, albo i więcej szczurów ucztuje, wyżerając padlinę. Przeskakujemy rynsztok, bo zaraz za nim jest sklepik, w którym od trzech dni robimy zakupy.

– *Ça va toubaba?*[9] – wita nas Daaku. – Co podać? Bagietka, ser, woda, tonik?

Daaku ma dwadzieścia jeden lat i ze starszym bratem prowadzi sklepik, którego powierzchnia liczy najwyżej sześć metrów kwadratowych. Oprócz serka topionego i bagietek można tu kupić ryż, herbatę, owoce i niewiele więcej. Przed sklepem stoi stara lodówka, a w niej butelki z wodą, coca-colą i lokalnym tonikiem.

Daaku pakuje zakupy do plastikowej torby i jak co dzień, zanim włoży butelki z tonikiem, pyta z nadzieją: – A może jednak coca-cola?

Nie potrafi zrozumieć, dlaczego zamiast coca-coli kupujemy miejscowy tonik. Ale nam kończy się whisky, skuteczny środek przeciw zatruciom i malarii. Tymczasem tonik zawiera chininę, która jest stosowana jako lek na malarię, a komarów tu co niemiara i lepiej dmuchać na zimne.

Na piętrze domu ze sklepikiem mieszka rodzina siostrzeńca Xaviera i w przeciwieństwie do niego to sympatyczni i życzliwi ludzie. Odwiedzamy ich codziennie, by pomóc żonie siostrzeńca. Trzydziestoparoletnia kobieta

ma malarię. Jest wykończona po kolejnych atakach. Cały dzień spędza, pół siedząc, pół leżąc na niewielkiej kanapie. Nie ma siły wstać, by zająć się dziećmi. Nie ma siły, by coś zjeść. Nie ma nawet siły pić. Oczy ma zapadnięte i smutne, ale kiedy przychodzimy, uśmiecha się. Wie, że przynieśliśmy kolejną tabletkę na malarię. Zażywa ją, ale boi się, czy malaria i tabletki nie zaszkodzą dziecku. Jest w ciąży. Za cztery miesiące urodzi dziewiąte dziecko.

Niedaleko tego domu, przy bocznej piaszczystej uliczce, stoi hotel La Piroque. Właściwie hotelik, raptem dziesięć pokoi, w tym dwa z łazienką i moskitierą. Zajęliśmy ten większy z tarasem, mniejszy stoi pusty. W ogóle w hotelu jest pusto, czasem na noc pojawiają się dwie, trzy osoby, które rano znikają. Na dole, w recepcji, która jest też barem, stoi lodówka, a w niej zimne piwo. Wieczorem wpada tam kilka osób, czasem pojedynczy hotelowi goście. Można by posiedzieć, poznać ludzi, pogadać, ale w barze jest gorąco, a na tarasie niemiłosiernie tną komary. Kończy się na tym, że kupujemy piwo i uciekamy do pokoju pod moskitierę. Czasem piwo przynosi do pokoju Ifrah, hotelowy boy i w ogóle jedyny pracownik hotelu. Bardzo sympatyczny chłopak, który straszliwie boi się swojej ciotki, właścicielki hotelu. Właściwie nie wiadomo, czemu tak się jej boi, bo kobieta jest całkiem miła.

Jest siódma wieczór i jak zwykle o tej porze w ciągu kilku minut robi się ciemno. Tutaj nie ma zmierzchu, jest dzień, a o siódmej zapada noc. Planowałem wołać Ifraha, aby przyniósł piwo, gdy poczułem się źle. Najpierw pojawiły się dreszcze, potem gorączka, biegunka i wymioty. Dwa dni temu mocno pogryzły nas komary, czyżby to malaria? Może jednak tylko zatrucie? A może cholera? Choremu najgorsze myśli przychodzą do głowy. O północy jest już całkiem źle, gorączka wzrosła, przed oczami latają czerwone plamy. Wanda podaje tabletki na zatrucie i na malarię.

– Jeśli będę tracił przytomność – mówię – zawołaj Ifraha, niech sprowadzi taksówkę i zawieziecie mnie do amerykańskiego szpitala.

O ileż moja sytuacja jest lepsza od doświadczeń Kapuścińskiego sprzed półwiecza. Kiedy ciężko zachorował, nie miał przy sobie nikogo, nie miał telefonu komórkowego, pieniędzy ani szpitala w pobliżu. Ja w ciągu godziny mogę być w szpitalu. Podbudowany wspomnieniem o Kapuścińskim zasnąłem, a gdy obudziłem się nad ranem, byłem zdrowy.

Z hotelowego tarasu dobrze widać uliczki Kalaban Coura. Nie ma na nich ani metra asfaltu, tylko piach i piach. Jedynie główna ulica prowadząca do centrum Bamako jest asfaltowa. Kalaban Coura to jedna z największych dzielnic Bamako, poło żona w drugim kręgu, czyli miasto-wieś. We wszystkich domach hoduje się kozy, barany, kury i to też możemy zobaczyć z tarasu.

Ludzie są sympatyczni. Pierwszego dnia traktowali nas z dystansem, drugiego zaczęli się uśmiechać i zagadywać, a od trzeciego traktują nas jak stałych mieszkańców i sąsiadów. Gdy idziemy ulicą, zapraszają do domów, przynoszą krzesła i zachęcają, by wspólnie obejrzeć mecz w telewizorze wystawionym przed warsztatem i sklepem meblowym równocześnie, pytają o zdrowie, a dzieci gromadnie odprowadzają nas do hotelu. Nocą chodzimy z małą latarką na czole, bo noce są czarne jak smoła, a oświetlenia ulicznego nie ma. Nikt nam nic nie zrobi, nikt nie zaczepi, a jeśli już, to z przyjaznymi zamiarami. Znają nas wszyscy, bo jesteśmy jedynymi białymi w okolicy. Najlepiej zapoznaliśmy się z gromadką chłopaków spod hotelu. Jest ich kilkunastu, nastolatkowie i dwudziestolatkowie. Nic nie robią, siedzą. Nie wiadomo, od kiedy i po co. Budzimy się rano – już są, gdy idziemy spać, mówimy im dobranoc. Właściwie to nawet nie wiem, czy nie spędzają tu nocy. W południe, gdy jest najgoręcej, śpią. Obudzi ich mucha,

odgonią ją i śpią dalej. I tak dzień po dniu. Na co czekają, czego chcą? Każdego dnia życie im ucieka.

– Co porabiasz, Baaba? – pytam osiemnastolatka siedzącego przy bramie hotelu.

– Marzę sobie – mówi.

– O czym marzysz?

– Że kiedyś zarobię pieniądze i kupię auto.

– A jak zarobisz, Baaba, skoro nie pracujesz?

– Jakoś zarobię. A jak będę miał auto – marzy dalej – zacznę wozić bogatych białych i zarobię jeszcze więcej. Wtedy kupię sklep. A potem fabrykę – puszcza wodze fantazji. Krok po kroku i po pięciu minutach jest już najbogatszym człowiekiem w Afryce, co tam w Afryce – na świecie! Ma pałace, służbę i limuzyny.

– To wszystko, Baaba, jest możliwe – przerywam mu – ale musisz pracować, a nie bezczynnie tu przesiadywać.

– A po co? – pyta zdziwiony jak dziecko.

– Żeby zarobić pieniądze, żeby kupić auto, a potem sklep i fabrykę.

– Eee, nie chce mi się iść do pracy. Tutaj mi dobrze – mówi i nakrywa głowę chustą, opiera się o hotelową bramę, zamyka oczy. I znów marzy.

Podobnie zachowuje się spotkany w barze hotelowym w Wagadugu kupiec ze stolicy Burkina Faso – on również oddaje się marzeniom.

– Mogę załatwić złoto, chcesz? – pyta. – Jak mi dasz pieniądze, kupię pół kilograma, potem założymy firmę, zatrudnię ludzi, będę jeździć po Ghanie, Kamerunie, Kongo, Beninie i skupować kruszec. Potem wykupimy koncesję na wielki obszar, opłacimy polityków i będę ci wysyłał tonę, dziesięć ton. Zarzucimy Europę, co ja mówię, zarzucimy złotem cały świat. Wiesz, ile złota jest w Afryce?

Kupiec jest dwa razy starszy od osiemnastoletniego Baaby spod hotelu La Piroque, ale marzenia ma takie same. Marzą koledzy Baaby i kupca. I koledzy ich kolegów. Cała Afryka marzy.

Naszym cicerone jest sympatyczny siostrzeniec Xaviera, mąż chorej na malarię. Pojechaliśmy z nim do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, by załatwić wizy. Potrzebne nam wjazdowe do Burkina Faso i powrotne do Mali. Stoimy teraz na podwórzu dość ponurego gmachu, a siostrzeniec biega po biurach. Obok kilku Francuzów, jakiś Amerykanin i Anglik. Są tu już od godziny i nie załatwili nic.

---

[9] Toubaba (język lokalny) – pieszczotliwie lub złośliwie o białym człowieku; inaczej: białas.

Na afrykańskich rzekach toczy
się bujne życie: są drogami
transportu, źródłami wody
pitnej, miejscami kąpieli
i zmywania naczyń

Kiedy mężczyźni oddają się
marzeniom, kobiety zajmują się
światem realnym

Nam, białym, wydaje się, że uzyskanie wizy to prosta sprawa. Trzeba wypełnić formularz, złożyć go z paszportem w okienku, opłacić i wrócić za dwie godziny po odbiór. Tak jest wszędzie, ale nie w Afryce. Bo w Afryce niby skąd masz wiedzieć, gdzie znajduje się formularz. Idziesz do urzędnika, on wzrusza ramionami, idziesz do drugiego – to samo. Piąty ci powie, żebyś poszedł piętro wyżej, a ten z piętra mówi, że masz iść na dół. I tak mija godzina, potem druga, a ty wciąż nie masz formularza. Wokół kręcą się młodzi ludzie i proponują pomoc: – Daj dwa tysiące franków, przyniosę ci dokument.

Dajesz, on otwiera teczkę i wyjmuje formularz. Za następne dwa tysiące pomoże ci go wypełnić. Zastanawiasz się, po co ta pomoc, skoro wszystkie rubryki po francusku i angielsku. Ale spróbuj je wypełnić. Kilka punktów sformułowanych jest tak, że nie wiesz, o co chodzi. Idziesz z tym nie do końca wypełnionym formularzem do urzędnika, a on ci go oddaje i każe uzupełnić. Ale jak, co wpisać? Wzrusza ramionami. Wtedy wracasz na podwórze, dajesz dwa tysiące i możesz składać dokument w okienku.

– Fotografia niedobra – mówi urzędnik.

– Jak to niedobra, przecież taka sama jak w paszporcie – protestujesz.

– Niedobra!!!

Nie powie oczywiście, gdzie zrobić dobrą. Za to chłopcy z podwórza za tysiąc zaprowadzą cię za róg, gdzie czeka fotograf. Pięć tysięcy i polaroidowe zdjęcie na tle płótna narzuconego na walący się mur, gotowe. Takie samo jakie już masz, a nawet gorsze, ale dobre. Potem idziesz ponownie do okienka, składasz formularz ze zdjęciem i paszport. Nad okienkiem wisi cennik – wiza kosztuje trzydzieści pięć tysięcy, ale powinieneś dać czterdzieści pięć. Jeśli to wiesz – za dwie godziny odbierasz paszport z wizą. Jeśli nie wiesz – przychodzisz po paszport, a paszportu nie ma. Zaginął, zniknął, nie ma. Zaczynasz się denerwować,

urzędnik mówi, żebyś wrócił za pół godziny, to może się znajdzie. Wracasz – paszportu nie ma. Wtedy urzędnik mówi, że gdybyś mu dał dwadzieścia tysięcy, to zrobi wszystko, co możliwe, i postara się paszport odnaleźć. Nie dajesz, czekasz dalej, a potem zamykają ministerstwo i każą ci przyjść jutro. Może jutro się znajdzie? Dajesz – urzędnik uśmiecha się szeroko, otwiera szufladę i z samej góry bierze twój paszport.

Nasz cicerone właśnie wrócił. Wcześniej zabrał nas do fotografa, teraz szybko wypełniamy formularze.

– Po czterdzieści pięć tysięcy od osoby i zaraz wracam – mówi.

Wraca za dziesięć minut z paszportami i wizami. Tyle że urzędnik wkleił moją wizę, z moim zdjęciem, do paszportu Wandy i odwrotnie. Ale to odkryjemy dopiero za kilka dni.

Francuzi też mają już swego cicerone. I Anglik, i Amerykanin również. Wszyscy odrobili afrykańską lekcję pokornej korupcji. Zostało jednak mało czasu, za pół godziny zamykają ministerstwo. Ich cicerone będą musieli się spieszyć. W Afryce pośpiech to towar nietypowy. I jak za każdy nietypowy produkt trzeba zapłacić więcej. Dużo więcej. Ale jeśli zapłacą, to zdążą. Na pewno zdążą.

Widok z mostu Męczenników na Niger, który oddziela Kalaban Coura od centrum Bamako, jest piękny. Szeroko rozlana rzeka, a na niej tryskające soczystą zielenią wysepki. Most jest jednym z ostatnich dzieł Francuzów w Mali – oddano go do użytku w 1957 roku. Dopiero ćwierć wieku później Saudyjczycy zbudowali most Króla Fahda. Dwa mosty to za mało na dwuipółmilionowe miasto. Ruch na obu jest niewiarygodny, przejeżdżają tędy tysiące samochodów, setki tysięcy motocykli i motorowerów. Niełatwo podziwiać piękno Nigru, gdy za plecami sznury pojazdów. Tym bardziej że na moście nie ma chodników, samochody i motocykle ocierają się o plecy.

Czasem trudno się ruszyć, by nie zostać potrąconym. Do tego ogromny hałas. Po kilkunastu minutach na środku, kiedy ma się za sobą kilometr mostu, a przed sobą drugi kilometr, i trzeba iść pośród samochodów i motocykli, patrząc w dół na rzekę, pięćdziesiąt metrów poniżej, może człowieka sparaliżować strach.

Z ryzykownego przejścia nie warto jednak rezygnować. Z mostu widać całe miasto. Po lewej kompleks Malybia. Nazwa sugeruje związek z Libią i rzeczywiście – ten zespół kilku gmachów w marokańskim stylu buduje się za libijskie pieniądze. Budowa trwa od paru lat, jest na ukończeniu. Wkrótce do kompleksu przeniesie się rząd malijski. Będzie to siedziba wszystkich ministerstw. Wpływy Libii w Mali, i tak już duże, jeszcze bardziej wzrosną.

Na wprost widać górujące nad miastem wzgórze z białą budowlą na szczycie. To pałac Koulouba, wzniesiony w latach 1903–1907. W czasach kolonialnych był siedzibą gubernatora, od uzyskania niepodległości w 1960 roku pełni funkcję siedziby prezydenckiej.

Po prawej główny bulwar miasta – ulica, która ciągnie się wzdłuż Nigru, od centrum aż do mostu Męczenników. Jest to, prawdę mówiąc, jedyna przyzwoita ulica w mieście, choć zamiast chodników ma szutrowe pobocza i także tutaj trzeba uważać na samochody, które pobocza traktują jak część drogi. Przy tej ulicy mieści się kilka ważnych instytucji, których gmachy tworzą architekturę okolicy: najbardziej okazały wieżowiec Bamako, czyli siedziba Banku Wspólnoty Zachodnioafrykańskiej, jeden z najlepszych malijskich hoteli oraz kilka ministerstw, w tym Ministerstwo Finansów z owym wspomnianym już, jedynym chyba w tej części Afryki, pustym koszem na śmieci.

Centrum miasta to wielki targ. Wszystkie place i ulice pełne są straganów – kilometry straganów, tysiące ludzi. W tłoku niełatwo trafić do

Marché Artisanal. Pochodząca z czasów kolonialnych budowla jest okrągła z wewnętrznym dziedzińcem, na którym wznosi się kolejny okrągły budynek. Na dziedzińcu oraz w podcieniach gmachów umiejscowiony jest targ rzemiosła artystycznego: rzeźby, korale, obrazy, odlewy figurek, drzwi dogońskie. Jeśli ktoś zechciałby urządzić swoje mieszkanie w afrykańskim stylu – tu kupi wszystko. A wychodząc stamtąd, wybierze coś jeszcze na niewielkim targu fetyszy, na który składa się zaledwie kilka kramów.

Pięćset metrów dalej stoi piękny, choć zaniedbany gmach dworca kolejowego. Linia kolejowa Dakar–Bamako przez Kayes była kiedyś jedyną drogą łączącą Mali z oceanem, Europą i światem. Tym jedynym przez lata pociągiem w Afryce Zachodniej – dopiero później zbudowano linię z Dakaru do Saint-Louis – jeździli wszyscy: politycy, przedsiębiorcy, handlarze, duchowni, zwykli ludzie. W czasach, gdy nie było samochodów i jedyną alternatywą pozostawał transport osiołkiem lub wielbłądem, pociąg, jeden z nielicznych w Afryce, był najlepszym środkiem lokomocji. Pełnił nie tylko funkcję komunikacyjną i gospodarczą, ale i cywilizacyjną. Jego przejazd wywoływał sensację i emocje. Wzdłuż trasy w dniu przejazdu ustawiały się tłumy. Jedni handlowali, czym się tylko dało, podczas postojów, inni po prostu przychodzili, żeby popatrzeć na ten niezwykły widok, na coś, co nie pasowało do wciąż nietkniętej cywilizacją Afryki. Pociąg kursował dwa razy w tygodniu i dla miejscowych mieszkających w pobliżu linii przejazd był i w pewnym stopniu pozostał do dziś sporym wydarzeniem. Linia popada jednak w ruinę, autobusy zdominowały komunikację, a ciężarówki transport. Dworzec jest nie tylko coraz bardziej zaniedbany, ale też pusty. Nie ma tu żywego ducha, żadnego pasażera, żadnego kolejarza. Kasa zamknięta. Nad kasą kartka z informacją, że przejazd pierwszą klasą do Kayes kosztuje jedenaście tysięcy sześćset

franków. Nie ma za to informacji, kiedy i o której godzinie pociąg odjeżdża. I nie sposób się tego dowiedzieć.

Taksówkarz, który siedzi obok swojej toyoty zaraz przy dworcu, też nie wie, kiedy pociąg przyjedzie ani kiedy odjedzie. Nie wiadomo więc właściwie, po co tu stoi i na co czeka.

– Po co wam pociąg, zawiozę was do Kayes albo Dakaru – proponuje. Stan jego taksówki nie daje pewności dojazdu do następnej ulicy.

– Tylko do Kalaban Coura – mówię.

– Dziesięć tysięcy – rzuca cenę.

– Dwa tysiące – odpowiadam, bo od wielu dni jeździmy tą trasą i znam stawkę.

– Wsiadajcie – zgadza się. Wstaje z ziemi i otwiera jedyne dające się otworzyć tylne drzwi auta.

Pod hotelem La Piroque siedzi Xavier.

– Mam sprawę – mówi. – Sprzedałem towar i skończyły mi się pieniądze.

– Jeśli sprzedałeś, to znaczy, że dostałeś pieniądze.

– Nie mam, kupiłem nowy towar – uśmiecha się bezczelnie. – A poza tym i tak wyczerpaliście zaliczkę.

Łże jak pies, pieniędzy powinno wystarczyć jeszcze na co najmniej dwa tygodnie.

– Jak nie dasz pieniędzy, nie pojedziecie dalej – szantażuje.

– Pojedziemy, Xavier, ale bez ciebie.

– Niemożliwe, mam towar, muszę jechać z wami.

Tym razem się przeliczył. Następnego dnia, gdy Xavier jeszcze śpi, zostawiamy w domu jego siostrzeńca zbędny bagaż i wsiadamy do autobusu jadącego do Djenné. *Bye, bye,* Xavier.

Nie wiemy jeszcze, że ponownie okaże się sprytniejszy.

Kobiety świętujące 8 marca
w dzielnicy Kalaban Coura
w Bamako; w głębi dom, w którym
znajduje się sklepik Daaku

Rozdział 8

Perła z gliny

Ugandyjski patent na transport cementu. Podobne obrazki można zobaczyć wszędzie, także na ulicach stołecznego Bamako

Djenné

Dwadzieścia kilka metrów nad ziemią, stojąc na drewnianych belkach wystających z muru, trzej robotnicy remontują fasadę meczetu. Nie są do niczego przywiązani, nie mają żadnej asekuracji. Jedną ręką trzymają się najbliższej belki, drugą sięgają po gliniane błoto z zawieszonego obok wiadra.

Meczet liczy ponad sto lat i tyle też trwa jego nieustanna naprawa. Ponad sto razy przeszedł remont generalny, czyli taki, kiedy nie kilku, lecz setki mężczyzn wykonują prace remontowe. Taki remont generalny to wielkie doroczne święto w Djenné, miasteczku położonym pół dnia drogi od Bamako.

Kilka dni przed świętem na placu przed meczetem ustawiane są balie z glinianym błotem. Do błota dosypuje się trocin, łusek ryżowych i łupin. Wtedy zaczyna się zabawa i praca chłopców. Zabawa, bo przez kilka dni taplają się w błocie, praca – bo taplając się, mieszają błoto z trocinami, łuskami i łupinami. W tym czasie kobiety i dziewczęta donoszą wodę i dolewają do balii. Gdy mieszanka jest gotowa, następuje start prac. I to start w dosłownym znaczeniu, bo remont rozpoczyna się wyścigiem setek mężczyzn. Startują od balii z błotną gładzią, wspinają się na szczyt meczetu i kto osiągnie go pierwszy, jest zwycięzcą. Potem zawodnicy-tynkarze rozpoczynają naprawę ścian. W noc poprzedzającą remont czternaście tysięcy mieszkańców miasteczka zbiera się na centralnym placu, śpiewa, tańczy i je. Festyn i praca trwają tak długo, aż naprawy zostaną wykonane. Czasem dzień, czasem dwa, czasem dłużej.

Ciągły remont jest koniecznością, bo meczet, jak większość budynków Sahelu, zbudowano z gliny. Jedynym wzmocnieniem są palmowe belki,

które oprócz utrzymywania stabilności i trwałości konstrukcji pełnią też funkcję rusztowań podczas napraw. Po każdej porze deszczowej glina się rozpuszcza i spływa ze świątyni, powstają liczne rysy i pęknięcia. Bez generalnej naprawy meczet zapewne nie przetrwałby kolejnej pory deszczowej.

Jest to największy na świecie meczet z gliny i prawdopodobnie w ogóle największa gliniana budowla świata. Powstała w latach 1906–1907 na miejscu pierwszej świątyni, którą zbudowano prawdopodobnie w 1240 roku. Wzniesiono ją na planie kwadratu o boku siedemdziesięciu pięciu metrów. Grubość murów waha się od sześćdziesięciu centymetrów przy ziemi do czterdziestu centymetrów w partiach szczytowych. Tak grube ściany w ciągu dnia chronią wnętrze przed upałem, a w nocy oddają ciepło, tak że w środku niezależnie od pory dnia panuje podobna temperatura. Gdy jednak wewnątrz jest wielu wiernych – a zmieści się tutaj dwa tysiące osób – i robi się zbyt gorąco, zostają uchylone ceramiczne dachówki na dachu, ułatwiając w ten sposób wentylację. Nad świątynią górują trzy duże minarety i osiemnaście małych. Na szczyt każdego prowadzą spiralne schody, kończące się pod dachem o kształcie strusiego jaja.

Stoimy na placu przed meczetem, gdzie właśnie skończył się coponiedziałkowy targ. Barwne targowisko na tle jednolicie żółtej i wysokiej budowli tworzy niezapomniany widok.

– Do środka nie wolno. – Robotnik pchający taczkę z błotem zagradza nam drogę. Kilka lat temu za opłatą wpuszczano niewiernych. Do czasu, gdy francuski fotograf zrobił wewnątrz świątyni sesję zdjęciową z rozebranymi modelkami dla magazynu mody „Vogue”. Rozebrane kobiety w meczecie!

Obserwujemy trzech pracujących robotników. Rozprowadzają błotną gładź po murze tak sprawnie, jakby stali na ziemi, a nie hen wysoko, na

wystających ledwie kilkadziesiąt centymetrów z murów belkach. Trudno oderwać od nich wzrok. Jakże niesamowity musi być widok, gdy nie trzech, ale setka ludzi pracuje na ścianach świątyni.

Dojechać do Djenné nie było łatwo. Droga z Bamako prowadzi do Mopti, portu nad Nigrem, a potem dalej na północ, w kierunku Sahary. Trzeba wysiąść w miejscu, które nazywa się Skrzyżowanie Djenné. Gdy odjeżdża autobus, którym przyjechaliśmy z Bamako, i zostajemy sami w środku Sahelu, pojawia się poczucie osamotnienia i niepokoju. Zwłaszcza że z każdym kilometrem oddalającym nas od Bamako zmieniało się otoczenie. Sawannowy krajobraz przekształcał się w półpustynny, coraz mniej było osad, a te, które pojawiły się za oknami, były małe i biedne. Murowane domy zostały zastąpione przez gliniane. W osadach nie było prądu, a często i studni. Odległości między nimi stawały się coraz dłuższe i dłuższe. Z okien autobusu dostrzegłem leżącego na poboczu starego człowieka. Upadł przy szosie, w dużej odległości od zamieszkałych miejsc i najbliższej studni. Pewnie wybrał się w drogę bez zapasu wody. Teraz leżał i cierpiał. Autobus się nie zatrzyma, rzadko przejeżdżające samochody też nie, jego los wydaje się przesądzony, umrze z pragnienia i wycieńczenia. Taki jest Sahel, półpustynna kraina, brama Sahary.

Po godzinie oczekiwania przy Skrzyżowaniu Djenné pojawia się zdezelowana półciężarówka. Jedzie do miasteczka i zatrzymuje się wprost przed hotelem Ma Fair. Parterowy hotelik wzniesiono z gliny, jak wszystkie budowle Sahelu i całe Djenné. Domy są tutaj takie jak przed wiekami, miasto nie zmieniło się od setek lat.

Djenné jest jedną z najstarszych osad subsaharyjskiej Afryki. Archeolodzy znaleźli w pobliżu pozostałości z 250 roku przed naszą erą. Już wtedy była to spora wieś. Miasteczko powstało na przełomie VIII i IX wieku. Było drugim, po Timbuktu, ośrodkiem handlu na Sahelu.

Zatrzymywały się tutaj karawany z północnej Afryki, a nawet z Europy, oraz karawany z południa zmierzające ku Saharze i dalej na północ. Wówczas ukuto powiedzenie, które powtarzają dziś przewodnicy z Djenné: „Z Południa idzie złoto, a z Północy sól”. Złoto było wówczas wielkim bogactwem Czarnej Afryki i pozostało nim do dziś. Kiedy najpotężniejszy malijski cesarz Kankan Musa, pielgrzymując do Mekki, przybył ze swoją świtą w 1324 roku do Kairu, w jego wielotysięcznej karawanie szło prawie „sto wielbłądów objuczonych złotem, a każdy z tych ładunków ważył ponad trzysta funtów”. Jakby tego było mało, „zabrał ze sobą (…) pięciuset niewolników, z których każdy niósł sztabę złota wagi sześciu funtów”[10]. Kronikarze tych czasów wspominają, że spowodowało to niewiarygodnie niską cenę złota, która w Kairze utrzymywała się jeszcze przez wiele lat. Karawana Kankana Musy i wszystkie inne karawany zatrzymywały się w Djenné i Timbuktu. Oba miasta były wielkimi ośrodkami transsaharyjskiego handlu i bogactwa.

---

[10] B. Davidson, *Stara Afryka na nowo odkryta*, Warszawa 1972.

Dwadzieścia kilka metrów nad
ziemią, niczym niezabezpieczeni,
od ponad stu lat robotnicy
nieustannie uzupełniają wypłukaną
przez deszcze glinę z meczetu

W Djenné życie toczy się podobnie jak przed tysiącem lat

We współczesnym Djenné próżno szukać dowodów dawnej świetności. Pozostały za to atmosfera i klimat sprzed wieków. Gliniane domy z tajemniczymi przejściami i podwórzami, mroczne zakamarki, labirynty korytarzy, półtorametrowej szerokości uliczki z dziesiątkami skrzyżowań, egzotyczni i ubrani w kolorowe stroje mieszkańcy tworzą świat, który nie zmienił się od tamtych dni. Szczególnie ujawnia się to po zmroku, gdy w pozbawionym latarni miasteczku gliniane mury zostają oświetlone przez migotliwe błyski palących się przed domami ognisk. Od czasu do czasu pojawi się kaganek kołyszący się na dwukołowym wozie ciągnionym przez osiołka. Ledwo widoczne są cienie przemykających chyłkiem postaci. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że historia cofnęła się o tysiąc lat i znaleźliśmy się w środku średniowiecza. Niewiele jest na świecie miejsc, gdzie można cofnąć się o tysiąc lat. Djenné jest jednym z nich.

Już późne popołudnie, a na placu przed glinianym ratuszem wciąż stoją setki ludzi. Stoją pokornie, cicho. W swych kolorowych strojach, czerwonych skórzanych kapeluszach, z długimi pasterskimi kijami w rękach, z daleka prezentują się bardzo atrakcyjnie. Wyglądają, jakby wyszli wprost z kart egzotycznej baśni. Z bliska widać ich spocone ciała, brudne ubrania, zmęczone twarze, smutne oczy. Stoją od rana, kiedy to było ich ponad tysiąc. Ci, którzy dostali zasiłek, odeszli, reszta wciąż czeka. Może otrzymają go dziś, może dopiero jutro. Jeżeli jutro – prześpią noc na placu. Muszą czekać, bo bez zasiłku nie przeżyją.

Wieczorem z restauracji sąsiadującego z placem hoteliku obserwujemy, jak powoli układają się do snu. Niektórzy zapalają ogniska, inni od razu zasypiają. A w hotelu zaczyna się wieczorny ruch. Pojawia się kilku białych, a do naszego stolika przysiada się Allaye.

– Allaye Waigaillo – przedstawia się, wyciągając rękę na powitanie. Allaye ma trzydzieści jeden lat, lekko kuleje i mówi po angielsku. A przede

wszystkim Allaye wie, czego chcą tacy jak my.

– Mam samochód, świetnego jeepa – mówi. – To nowa toyota. Jeśli chcecie, zabiorę was do Mopti i Timbuktu. A potem możemy jechać do kraju Dogonów. Chcecie? – pyta.

Oczywiście, bardzo chcemy. Ale zamierzamy jechać jeszcze dalej – do Górnej Wolty, czyli dzisiejszego Burkina Faso.

– Ooo, bardzo dobrze! – cieszy się Allaye. – Zawiozę was do Burkina i pokażę rzeczy, jakie niewielu białych widziało. Co, nie wierzycie? – pyta, widząc nasze uśmiechy. – Ja jestem poważnym biznesmenem, mam doświadczenie i mogę to udowodnić. – Kładzie na stoliku legitymację przewodnika. Legitymacja, owszem, niczego sobie, tylko zdjęcie z niej wyrwano.

– A czyje tu zdjęcie wypadło, panie Allaye? – taktownie używam słowa „wypadło” zamiast „wyrwano”.

– Jak to czyje? Moje.

Choć Allaye kłamie jak z nut, to jest w nim coś sympatycznego. Gada bez przerwy, śmieje się, co chwila dzwoni z komórki jak prawdziwy biznesmen. Uroczy człowiek.

– Mieszkamy w hotelu Ma Fair – mówię. – Przyjedź rano samochodem, to zobaczymy.

I Allaye przyjeżdża. Jemy śniadanie, jako jedyni goście naszego hotelu na środku ładnego atrium, gdy wpada z głośnym śmiechem:

– *Hi, my friend!*[11] Przyjechałem!

Przed hotelem, nie do wiary, stoi biała toyota land cruiser. Prawie nówka, zaledwie dwunastoletnia. W środku Arbi, kierowca.

– Jedziemy? – pyta Allaye.

– Jedziemy? – powtarza za nim Arbi.

Nic lepszego nie mogło się nam przytrafić. Mamy dużo szczęścia.

---

[11] *Hi, my friend!* (ang.) – Cześć, przyjacielu!

Ostatnie wozy opuszczają targowisko przed meczetem w Djenné

Im bliżej Sahary, tym częściej można trafić na placki zwane tagella*, które Tuaregowie pieką w mieszaninie gorącego popiołu i piasku. Kobieta z Djenné używa w tym celu żeliwnej formy*

Rozdział 9

Hotel madame Govou

Mopti

—Mocniej, mocniej! – woła przewoźnik do chłopaka stojącego na brzegu i wypychającego łódź. Jeszcze jedno pchnięcie i niewielka łódka wypływa na głębszą wodę. Przewoźnik prowadzi ją sprawnie, odpychając się od dna kilkumetrowym drągiem. Jesteśmy na Bani. Kilkaset metrów dalej Bani wpływa do Nigru. Te dwie wielkie rzeki są skazane na wspólny nurt, bo miejsca na samodzielność nie mają; dalej na północ jest już tylko Sahara. Sprawiają jednak wrażenie, jakby nie chciały się połączyć, jakby każda chciała płynąć własnym szlakiem, kluczą, tworzą zakola, cypelki, półwyspy i wyspy, aż wreszcie, zrezygnowane, łączą się. U zbiegu tych rzek leży Mopti, ponadstutysięczne miasto, które powstało na trzech połączonych groblami wyspach. Z tego powodu nazywane jest Wenecją Mali. Ale to złe skojarzenie. Mopti i Wenecja to dwa światy. Mopti jest po prostu największym portem na Nigrze i miejscem przeładunku towarów transportowanych z południa na północ i z zachodu na wschód. Port jest ogromny, ciągnie się hen wzdłuż rzeki, ale ma niewiele wspólnego z naszymi europejskimi portami. Od strony lądu najpierw widać długi, kolorowy targ nad rzeką. To pierwsza linia portu. Drugą tworzy składowisko paczek, worków i skrzyń – trzeba je załadować lub właśnie zostały wyładowane. Które z nich przypłynęły, a które będą odpływać, wie jeden Bóg i miejscowi. Wreszcie trzecia linia to setki łodzi. Duże i małe, zwykle czarne z dziobami pomalowanymi we wszystkie kolory tęczy, w różne esy-floresy. Setki mężczyzn dźwigają paczki, skrzynie i worki z łódek na ląd i z lądu na łodzie. Nie ma tu ani jednego dźwigu, ani jakiegokolwiek urządzenia do załadunku. Wszystkie towary są przenoszone na ludzkich

grzbietach i głowach. Worki z sorgo i ryżem, żywe barany, kosze z owocami, kury, kozy, zgrzewki coca-coli i wody stołowej lądują na pokładach łodzi, które z każdą chwilą coraz bardziej zanurzają się pod ciężarem ładunków. Gdy woda sięga końca burty, właściciele łodzi, siedzący pod trzcinowymi daszkami, nakazują kończyć załadunek. Teraz łodzie powinny wypłynąć, ale nie wiadomo, czy stanie się to dziś, czy dopiero jutro. Wspólnym tłem dla tych trzech linii są wszechobecne śmieci. Tysiące ton papierów, plastikowych butelek i toreb, zgniłych owoców i warzyw, żelastwa i odchodów zwierzęcych przenikają te trzy linie, wchodzą pomiędzy nie, otaczają je i łączą w jedną całość.

Patrząc na port z góry, z baru L'amour usytuowanego na wysokim brzegu rzeki, wydaje się, że oglądamy jakiś nierzeczywisty obraz stworzony w wyobraźni malarza. Ale to nie fikcja. Teraz, gdy płyniemy wzdłuż portu, kilka metrów od mężczyzn ładujących towary na łodzie, kobiet myjących się pomiędzy nimi w pełnej śmieci wodzie oraz pluskających się obok dzieci, widać, że to najprawdziwszy, żywy obraz. Tak żywy, jak żywe są wody Nigru.

To jedna z największych rzek świata. I najdziwniejsza. Płynie jakby w sprzeczności z wszelką logiką. Jej źródła biją w bagnistych zaroślach gwinejskiej dżungli, u stóp góry Sougoula przy granicy z Sierra Leone. Zamiast spłynąć, jak wiele innych rzek mających początek w tej okolicy, na południe, wprost do Atlantyku, strumień Nigru nazywany tu Tembico kieruje się, jak nieposłuszne dziecko na złość mamie, w przeciwną stronę, na północny wschód. Rozpędza się, zbiera inne potoki w wilgotnym gwinejskim lesie równikowym i płynie ciemnym korytarzem lasu galeriowego. Nabiera coraz większej mocy. Jego potęga rośnie z każdym kilometrem. Z wielkim impetem mija Bamako i Mopti, a potem bezczelnie atakuje Saharę. Omija Timbuktu, wpływa w piachy Sahary i… nie ginie.

Tu, jakby dostrzegając grożące niebezpieczeństwo, rezygnuje z wojny z Saharą, skręca na południowy wschód, przepływa przez Nigerię i wpada do Zatoki Gwinejskiej. Taką okrężną drogą, pokonując ponad cztery tysiące kilometrów i zataczając wielkie półkole, wpływa do Atlantyku, w którego pobliżu biją jego źródła.

W Europie Niger znany był już w starożytności. Wieści o niesamowitej rzece przywozili arabscy kupcy, którzy dotarli do Timbuktu i Djenné. Ale do XVIII wieku Europejczycy nie wiedzieli nawet, w którą stronę płynie, czy z zachodu na wschód, czy odwrotnie. Nie było wiadomo, czy Senegal i Niger się łączą, czy to dwie odrębne rzeki, czy może Niger jest dopływem Nilu, czy uchodzi do jeziora Czad, czy też ginie w piaskach Sahary. A może Gambia i Senegal to nie samodzielne rzeki, tylko części delty Nigru? Dopiero Szkot Mungo Park zbadał te rzeki, dotarł do źródeł, ustalił kierunek, w którym płynie Niger, i udowodnił, że nie łączy się on ani z Senegalem, ani z Gambią. Przy okazji jako pierwszy Europejczyk znalazł się w Ségou położonym w środku Mali. Właśnie w tym mieście przekonał się ostatecznie co do kierunku, w którym płynie Niger. Pisał: „(…) gdy niecierpliwie wypatrywałem rzeki, jeden z nich zawołał *geo afili* (patrz, woda) i patrząc przed siebie, z bezgraniczną radością ujrzałem wielki cel mojej misji, długo poszukiwany majestatyczny Niger, lśniący w porannym słońcu i tak szeroki jak Tamiza przy Westminsterze, płynący powoli na wschód. (…) To, że Niger płynie na wschód, i tym podobne szczegóły, nie były dla mnie wielką niespodzianką, bo wprawdzie wyjechałem z Europy bardzo podzielonej w poglądzie na tę sprawę i sądziłem, że raczej płynie w przeciwnym kierunku, to po drodze tak często wypytywałem o tę rzekę i otrzymywałem od Murzynów, należących do różnych ludów, tak jasne i stanowcze zapewnienia, że płynie w kierunku wschodzącego słońca, że w umyśle pozostało mi niewiele wątpliwości”[12].

Podczas drugiej podróży, rozpoczętej w styczniu 1805 roku, Mungo Park zamierzał dotrzeć do ujścia Nigru. Nie zdołał tego dokonać. Jego łódź, gdy tylko zbliżała się do brzegu, była atakowana przez tubylców. W pobliżu Mopti, Djenné i Timbuktu podróżnicy ledwo uniknęli śmierci. Ale w Yauri, w dzisiejszej Nigerii, łódź utknęła na skale, a tubylcy zaatakowali włóczniami i strzałami z łuków. Park i jego towarzysze mieli jedną drogę ucieczki – skoczyli do rzeki. Nurt był jednak zbyt silny – utonęli, uratował się tylko niewolnik, który przekazał historię tej wyprawy.

Płyniemy teraz trasą, którą ponad sto lat temu podążał Park. Port w Mopti zostaje z tyłu, Bani nieco spowalnia, poszerza się i spokojnie, już bez protestu, wpływa do Nigru. Wielka rzeka kieruje się teraz na północny wschód, na spotkanie z Saharą i Timbuktu. Zanim tam dopłynie, rozdziela się na wiele mniejszych rzek, tworząc labirynt zwany wewnętrzną deltą. W porze deszczowej, gdy wody wzbierają i wylewają, delta zamienia się w wielkie jezioro o szerokości do stu pięćdziesięciu kilometrów. Bliżej Timbuktu teren staje się bardziej spadzisty. Gdy Niger mija miasto, nurt gwałtownie przyśpiesza, bo rzeka zwęża się do zaledwie stu metrów. To ostatnie ostrzeżenie, że za chwilę pochłonie go pustynia. Ostrzeżenie skuteczne – Niger skręca na południe, w kierunku Nigerii, i ratuje się przed niechybnym unicestwieniem w piaskach Sahary.

– Jeśli chcecie, popłynę z wami do Timbuktu – proponuje nasz przewoźnik. – Za trzy dni dopłyniemy.

Nie chcemy. Dopiero co zakontraktowaliśmy przecież Allaye z jeepem.

Wracamy do Mopti. Na cypelku dzielącym Niger od Bani ulokowały się dwie wioski nomadów. Przy brzegu Bani mieszkają ludzie z plemienia Bozo, nad Nigrem – Tuaregowie. Obie wioski są biedne i zaśmiecone. Domy to szałasy sklecone z gliny, trzciny i kawałków blachy. Piękna Tuareżka smaży w kociołku na ogniu kość z niewielką ilością mięsa.

Potrawa musi wystarczyć dla całej rodziny. Nie chce rozmawiać, uparcie milczy, odwraca głowę. Nie odwzajemnia nawet uśmiechu. Jest zbyt dumna, by rozmawiać z białymi, którzy oglądają jej nędzę.

Ośmioletni chłopak z całej siły kopie osła w bok. Potem ciągnie go za ogon i grubym kijem bije, gdzie popadnie. Widzi to wiele ludzi, bo chłopak prowadzi osła przez centrum Mopti. Nikt nie reaguje, bo nikomu to nie przeszkadza.

---

[12] M. Park, *Podróże we wnętrzu Afryki*, Warszawa 2008.

Takie łódki, krajobrazy i takich
ludzi widzi się na Nigrze co chwilę

Podobnie jak autobusy
i ciężarówki na lądzie,
łodzie płynące po Nigrze
są załadowane do granic
możliwości

Afrykański transport to jedna wielka improwizacja i okropna mordęga

Nikt nie reagował również w Diourbel, gdy młody mężczyzna okrutnie skopał psa, a potem nastąpił mu na kark i stał tak długo, aż zwierzę skonało. W Djenné widzieliśmy dzieciaków rzucających dużymi kamieniami w kozę, która gdy w końcu uciekła, była cała we krwi.

Katusze przeżywają zwierzęta w transporcie. Nie przestrzega się żadnych zasad. Czy takie w ogóle istnieją? Ale nawet gdyby obowiązywały jakieś przepisy, to i tak nikt by ich nie respektował. Postęp i technika, paradoksalnie, zamiast poprawić – pogorszyły los zwierząt. Kiedyś ich transport polegał na tym, że większe szły na własnych nogach, a mniejsze nosił człowiek lub wiózł na wozie ciągnionym przez osła. Teraz do transportu służą ciężarówki, samochody osobowe, autobusy, motocykle, słowem wszystko, co ma silnik. W Mauretanii widzimy siedem kóz upchniętych w małym volkswagenie, w Somalii i Ugandzie barany na dachu ciężarówki, w autobusie do Ghany trzy osły wciśnięte na tylne siedzenie, a na trasie z Djenné do Mopti krowę przywiązaną do dachu starej toyoty.

– Kupiłem ją w Ségou – mówi właściciel krowy. – Jedziemy na wieś za Mopti. Nie bójcie się, nic jej się nie stanie, nie pierwszy raz to robię.

Krowa ma skrępowane nogi, leży na boku i w tej pozycji przywiązana jest do dachowego bagażnika. Na niej, dla bezpieczeństwa, ułożono jeszcze jakieś worki i paczki i cały ten „towar” obwiązano linami, które wrzynają się teraz w skórę zwierzęcia. Rogi też ma przymocowane do bagażnika. Tak unieruchomiona, w upale, na rozgrzanym dachu, bez wody, na szutrowej drodze spędziła już cztery godziny i pojedzie, jak mówi właściciel, już tylko dwie.

– Za chwilę będziemy w domu – uśmiecha się i rusza dalej. W jeszcze gorszych warunkach odbywa się transport drobiu. Setki kur wrzuca się po prostu do dużych siatek, które następnie przywiązuje się do dachów

ciężarówek i samochodów albo przerzuca przez bagażnik motocykla. Niewiarygodnie ściśnięte, bez możliwości wykonania jakiegokolwiek ruchu, najczęściej głowami w dół przemierzają setki kilometrów afrykańskimi bezdrożami. Wiele z nich nie przeżywa takiej podróży, co zobaczyliśmy na jednym z targów w Bamako. Przywiezione w siatkach kurczaki wysypano do metalowych klatek. Spośród kilkuset kilkadziesiąt było martwych. Kupiec wyciągnął je z klatki, siekierą poobcinał głowy i zaniósł na stoisko, gdzie sprzedawano mięso. Nabywcy nigdy się nie dowiedzą, że kupili zdechłe kurczaki.

Takie sceny w Afryce to codzienność. Zwierzęta nie mają tu żadnych praw, traktowane są okrutnie. Któż jednak będzie użalał się nad losem zwierząt, gdy wokół cierpią i umierają ludzie, których losem również nikt się nie przejmuje?

Madame Helene Govou ma siedemdziesiąt dziewięć lat, ale wygląda dużo młodziej. Może dlatego, że ma w sobie jakiś paryski szyk.

– Ach, Paryż… – wzdycha, zamyka oczy, a jej myśli ulatują daleko.

Madame Govou jest właścicielką hotelu położonego niedaleko centrum Mopti. Hotel jest niewielki, w stylu śródziemnomorsko-arabskim i trochę zaniedbany. Ale jak na afrykańskie warunki to dobry hotel i dlatego zamieszkują tu czasem Europejczycy.

– To moje wielkie szczęście – mówi starsza pani – że przyjeżdżacie. Mogę wtedy dotknąć Europy, Francji. W Paryżu nie byłam od czterdziestu lat. A życie tutaj… *mon Dieu*[13], czasem jest mi bardzo ciężko.

Mieszka w Mali od niemal sześćdziesięciu lat. Wtedy nie było Mali, Gwinei czy Senegalu, lecz Francuska Afryka Zachodnia. A wszystko zaczęło się w Paryżu, majowego poranka 1951 roku na nabrzeżu Sekwany. Wracała z zajęć na Sorbonie, gdzie od roku studiowała socjologię, i

zatrzymała się przy bukinistach. Gdy brała do ręki książkę, młody mężczyzna ją potrącił. Książka upadła na bruk. Elegancki dwudziestosiedmiolatek podniósł książkę, przeprosił i się przedstawił. Tak poznała Michela Govou.

– Przeklęta chwila, w której tam się znalazłam, przeklęta książka. *Mon Dieu*, po co ją brałam do ręki – wzdycha pani Govou i znów zamyka błękitne, wyblakłe oczy.

Michel Govou pochodził z zamożnej nicejskiej rodziny, która od lat prowadziła interesy w afrykańskich koloniach francuskich. Familia niedawno kupiła jedenaście hoteli i zdecydowała wysłać młodego Michela, by nimi zarządzał. Miał wyjechać na dwa lata, a następnie ściągnąć z Francji zastępcę, wprowadzić go w zarządzanie, powierzyć mu kierownictwo, wrócić do Francji i stamtąd kontrolować sieć hoteli, od czasu do czasu wizytując kolonie. Dziewiętnastoletnia Helene, która zakochała się w Michelu od pierwszego wejrzenia, nie zastanawiała się długo, gdy zaproponował jej małżeństwo i wyjazd do Afryki. Ślub wzięli w Paryżu, a tydzień później, w marcu 1952 roku, już byli w Dakarze.

– Pierwsze miesiące to był szok – wspomina. – Pierwszy raz byłam w Afryce. Znalazłam się w dzikim świecie, poznawałam dżunglę i pustynię, ludzi, którzy nigdy nie zetknęli się z cywilizacją. Na początku traktowałam to jak pogłębianie swoich studiów. Nawet cieszyłam się, że zaskoczę profesorów wiedzą o tutejszych ludach, plemionach, ich życiu i zwyczajach. Przecież mieliśmy wrócić do Nicei albo nawet do Paryża.

---

[13] *Mon Dieu* (franc.) – Mój Boże.

Inni potrafią na rower zabrać
pięć razy tyle żywego towaru,
a cierpieniem zwierząt nikt się
tu nie przejmuje

Wenecja Mali, czyli Mopti – port nad brzegiem rzeki Bani – to targ i składowisko paczek, worków, skrzyń oraz wielki śmietnik

Nie wrócili. Po dwóch latach okazało się, że interesy rodziny we Francji idą źle i Michel postanowił zostać jeszcze trochę w Afryce. Tak minęło następnych sześć lat. Każdy dzień był dla Helene dniem oczekiwania na powrót. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych w Afryce wybuchł wulkan wolności. Francuska Afryka Zachodnia rozpadła się na kilka krajów, w tym Senegal, Mali, Górną Woltę.

– Wtedy Michel powiedział – kontynuuje opowieść madame Govou, wychylając kolejny kieliszek wina – że to już koniec, że pora uciekać, bo wkrótce zacznie się rzeź białych. Jakże się ucieszyłam, że postanowił sprzedać hotele i wrócić. W maju sześćdziesiątego roku wyjechał przygotować nasz powrót.

Starsza pani napełnia opróżnione kieliszki winem.

– Pijcie – mówi – pijcie, francuskiego wina u mnie nie braknie. Francuskiego nigdy nie braknie.

W pierwszym miesiącu po wyjeździe mąż zadzwonił do niej dwa razy, w drugim raz, a w trzecim wcale. Po czterech miesiącach dowiedziała się, że Michel sprzedał dziesięć hoteli jeszcze przed wyjazdem. Potem przyszedł telegram z Francji: „Rozwiodłem się z tobą. Zostawiam ci hotel w Mopti”.

Miesiąc później była we Francji. Najpierw w Paryżu, potem w Nicei. Tam dowiedziała się, że rodzina Govou zbankrutowała, a Michel wyjechał gdzieś do Ameryki Południowej i od tej pory się nie odezwał. Wróciła do Mopti.

– Wróciłam z postanowieniem sprzedania hotelu i powrotu do Francji. Ale to nie było łatwe. Francuzi wyjeżdżali masowo, miejscowi nie mieli pieniędzy, hotel był niesprzedawalny. Nie mogłam go zostawić, to był mój jedyny majątek, jedyna podstawa bytu.

Upływał rok za rokiem, madame Govou żyła nadzieją, że w końcu pojawi się ktoś, kto za sensowne pieniądze kupi hotel. W 1980 roku pojechała ostatni raz do Francji. Wróciła po miesiącu kompletnie zawiedziona. To już nie była jej Francja, jej Paryż. Poczuła, że nigdzie nie jest u siebie, ani w Paryżu, ani w Mopti. Ale wydawało się jej, że chyba bardziej związana jest z Mopti.

– Miałam wtedy trzydzieści osiem lat, z których połowę zmarnowałam. Dziś mam siedemdziesiąt dziewięć i mogę powiedzieć, że zmarnowałam życie – wzdycha.

Dochodzi druga w nocy. Siedzimy we troje w restauracji na dziedzińcu hotelu. Jest chłodno i przyjemnie, w górze afrykańskie niebo, czyste, rozgwieżdżone.

– Całkiem inne niebo niż w Europie, prawda? – mówi madame Govou, a widząc, że zbieramy się do wyjścia, prosi: – Nie idźcie jeszcze, posiedźcie ze mną trochę. – A potem kładzie się na starej arabskiej kanapie. Odchodzimy, gdy śpi na dobre.

Następnego ranka wita nas przy śniadaniu:

– *Bonjour, mes amis*[14]. Ale wam wczoraj naopowiadałam. Nie wierzcie w żale starej kobiety. Jestem tu szczęśliwa.

Los madame Govou nie jest wyjątkowy. Wielu Europejczyków, którzy prowadzili swoje interesy w Afryce, pozostało tu, mimo że metropolie oddały władzę miejscowym przywódcom ruchów narodowowyzwoleńczych. Większość jednak w pośpiechu, najczęściej jeszcze przed ogłoszeniem niepodległości, sprzedawała, co się dało, pakowała resztę majątku na statki i uciekała. Tysiące Francuzów opuściło Francuską Afrykę Zachodnią, gdy tylko w 1958 roku generał de Gaulle ogłosił zamiar wycofania się z regionu. Co prawda Francja nigdy definitywnie się stamtąd nie wycofała, a francuskie wpływy polityczne i

gospodarcze są do dziś bardzo silne, to jednak w 1958 roku powstała Federacja Mali stworzona przez Senegal i Mali (wtedy jako Sudan Zachodni), a dwa lata później państwa te zaczęły samodzielny byt. Wkrótce po oświadczeniu de Gaulle'a Francuzi zaczęli nerwowo wyjeżdżać. Ich związki z Afryką Środkową nie były tak silne, jak Francuzów z Algierii. Mąż madame Govou wyjechał wcale nie w pierwszej kolejności, przed nim było wielu. Tysiące wyjechało także w pierwszych latach niepodległości.

Taki exodus dotyczył wszystkich nowych państw afrykańskich. Ryszard Kapuściński przedstawiał dramatyczną ucieczkę Portugalczyków z Angoli przed 11 listopada 1975 roku, na kiedy to zaplanowano ogłoszenie niepodległości. Opisywał drewniane miasto złożone z setek tysięcy ogromnych skrzyń stojących przed portem w Luandzie, do których wyjeżdżający Portugalczycy spakowali swój dobytek[15].

Europejczycy, którzy nie zdecydowali się na wyjazd z Afryki, uczynili tak z różnych powodów. Jedni, jak madame Govou, nie mieli szans na sprzedaż majątku i często nie mają ich do dziś. Nawet dobrze prosperujący interes jest w Afryce dziesięć, a czasem i sto razy mniej wart niż w Europie. Hotel madame Govou, który w Europie kosztowałby miliony euro, w Afryce trudno sprzedać za dwieście tysięcy. Niełatwo znaleźć kogoś, kto ma tyle pieniędzy, na afrykańskie warunki to majątek. Właśnie dlatego starsza pani nie może go sprzedać, bo wie, że mniejsza kwota nie wystarczy jej na życie we Francji. Takich jak ona było wielu. Inni nie wyjechali, bo w metropolii nie mieli nic albo liczyli, że ich szanse życiowe w Afryce, opuszczonej przez europejskich fachowców, będą większe. Z reguły się nie zawiedli, choć często na sprzyjające okoliczności musieli czekać kilka lat. Po odzyskaniu niepodległości Afrykę ogarnął biały rasizm, wszystkie stanowiska rezerwowano dla czarnych, co nieraz, jak w Rodezji Południowej, dzisiejszym Zimbabwe, kończyło się gospodarczą katastrofą.

Dopiero po jakimś czasie władze zorientowały się, że trzeba korzystać z pomocy białych fachowców. Biały rasizm wciąż ma się dobrze, a w ostatnich latach, jak się wydaje, jakby otrzymał nowe impulsy. Jeszcze inni, choć biali, urodzili się w Afryce, czuli, że tu jest ich ojczyzna, bali się nieznanej Europy.

Wszystkich można dziś spotkać na Czarnym Kontynencie. W Saint-Louis, na najelegantszej ulicy mieści się galeria sztuki afrykańskiej prowadzona przez starsze małżeństwo. Osiemdziesięciolatkowie trzymają się dobrze i mówią, że drugą, większą galerię od pięćdziesięciu kilku lat mają w Dakarze. W obu można znaleźć piękne rzeczy, ale ceny są niebotyczne, niemal europejskie. Kto to kupuje? Oboje twierdzą, że żyje im się w Senegalu bardzo dobrze, że równie szczęśliwa jest ich córka, która prowadzi galerię dakarską. Sprawiają wrażenie zadowolonych. Ale nie do końca mówią prawdę. Po dłuższej rozmowie okazuje się, że mają afrykańską galerię także w Paryżu i to tam głównie przebywa ich córka. A i oni, kiedy tylko mogą, wyrywają się do metropolii. Wygląda na to, że dwie senegalskie galerie to źródło zakupu afrykańskiej sztuki po bajecznie niskich cenach, a prawdziwy biznes robią w Paryżu.

Dziwnego białego spotyka Wanda podczas ulicznej zabawy w Saint-Louis. Pięćdziesięcioparoletni mężczyzna urodził się w Senegalu, ubiera się jak miejscowi, zachowuje i bawi jak oni. Ale podczas rozmowy wyraźnie daje do zrozumienia, że czuje się biały, mimo że pochodzi stąd. Nie mówi, co robi, ale miejscowi traktują go jak swego, choć z pewnym dystansem. Wyraźnie imponuje mu, że towarzyszy białej kobiecie, choć zapewne ma kilka afrykańskich żon i tyleż kochanek.

Dwie pary młodych Francuzów, z którymi dzielimy materace na dachu wiejskiego zajazdu w kraju Dogonów, to weekendowi turyści. Mieszkają i

pracują w Dakarze. Wysłała ich z Francji do pracy w Afryce Zachodniej firma Orange, która zdominowała tutejszy rynek telefonii.

– Mimo że nasza firma działa tu od lat – mówią – wciąż zatrudnia głównie pracowników z Francji. Nie udało się i chyba nie uda wychować miejscowych pracowników. Nawet jeżeli już zdołają opanować podstawy zawodu, dyskwalifikuje ich mentalność. Potrafią spóźnić się dwie godziny albo wcale nie przyjść do pracy, bo… zapomnieli albo dlatego że przyjechał dawno niewidziany kuzyn. By powierzyć im pieniądze, trzeba by być chyba pijanym. Potrafią wydać każde pieniądze w ciągu paru godzin. Nasz szef mówi, że gdyby im zostawić firmę na miesiąc, to nie byłoby do czego wracać.

Uważają tak, mimo że Orange prowadzi tutejszy biznes wyjątkowo ostrożnie. Nie sprzedaje telefonów abonamentowych, tylko karty prepaidowe.

– O abonamencie nie może być mowy – mówi Jean, który pracuje w dziale sprzedaży. – Tu nikt nie zapłaci po fakcie, nie dlatego że nie chce, ale dlatego że nie ma. Oni naprawdę nie potrafią gospodarować pieniędzmi.

Orange wysyła pracowników do Afryki na pół roku. Potem wracają, a na ich miejsce przyjeżdża inna ekipa z centrali.

– Dlaczego nie na dłużej? – Jean, powtarza moje pytanie. – Przecież widzicie, jak tu jest. Normalny Europejczyk nie wytrzyma dłużej. Ani fizycznie, ani psychicznie.

Ma rację, Afryka, zwłaszcza Czarna Afryka, nie jest kontynentem dla białych. Samo trwanie, fizyczne i psychiczne przeżycie każdego dnia, jest ekstremalnym wysiłkiem. Biali, którzy tutaj mieszkają, są tu, bo muszą. Mało jest tych, którzy wybrali ten świat z własnej woli, a naprawdę niewielu takich, co z życia tutaj są zadowoleni.

[14] *Bonjour, mes amis* (franc.) – Dzień dobry, przyjaciele.

[15] R. Kapuściński, *Jeszcze dzień życia*, Warszawa 1976.

Odpoczywa się byle gdzie, byle jak, za to kiedy tylko się da

Rozdział 10

Miasto zakazane

Timbuktu

Silnik warknął i zgasł. Arbi przekręcił kluczyk w stacyjce, ale auto nie zapaliło.

– Mamy awarię – mówi, otwiera maskę silnika i grzebie w środku.

Jesteśmy sto sześćdziesiąt kilometrów za Mopti, wokół piaski Sahary wdzierającej się w Sahel, do Timbuktu prawie siedemset kilometrów.

– Musimy dojechać do Douentzy – mówi Arbi. – Tam jest warsztat.

Do Douentzy jest ze dwadzieścia kilometrów. W końcu silnik odpala, auto jedzie dwa kilometry i staje. Arbi coś majstruje, samochód rusza i po chwili znów odmawia posłuszeństwa. Po dwóch godzinach jazdy na raty Allaye, który siedzi z przodu, odwraca się i woła triumfalnie:

– Douentza! Jesteśmy uratowani.

I śmieje się od ucha do ucha.

Gliniane miasteczko, przepięknie położone w długiej dolinie, pomiędzy formacjami skalnymi, to już prawie koniec świata. Na zachód szutrowa droga prowadzi w kierunku Gao i Sahary, na północ Sahara, Timbuktu i znów Sahara. Przez pustynię do Timbuktu jest zaledwie dwieście kilometrów, ale tędy auto nie przejedzie. Trzeba jechać na zachód i skręcić w bezpieczniejszym miejscu.

Warsztat, gdzie naprawiają land cruisera, to gliniany placyk przy drodze. W wyposażeniu młotek, kleszcze, śrubokręt i mnóstwo części zamiennych w postaci kilku wraków samochodów i trzech starych silników. Oraz czterech rozgorączkowanych mechaników. Pochyleni nad autem głośno się kłócą, bo każdy ma inną diagnozę i własny sposób na naprawę.

Po godzinie land cruiser jednak rusza. Jak oni to zrobili – Bóg jeden raczy wiedzieć, żaden europejski mechanik nawet nie dotknąłby auta takimi narzędziami.

Po dziewięciu godzinach żółte piachy pustyni przecina błyszcząca wstęga.

– Niger! – woła Arbi.

Jest ogromny i piękny, chciałoby się stać i podziwiać. Nie ma tu mostu, ale po dwóch godzinach przypływa prom. Gdy tylko prom odbija od brzegu Allaye, podobnie jak większość podróżnych, sięga po aluminiowy kubek na długim łańcuchu przykutym do pokładu, nabiera wody z rzeki i chciwie pije. Wszyscy są spragnieni po godzinach jazdy przez rozżarzoną pustynię, ale woda w rzece i kubku jest brązowawa, mętna. Nie wiadomo, co w niej jest. Może ameba?

– Jaka ameba? – Allaye śmieje się do rozpuku. – Ludzie od wieków piją wodę z Nigru. Chcesz, spróbuj. – I podaje mi kubek ze świeżo nabraną wodą z rzeki.

Stary Tuareg oparty o gliniany mur domu siedzi na piachu i opowiada:

– Kilkunastoletnia dziewczyna pasła stado owiec i kóz w oazie na Saharze. Położyła się w cieniu krzaka i zmorzył ją sen. Gdy się obudziła, jej stada nie było. Przez wiele dni błąkała się po pustyni, szukając go, aż dostrzegła w oddali zieloną oazę. Gdy dotarła tam, zobaczyła swoje owce i kozy skubiące trawę przy niewielkiej kałuży. Ucieszona i spragniona napiła się wody, która była tak smaczna, że dziewczyna postanowiła pozostać w oazie. W miejscu, gdzie stała kałuża, wykopała studnię. W jej języku studnia nazywała się *tim*, a dziewczyna miała na imię Buctu. Tak narodziło się Timbuktu. Jesteście w tajemniczym mieście u bram Sahary. Drugiego takiego nie ma na całym świecie.

Tuareg z trudem się podnosi, podpiera kijem i wolno, bardzo wolno odchodzi. Stoimy obok tej studni. Jest niewielka, o średnicy metra, jej brzegi obłożono cegłami i kamieniami. Nad studnią wznoszą się dwa oparte o siebie drągi, na których wisi skórzany wór do czerpania wody. Dziś nikt już go nie używa. Studnia znajduje się na podwórzu małego muzeum miejskiego, w którym niewielka liczba eksponatów skromnie przedstawia historię miasta.

– Jeśli w legendzie o Buctu jest trochę prawdy, a ja wierzę, że tak – mówi Ali – to musiało się to wydarzyć ponad tysiąc lat temu. Timbuktu ma ponad tysiącletnią historię.

Ali liczy dwadzieścia trzy lata, ukończył uniwersytet, mówi po francusku, angielsku, arabsku, zna kilka miejscowych narzeczy. Nosi niebieskie dżinsy i niebieską firmową koszulkę, a na głowie niebieski, czasem czarny turban. Urodził się tutaj, doskonale zna swoje miasto i jego historię. Jest zakochany w Timbuktu. Kiedy miał szesnaście lat, wyjechał do Szwajcarii. Uczył się tam, potem studiował. Miał szansę zrobić karierę, zostać znawcą historii i kultury ludów berberyjskich i Czarnej Afryki. Straszliwie jednak tęsknił za Timbuktu. Nie wytrzymał w Europie, wrócił. Nie ma pracy, czasem takim jak my opowiada o swoim mieście.

– Jestem tu szczęśliwy – mówi. – To najbardziej niezwykłe miasto świata. Nie potrafiłbym żyć gdzie indziej. Tu się urodziłem i chyba tutaj umrę.

Timbuktu, prędzej czy później, musiało powstać, było ono bowiem najpierw oazą leżącą na trasie karawan zmierzających przez Saharę z północy i na północ. Już w czasach rzymskich wędrowały one z miast dzisiejszej Libii, Tunezji, Algierii i Maroka przez góry Atlas, Ahaggar i saharyjskie ergi. Karawany przewoziły wszystko, czym ówcześnie handlowano: złoto, sól, srebro, kość słoniową, wyroby rzemieślnicze, broń i

niewolników. Szczególnymi towarami było złoto i sól. Czarna Afryka posiada wielkie złoża złota. W minionych wiekach były niewyeksploatowane i łatwiej dostępne. Historyk Al-Bakiri pisał, że „król Ghany posiada bryłę złota o takiej wielkości i wadze, iż mógłby uwiązać do niej swego konia na postronku”[16]. Leon Afrykański, hiszpański Maur, najbardziej wiarygodny kronikarz tego regionu, który przebywał w Timbuktu w 1512 roku, pisał, że tutejszy władca dysponował ogromną, nie dającą się policzyć zastawą stołową z czystego złota[17]. Złoto wymieniano na sól, produkt jeszcze cenniejszy, bo konieczny do życia. Przez całe wieki mieszkańcy Afryki jadali sól jak my cukierki, delektowali się nią jak najlepszymi delicjami. Dlatego też sól w pewnym okresie wymieniano na złoto w proporcji wagowej 1:1.

Timbuktu stało się centrum handlu solą. Przywoziły ją karawany z solnisk w północnej Saharze, a kupcy z Timbuktu rozwozili dalej po całej Afryce. Miasto się bogaciło. Było zalane złotem i wszelkimi dobrami. Do Europy docierały wieści, że nawet tutejsze chodniki pokryte są złotymi płytami. Okres prosperity trwał sześćset lat, od X do XVI wieku, a lata największej świetności miasto przeżywało od XIV do XVI wieku. W 1591 roku na Timbuktu spadł pierwszy cios. Atak nastąpił z Maroka, które dysponowało wówczas jedną z najpotężniejszych armii świata. Marokańscy Żydzi, którzy opanowali przemysł i handel, zbankrutowali, sułtan popadł w tarapaty finansowe. Ktoś podpowiedział mu, by wysłać ekspedycję do opływającego w złoto Timbuktu. Po tym ataku i spustoszeniu dokonanym przez morysków, najemników na usługach sułtana Maroka, Timbuktu nigdy nie odzyskało dawnej świetności, ale wciąż było zamożne. Następny cios, choć nie militarny, zadali Portugalczycy i Holendrzy. Docierając statkami do wybrzeży Afryki, udowodnili, że transport morski jest wygodniejszy, tańszy, a przede wszystkim szybszy. Dawał też możliwość przewiezienia

większej ilości towarów naraz. Karawany traciły na znaczeniu, a wraz z nimi Timbuktu. Ostatni cios padł w ubiegłym wieku. Budowa asfaltowych dróg przez Saharę i transport samochodowy ostatecznie dobiły miasto.

---

[16] B. Davidson, *Stara Afryka na nowo odkryta*, Warszawa 1972.
[17] L. Afrykański, *Historia i opisanie Afryki.*

Zakochany w rodzinnym
Timbuktu Ali zrezygnował
z kariery w Europie

– W okresie świetności mieszkało tu sto tysięcy ludzi – mówi Ali – a dziś została ledwie jedna trzecia. Ale Timbuktu nigdy nie zginie, ma tak ciekawą przeszłość i ludzi, którzy je kochają – wzdycha smutno, bo jako historyk wie, że historia grzebała nie takie giganty.

Mit Timbuktu trwa jednak nadal. Zrodził się z jego niedostępności. Przez całe wieki miasto było zamknięte dla niewiernych. Tuaregowie, główni mieszkańcy, chronili je nawet przed Arabami. Ci zresztą szczególnie się nie kwapili, aby tutaj dotrzeć, bo droga przez pustynię była straszliwie uciążliwa i niebezpieczna. Do Europy mit o bogactwie i mistycyzmie Timbuktu dotarł, gdy miasto lata świetności miało za sobą. Ale wtedy nikt tego nie wiedział. Niezwykłe wieści pobudzały wyobraźnię Europejczyków: podróżników, uczonych, awanturników. Nie ma pewności, który z nich zobaczył je pierwszy. Z pewnością nie był nim wspomniany już Mungo Park, który podczas drugiej i ostatniej podróży w 1805 roku przepływał obok Timbuktu jednym z kanałów na Nigrze (dziś już zasypanym, przez co miasto odsunęło się od rzeki o dwadzieścia kilometrów), ale z powodu ataków tubylców musiał odpłynąć. Być może ktoś przed nim dostał się do miasta, bo już od XV wieku Europejczycy, pchani ciekawością, próbowali tam dotrzeć, ale ich relacje są mało wiarygodne. Pierwszym, który na pewno zobaczył Timbuktu, był Alexander Gordon Laing, brytyjski oficer Drugiego Zachodnioindyjskiego Regimentu.

Stoimy przed domem, w którym niemal dwa wieki wcześniej mieszkał Laing. Wąski budynek z gliny, o narożu z glinianej cegły, oznaczony numerem 106, na parterze tylko wejściowe drzwi bez okien, a na piętrze dwa okna z arabskimi okiennicami. Nad drzwiami wisi tablica pamiątkowa w języku angielskim, ufundowana w 1963 roku przez Afrykańskie Towarzystwo Królewskie.

– To dramatyczna historia – opowiada Ali. – Laing po przeniesieniu z Indii do Afryki poprowadził kilka ekspedycji wewnątrz kontynentu i odkrył, że Niger nie jest początkiem Nilu, bo płynie w przeciwną stronę. W owym czasie w Europie sądzono inaczej. Potem ożenił się z córką konsula brytyjskiego w Trypolisie i zamiast w podróż poślubną wyruszył, wraz z hinduskim służącym i dwoma Murzynami, w podróż przez Saharę. Jako pierwszy Europejczyk dotarł do miasta Ghadamis. W styczniu 1826 roku grupa została zaatakowana przez Tuaregów, towarzysze Lainga zginęli, a on ciężko ranny dostał się do Timbuktu. Kupił dom i tu zamieszkał. We wrześniu wyjechał z miasta w poszukiwaniu źródeł Nigru. Nigdy nie powrócił.

Sto metrów dalej, przy tej samej ulicy, na takim samym glinianym domu wisi inna tablica pamiątkowa. Informuje ona, tym razem po francusku, że w 1828 roku mieszkał tu René Auguste Caillié. Był pierwszym Europejczykiem, który wrócił z Timbuktu. Ojciec pijak pozostawił go bez środków do życia. René postanowił więc zdobyć nagrodę dziesięciu tysięcy franków ustanowioną przez Towarzystwo Geograficzne z Paryża. Nagrodę miał otrzymać ten, kto pierwszy żywy powróci z Timbuktu. Caillié przez rok uczył się arabskiego, studiował arabskie zwyczaje i islam. Potem zaciągnął się jako majtek na statek do Afryki. Gdy okręt zacumował w Senegalu, przebrał się za Egipcjanina. Dotarł do Djenné, a potem do Timbuktu. Spędził tu tylko dwa tygodnie, by z karawaną przez Saharę dotrzeć do Maroka, a stamtąd do Francji. Wszystko dokładnie opisał[18]. Dzięki niemu znamy ostatnie dni Lainga. Caillié dowiedział się, że wkrótce po tym, jak Laing opuścił miasto, uznali go za chrześcijańskiego szpiega, a ponieważ mówił wyłącznie po angielsku, nie był w stanie bronić się przed sądem. Powieszono go, używając turbana. Cailliemu, niestety, nie do końca uwierzono, zwłaszcza że obalał mity o

Timbuktu, pisząc o zapyziałym miasteczku z gliny, a nie ze złota. Jego relacja nie pasowała do legendy. Europejczycy uwierzyli mu dopiero po jego śmierci (1838), gdy te opisy potwierdził niemiecki geograf i podróżnik Heinrich Barth, któremu udało się przeżyć w Timbuktu niemal dwa lata (1853–1854). Co prawda i na niego wydano wyrok śmierci, ale Barth znajdował się pod ochroną miejscowego przywódcy religijnego Sidi Ahmada al-Baqqai, cieszącego się szacunkiem tubylców, i dzięki temu przetrwał i potwierdził ustalenia Caillié. Informacje, jakie przekazał o mieście, nie pogrzebały jednak zainteresowania Timbuktu. Wręcz przeciwnie. Niemiecki uczony odkrył bowiem, że miasto przez wieki było nie tylko centrum handlu i bogactwa, ale także wielkim ośrodkiem naukowym, że był tu uniwersytet, w którym zgromadzono tysiące ksiąg i manuskryptów, z których część znajdowała się w miejscowych domach, a tysiące w piasku pod miastem. Informacja, że gdzieś w środku Afryki istniał uniwersytet, którego poziom naukowy dorównywał, a niekiedy przewyższał europejskie standardy, była szokiem dla ówczesnych. Zadziwia także współczesnych turystów.

Heinrich Barth ma również swoją tablicę na jednym z domów. Zasłużył na nią, tak jak jego dwaj poprzednicy. Ale z tej trójki tylko jego tablica wisi na domu, w którym nigdy nie mieszkał. Dom, w którym żył, zawalił się sto lat temu.

W Timbuktu są trzy meczety. Największy nazywa się Djingereber, najmniejszy – Sidi Jahja, a najważniejszy – Sankoré. Wszystkie zbudowano w XIV i XV wieku, ale kluczowe było powstanie Sankoré. Postawiono go na wzór meczetu w Mekce, nawet dziedziniec ma wielkość mekkańskiego placu Kaaby, który w tym celu zmierzono sznurem. Może to podobieństwo sprawiło, że Sankoré wpłynął na rozwój cywilizacji Afryki, a może był to tylko zbieg okoliczności. Faktem jest, że medresy, czyli szkoły koraniczne,

które powstały przy meczecie, szybko osiągnęły niebywale wysoki poziom i wraz z innymi medresami utworzyły Uniwersytet Sankoré. Wkrótce Timbuktu stało się, obok Bagdadu, Damaszku, Kairu i Fezu, jednym z najważniejszych ośrodków naukowych świata muzułmańskiego. Poza studiami nad Koranem zajmowano się filozofią, astronomią, matematyką, fizyką, historią, geografią, naukami prawnymi i ekonomicznymi. Uczelnia przyciągała najwybitniejsze umysły Bliskiego Wschodu i Afryki, ale i sama kształciła wybitnych. Wprowadzono niezwykły obyczaj: absolwent zamiast dyplomu otrzymywał turban Sankoré. Tak jak dziś absolwenci Harvardu rozpoznają się po krawatach, absolwenci Sankoré poznawali się po turbanach. Ukuli też powiedzenie, które do dziś słyszy się w tych okolicach, choć w różnych wersjach. Ta podstawowa brzmi: „Sól pochodzi z Północy, złoto z Południa, a słowo Boga i skarby mądrości z Timbuktu”.

– Na sto tysięcy mieszkańców – mówi Ali – studiowało dwadzieścia pięć tysięcy. Jakżeż wspaniałe było to miasto, jaką musiało mieć atmosferę – wzdycha.

Religijną atmosferę Sankoré próbuje się dziś odtworzyć w Green Haven, czyli… nowojorskim więzieniu o zaostrzonym rygorze. W 1968 roku muzułmańscy więźniowie założyli tam meczet, który nazwali właśnie Sankoré. Szybko stał się miejscem modlitwy i refleksji więźniów oraz schronienia – nigdy nie wchodzą tam strażnicy – i oderwania od ponurej rzeczywistości więzienia.

Czyżby tylko tyle pozostało z przeszłości?

Stoimy z Alim na piaszczystym placu przed Sankoré. Uniwersytetu już dawno nie ma, został piach pod nogami i gliniany meczet w głębi. Pamiątką po dawnej świetności są inkrustowane srebrną blachą furty wejściowe dawnego uniwersytetu. To wszystko.

– Nic nie zostało, Ali.

– Nieprawda – protestuje. – Zaprowadzę was do bibliotek. Tam zobaczycie skarby myśli.

Bibliotek jest wiele. Chyba nikt nie wie ile. Niektóre rodziny nie chwalą się zbiorami. Księgi zawierają historie rodzinne, nie zawsze chwalebne. Ale kilka bibliotek jest dostępnych – przede wszystkim Grand Bibliothèque[19]. Zgromadzono tu ponad trzydzieści tysięcy manuskryptów. Tylko czterysta poddano renowacji. Dzieła spoczywają za szybami brązowych szaf bibliotecznych. To ich jedyna ochrona przed upałem i wilgocią. Nie ma klimatyzacji, jej funkcję pełni jeden wentylator, który bardziej chłodzi kilku zwiedzających, niż chroni książki.

Niektóre księgi inkrustowano srebrem, w innych czcionki wykaligrafowano czystym złotem. Przewodnik oprowadzający za tysiąc franków, czyli sześć złotych, chętnie otworzy szafę i pozwoli przejrzeć zawartość. Tak niszczeją bezcenne dzieła. Za sto tysięcy franków, czyli mniej więcej sto pięćdziesiąt euro, możemy zabrać wybrany manuskrypt ze sobą. Przecież ubytku i tak nikt nie zauważy, jeśli nie będzie to jeden z kilkunastu najcenniejszych egzemplarzy eksponowanych w gablotach. Jeszcze łatwiej kupić coś z prywatnej biblioteki. W jednej z nich, gdzie zgromadzono jedenaście tysięcy manuskryptów, są prawdziwe unikaty: dzieła z XI wieku i szesnastowieczny Koran, którego drugi egzemplarz znajduje się w Iranie. Tu książki w szafie chroni tylko druciana siatka. Jak długo przetrwają w tych warunkach? Ich właściciele chętnie wzbogacą się o sto lub dwieście euro, jeśli znajdzie się kupiec. Może dlatego niektóre rodziny nie ujawniają swych bibliotek. Ze sprzedaży manuskryptów można nieźle żyć.

---

[18] R. A. Caillié, *Journal d'un voyage a Tombouctou et à Djenne dans l'Afrique Centrale*, Paris 1830.

[19] Grand Bibliothèque (franc.) – Wielka Biblioteka.

Inkrustowane srebrną blachą drzwi to jedyne, co pozostało z dawnego uniwersytetu Sankoré

Tuaregowie w Timbuktu przemieszczają się nie tylko na wielbłądach i toyotami…

Ali ze smutkiem kiwa głową.

– To straszne – mówi – ile dzieł już z Timbuktu wywieziono. W poprzednich wiekach rabowali je Marokańczycy, ale tam przynajmniej książki się szanuje i z nich korzysta. Dziś wykupują je turyści z Europy i Ameryki i nie wiemy, co się dalej z tymi egzemplarzami dzieje.

Ali twierdzi, że biblioteka Sankoré liczyła czterysta, a może nawet siedemset tysięcy pozycji. Ocalało sto pięćdziesiąt tysięcy. Co się stało z resztą?

– Od najazdu Marokańczyków leżą pod piaskami Sahary. Kto wie, może tam są najbezpieczniejsze – zastanawia się Ali.

Jedni mówią, że w mieście pochowanych jest 333 świętych, inni, że tylko 133. Tak czy inaczej – dużo. Ich groby rozsiane są po całym Timbuktu. Wyglądają jak piaskownice: półmetrowej wysokości kamienny lub gliniany murek, wewnątrz piasek. Żadnych innych oznak, żadnych napisów.

Sidi Jahja, święty szczególnie tu lubiany, którego imię nosi najmniejszy meczet, też ma tutaj swój grób. To taka sama jak inne „piaskownica”. Obok kupka śmieci, wewnątrz kilka papierów i plastikowych worków przyniesionych przez wiatr. Poznany wczoraj stary Tuareg, który zna chyba wszystkie legendy Timbuktu, opowiada:

– Sidi Jahja nienawidził władcy Timbuktu. Zapowiedział, że nie przekroczy bram miasta, dopóki władca żyje. Ten jednak bardzo cenił umysł i świętość imama i ascety. Na jego cześć zbudował meczet. Przed śmiercią poprosił bliskich, by zawiadomili Jahję o odejściu władcy. Tak się stało. Sidi Jahja powrócił wte dy do miasta. W kieszeni ubrania władcy znalazł klucz do meczetu. Pewnie było mu przykro. Został w Timbuktu do śmierci w 1463 roku. Uznano go za świętego i marabuta.

Stary Tuareg kończy opowieść i jak poprzednio nie odpowiada na żadne pytania. Wstaje, wspierając się na kiju, wybiera z grobu Sidiego papiery i plastikowe torby, rzuca je na bok i odchodzi. Spotkamy go jeszcze raz, ale wtedy nie odezwie się słowem, spojrzy na nas, zamknie oczy, zakryje twarz turbanem i oparty o mur zaśnie. Kilka dni później umrze.

Tymczasem wokół coraz rojniej. Wczoraj piaszczyste ulice Timbuktu były puste i senne. Czasem ktoś przejechał na ośle, dwaj Tuaregowie przystanęli przed sklepikiem i jedynie na obrzeżach, gdzie droga jest asfaltowa, i przy placu Niepodległości można było zobaczyć samochód. Życie toczyło się za glinianymi murami domów, na dziedzińcach i podwórzach. Piaszczysty plac przed Sankoré był pusty i smętny. A dziś z każdą chwilą na ulicach jest coraz więcej ludzi. Są pięknie ubrani – kobiety w bajecznie kolorowych sukniach, mężczyźni w niebieskich, białych, czasem pomarańczowych, ni to długich koszulach, ni galabijach. Żółtobure pustynne Timbuktu zakwita jak kolorowa łąka wszystkimi barwami. Tu i ówdzie gromady mężczyzn w białych strojach siedzą na piachu, modlą się i zawodzą pieśni. Dalej za rogiem inni słuchają imama czytającego Koran. Wkrótce ustają śpiewy i wszyscy kierują się w stronę Sankoré. Senne, martwe, piaskowe Timbuktu ożyło i nabrało barw niczym arabski targ. Na dziedzińcu przed Sankoré, wczoraj pustyni bez żywego ducha, kolorowy, rozkrzyczany tłum.

– Dziś rocznica chrztu Proroka – mówi chłopak w białej koszuli sięgającej kolan, stojący u wejścia na plac, po lewej stronie Sankoré. – To wielkie święto. Ale madame tu nie wejdzie. To strona dla mężczyzn.

Wejściem z prawej, dla kobiet, mężczyźni także mogą się dostać do środka. Po tej stronie jest barwniej i radośniej, bo panie są ubrane we wszystkie kolory tęczy, w odświętne suknie o niesamowitych wzorach. Na głowach welony, czapki i różne przedziwne konstrukcje. Stoją grupkami

albo siedzą na przyniesionych z domów krzesłach, plotkują, dowcipkują. Chętnie, o dziwo, pozują do zdjęć – może piękne stroje tak je odmieniły, może chcą się pochwalić. Trwa atmosfera radosnego pikniku.

– *Bonsoir, monsieur*[20] – mówi kopista, którego poznaliśmy dwa dni wcześniej. – I pan na naszym święcie. Bardzo dobrze. Niech pan wstąpi jutro do mojej pracowni. Mam dla pana fragment Koranu kaligrafowany złotem. Kupi pan?

Jest jedynym kopistą w Timbuktu, ostatnim, który kaligrafuje jak przed wiekami. Kopiuje wycinki Koranu, poezje, wybrane fragmenty ksiąg, używając takich samych narzędzi co twórcy tych dzieł. Jest swego rodzaju łącznikiem między starymi a nowymi czasami.

Tłum gęstnieje z każdą chwilą. Przed Sankoré pozostał tylko niewielki, ogrodzony, pusty prostokąt. I nagle, nie wiedzieć skąd, w szaleńczym pędzie przejeżdża przez plac jeździec na koniu. Za nim drugi, trzeci. Obłoki piaskowego pyłu wznoszą się w powietrzu.

Nieco z boku, od ulicy, drugi tuman pyłu. Pięć jeepów przywozi dwóch malijskich ministrów i ich świtę. Stoją chwilę, po czym wsiadają w auta i odjeżdżają.

– To już koniec uroczystości – mówi Ali.

– Jak to koniec?

– Rocznica chrztu Proroka – wyjaśnia – polega na czczeniu jej modlitwą, śpiewem i refleksją. Od rana widzieliście przecież ludzi zatopionych w modlitwie. Gdy skończą się modlić, zgodnie z tradycją, schodzą się pod Sankoré. Tylko po to, by spotkać się, porozmawiać. Następnie idą do domów.

Tłum powoli rzednie. Ludzie stoją jeszcze w grupach, rozmawiają. Z każdą chwilą na placu jest ich mniej, rozchodzą się po uliczkach miasta.

– Dobry wieczór. Witam państwa! – Ktoś klepie mnie po ramieniu. Za moimi plecami stoi i śmieje się Xavier. – Wracacie do hotelu? Mieszkam w tym samym co wy.

Hotel du Désert lepiej nazywać się nie mógł. Zbudowano go na pustynnym piachu na skraju miasta. Z tarasu widać tylko Saharę. Żółty piasek, gdzieniegdzie rachityczne, kolczaste krzewy i kępki kłujących traw. I fantastyczne słońce zachodzące nad pustynią.

– Cieszę się, że znów razem zjemy kolację. – Xavier bezczelnie uśmiecha się i przysiada do stolika. – Czuję się zaproszony. *Garçon*[21], piwo i baraninę w cynamonie dla mnie. Płacą ci państwo.

Jesteśmy wściekli na siebie. Jeszcze w Bamako powiedzieliśmy Xavierowi, dokąd jedziemy i gdzie zamieszkamy. Nie przypuszczaliśmy, że pojedzie za nami. A teraz na dodatek widzimy, że Xavier imponuje Allaye'owi. Obaj szybko, w ciągu jednego wieczora, zaprzyjaźnili się. Połączyły ich interesy. A właściwie marzenia o interesach. Allaye marzy o zbudowaniu hotelu i restauracji w Djenné oraz założeniu własnego biura podróży. Po piętnastu minutach znajomości obiecuje Xavierowi:

– Mianuję cię moim dyrektorem na Senegal.

Nawet nie pomyślał, że Xavier może mieszkać we Francji. Już lepiej, gdyby go mianował dyrektorem na Francję. Xavier został więc dyrektorem istniejącego w marzeniach biura podróży. Mnie z kolei Allaye namawia na zainwestowanie w hotel i restaurację.

– Zarobimy wielkie pieniądze – mówi.

– Ile trzeba wyłożyć? – pytam dla zabawy.

– Niewiele, ale pomyśl, ile zarobimy. Tysiące, co ja mówię, miliony! Potem zbudujemy drugi hotel, trzeci i następne. Cała Afryka będzie nasza.

Allaye, jak chłopcy spod hotelu w Bamako i kupiec z Wagadugu, jak większość Afrykanów, rzeczywistość zastępuje marzeniami. Nie ma grosza przy duszy, nie licząc pieniędzy, jakie dostał od nas. Zresztą za parę dni okaże się, że je wydał, i sytuacja będzie podobna do tej z Xavierem. Tyle że Allaye jest porządnym i sympatycznym człowiekiem. Nie próbuje nas oszukać, ale chciałby dostać choć z pięćdziesiąt euro akonto.

– Ale dlaczego, Allaye, mam ci znów dać pieniądze? Przecież już ci dałem – pytam.

– Bo ja nie mam, a ty masz! – odpowiada zdziwiony jak dziecko. – Przecież masz, co ci szkodzi dać?

Kiedy w końcu otrzymuje pięćdziesiąt euro, natychmiast kupuje za wszystko karty prepaidowe do komórki. I zaczyna gadać. Dzwoni chyba do każdego, kogo zna. Dyskutuje, śmieje się, nawet śpiewa przez telefon. A rozmowy są tu diabelnie drogie, o wiele droższe niż w Europie.

– Ooo!!! Skończyła się karta. – Robi nieszczęśliwą minę. – Dasz jeszcze trochę?

Taki właśnie jest Allaye. Typowy Afrykanin. Jak się na niego gniewać?

Podobnie rozumuje Xavier. On też nieustannie marzy o tym, by zrobić interes. Oglądamy jakieś figurki, a Xavier proponuje:

– Wyłóż kasę, sprowadzimy te figurki do Francji i Polski, zarobimy.

Widzi pustą działkę w mieście i mówi:

– Kup tę działkę, zbudujemy biurowiec.

Przed kilku laty kupił dwie działki i zostawił krewnym fundusze na wstępne roboty. Działki stoją nietknięte, pieniądze się rozpłynęły. Ale w marzeniach potrafi się rozpędzić równie szybko i daleko jak Allaye. Tyle że Xavier to oszust i bandyta. Zarabia na narkotykach. We Francji też ma swój interes, ale kto wie, czy nie jest on tylko przykrywką dla narkotykowego

handlu. Ale może we Francji nie ryzykuje? Kto go tam wie. Jedno jest pewne: trzeba jak najszybciej się z nim rozstać.

Po kolacji biorę Allaye na rozmowę i tłumaczę, że Xavier to nie jest dobra znajomość ani dla nas, ani dla niego.

– A ja mu już zleciłem przygotowanie dla was wyprawy na wielbłądach na pustynię, do tuareskiej oazy – martwi się.

Na szczęście nie dał Xavierowi pieniędzy.

– Nie szkodzi, Allaye, nie szkodzi. Dobrze, że nie dałeś mu pieniędzy – mówię. – Ale pamiętaj, że w dalszą drogę jedziemy bez Xaviera.

Mówiąc „nie szkodzi”, nie wiedziałem, jak bardzo się mylę. Nie wiedziałem, na jakie niebezpieczeństwo nas naraził.

---

[20] *Bonsoir, monsieur* (franc.) – Dobry wieczór panu.
[21] *Garçon* (franc.) – Chłopak, tu w znaczeniu kelner.

Pięknie ubrane kobiety
podczas uroczystości rocznicy
chrztu Proroka na placu
przed meczetem Sankoré
w Timbuktu…

…i na ulicach miasta

Rozdział 11

Niebiescy rycerze pustyni

Wdrapał się na wydmę i szeroko rozłożył ręce. Jego niebieski strój wypełnia przestrzeń, ręce wyglądają jak skrzydła, a on jak niebieski ptak. Niebieski ptak Sahary.

Mamma jest Tuaregiem, ma czterdzieści lat, urodził się na Saharze i tu żyje. Przez wiele lat prowadził karawany. Przeszedł Saharę wzdłuż i wszerz. Od Maroka do Nigru, od Algierii do Burkina Faso, od Mali do Libii. Przed godziną wsiedliśmy na jego wielbłądy. Jedziemy do miejsca, gdzie mieszka z rodziną. Kilka godzin jazdy w głąb pustyni.

– Pamiętam – mówi – że jeszcze dwadzieścia kilka lat temu karawany liczyły po sto i więcej wielbłądów. Teraz, jak jest pięćdziesiąt, to już wydarzenie. Dziś karawany chodzą rzadko i liczą nie więcej niż dwadzieścia pięć wielbłądów. Trudno je zobaczyć. Ale może będziecie mieli szczęście.

Ponieważ zarabiał coraz mniej na prowadzeniu karawan, przed kilku laty zdecydował się zostać przewodnikiem i zabierać na pustynię turystów i poszukiwaczy przygód. Teraz powodzi mu się dobrze. Nauczył się angielskiego. Tęskni jednak za nieskończonymi piaskami Sahary i czasem próbuje namówić turystów na dłuższą wyprawę w głąb pustyni.

– Niewielu się decyduje – mówi – więc powoli staję się takim nowoczesnym Tuaregiem.

Rzeczywiście, trudno go porównywać z Tuaregiem, którego spotkaliśmy kilka dni temu na Nigrze. Tamten wsiadł na prom płynący do portu w Korioume, skąd wiedzie prosta droga do Timbuktu albo na Saharę. Stanął z boku i oparł się o barierę. Był bardzo młody, liczył siedemnaście, może osiemnaście lat. Miał na sobie długi strój tuareskiego rycerza, na szyi

trzy torebki – na pieniądze, tytoń i drobiazgi. Z tyłu na pasie wisiał długi miecz. Rękę trzymał na jego rękojeści. Stał tak bez słowa i bez ruchu przez całą podróż. Poruszył się tylko raz – szybkim gestem dał do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych zdjęć. Gdy prom dobił do brzegu, lekko uniósł miecz, zszedł na ląd, stanął, zakrył dłonią oczy, spojrzał na słońce i ruszył w głąb Sahary. Po półgodzinie zobaczyliśmy maleńką sylwetkę znikającą na horyzoncie.

– Chodźcie tutaj! – woła Mamma, zapraszając do wejścia na wydmę. Wydma jest wysoka na jakieś dwadzieścia metrów, ale trudno wejść na szczyt, bo piach usuwa się spod nóg. Robisz dwa, trzy kroki i jesteś w tym samym miejscu. Ale warto próbować, bo widok z góry zapiera dech w piersi. Wokół piach, gdzieniegdzie kolczaste krzaki. Lekki wiaterek powoduje nieustanne falowanie piachu, pustynia żyje i ciągle zmienia swój kształt. Trudno zorientować się, skąd przyszliśmy i dokąd zmierzamy.

– Gdzie Timbuktu? – pytam. – Przyszliśmy stamtąd? – Pokazuję stronę, gdzie – jak mi się wydaje – zostało miasto.

– Nie, nie stamtąd – śmieje się Mamma. – Przyszliśmy z drugiej strony. O, tam jest Timbuktu. – Wskazuje kierunek, unosząc rękę. – Gdybym was tu zostawił, nie wrócilibyście sami. Może nocą, jeśli powietrze byłoby czyste, dostrzeglibyście słabą łunę świateł nad miastem. Ale za trzy godziny, gdy dojdziemy do mojego domu, będziecie kompletnie zagubieni. Stamtąd nie macie szans powrócić samodzielnie.

Uśmiecham się do niego przyjaźnie. Chyba nie ma wobec nas złych zamiarów? Niczego nie odczytam z jego twarzy. Zakrył ją szczelnie skrawkiem turbana, tylko z wąskiej szpary spoglądają czarne oczy.

– Żartujesz, Mamma, prawda? – pyta Wanda.

– Nie żartuję. Mówię poważnie. Śmiertelnie poważnie.

Według jednych statystyk Tuaregów jest tylko sto tysięcy, według innych nawet trzy miliony. Najprawdopodobniej na Saharze żyje od miliona do dwóch milionów Tuaregów. Nikt ich nigdy nie policzył, żaden spis ludności nigdy nie doszedł do skutku. Nie mogło się to udać, skoro żyją w siedmiu krajach i nie czują się obywatelami żadnego z nich: ani Nigru, ani Mali, Libii czy Algierii. Nie mają paszportów ani innych dowodów tożsamości. Nie obchodzi ich, że kiedyś europejscy wojskowi kartografowie podzielili Afrykę linijką, nie zważając na podziały etniczne i geografię. Nawet nie wiedzą, gdzie przebiegają te granice. Przemierzają pustynię wzdłuż i wszerz, gdzie chcą i kiedy chcą. Kto ich powstrzyma? Tylko oni ją znają, tylko oni nie boją się krainy piasku, kamieni i słońca. Są wolnymi ludźmi. Ich ojczyzną jest kraj, którego nie ma na politycznej mapie świata – Sahara.

Kiedy francuskie kolonie odzyskały niepodległość, nowe państwa postanowiły podporządkować sobie Tuaregów i zmienić ich nomadyczny tryb życia. Wolni ludzie pustyni zignorowali te działania. Gdy próbowano ich zmusić – chwycili za broń. W 1963 roku w Mali wybuchło pierwsze powstanie Tuaregów. Rozprawiono się z nimi brutalnie. Pokonano ich, musieli złożyć broń, ale nie zostali zwyciężeni. Nie poddali się państwowej władzy, a władza nie była zdolna do zapanowania nad ogromnymi przestrzeniami pustyni. W Tuaregach zaś rosła nienawiść i na początku lat dziewięćdziesiątych kolejne pokolenie – dzieci rebeliantów z 1963 roku – wywołało nowe powstanie. Tym razem trudniejsze do spacyfikowania. Walki trwały do 1995 roku, gdy mediacja Francji i Algierii doprowadziła do porozumienia. Na dwanaście lat zapanował pokój. W 2007 roku wybuchło kolejne powstanie, głównie na terenie Nigru. Walczono dwa lata. Zawarty pokój okazał się kruchy. W styczniu 2012 roku, już po naszym wyjeździe, nowe powstanie wybuchło w północnym Mali. Tuaregowie zdobyli kilka

miast, w tym Kidal i Timbuktu. Do walk wmieszali się skrajni islamiści kierowani przez Al-Kaidę. Odbili Timbuktu i zburzyli tam dwa mauzolea. Wojna trwa i będzie trwała, bo Tuaregowie nigdy nie podporządkują się władzy, która nie zaakceptuje tego, że to oni są niepodzielnymi panami pustyni.

Saharą rządzą od kilku tysięcy lat. Są jednym z ludów berberyjskich, a praberberowie zamieszkiwali tu już pięć tysięcy lat temu. To tajemnicze ludy. Nie są Murzynami, lecz białymi, których skóra ściemniała w pustynnym słońcu. Niektórzy antropologowie uważają ich za rasę pośrednią między białą i czarną. Ale Tuaregowie uważają się za białych. Nienawidzą czarnych, pogardzają nimi. To także jedna z przyczyn nieustannych wojen i powstań. Czarni Tuaregowie, bo są i tacy, to potomkowie murzyńskich niewolników. Pełnią funkcję służebne, często są współczesnymi niewolnikami. Bo Tuaregowie wciąż mają niewolników. Nie przyznają się do tego głośno, ale też nie kryją, że w głębi Sahary tak jest od wieków. W czasach niewolnictwa właśnie oni dostarczali niewolników z głębi kontynentu. Tuareskie karawany docierały do wybrzeża Morza Śródziemnego, gdzie sprzedawano Murzynów. Dziś czarni niewolnicy Tuaregów służą swoim panom w ich obozach, uprawiają dla nich ziemię, są rzemieślnikami. Trudnią się tym, co jest niegodne Tuaregów, którzy zajmują się tylko hodowlą wielbłądów, prowadzeniem coraz rzadszych karawan, przemytem i wojną.

Coraz częściej tuareskie dzieciaki zajmują się oprowadzaniem turystów po obrzeżach Sahary

Młody Tuareg stanął, zakrył
dłonią oczy, spojrzał na słońce
i ruszył w głąb Sahary

Tuaregowie pielęgnują własną tradycję i kulturę. Na przykład matriarchat. Kobiety mają tu silną pozycję. Choć większość z nich jest muzułmankami, nie muszą zakrywać twarzy. W przeciwieństwie do mężczyzn, którzy szczelnie kryją je za turbanami, by „złe siły nie weszły przez usta”, a pewnie i dlatego, by chronić twarz przed pustynnym piaskiem. Z tradycji wywodzi się niebieski strój i turban, co sprawiło, że sąsiedzi nazywają ich niebieskimi ludźmi. Tradycyjna jest hierarchiczna struktura społeczna, w której najwyższą pozycję zajmuje biała arystokracja, następnie członkowie rodów szlacheckich, niżej wasale, potem czarnoskórzy Tuaregowie niewolnicy, a najniżej pozostali czarni. Bardzo ważny jest honor i swoiście rozumiana uczciwość wobec wroga. Można go zabić, można ograbić, bo zabójstwa i łupiestwo są wpisane w tradycję, ale nie wolno na przykład odmówić mu wody, gdy wejdzie do namiotu. Bywa, że uciekający wróg dostaje się do namiotu Tuarega. Trzeba go wtedy ugościć. Namiot Tuarega staje się azylem jego wroga. Tak długo, jak w nim pozostanie, nic mu nie grozi, ma zagwarantowane bezpieczeństwo i gościnę.

Przestrzeganiu starych obyczajów towarzyszy umiłowanie własnej kultury. Tamaszek, język Tuaregów, jest językiem Sahary. Używa się go powszechnie. Ma własny alfabet, który nazywa się tifinagh i trochę przypomina pismo egipskie. Choć w oficjalnym użyciu jest pismo arabskie, to w domu powszechny jest tifinagh. Kobiety do prywatnych zapisków i korespondencji używają właśnie jego znaków.

Jeśli znasz trzy tuareskie słowa: *tamasheq*, *tifinagh* i *tenere* (pustynia) i wypowiesz je podczas rozmowy z Tuaregiem – zdobędziesz jego sympatię. Jeśli dodasz czwarte – *tinariwen* (liczba mnoga od *tenere*, czyli pustynie) – stajesz się przyjacielem. Tinariwen bowiem to także nazwa najpopularniejszego tuareskiego zespołu muzycznego. Cieszy się on

światową sławą, występował na scenach Paryża, Londynu i Nowego Jorku. Mimo to jego członkowie wciąż mieszkają w głębi pustyni, w oazie Kidal. Tak wybrali sami muzycy, a przede wszystkim ich lider, wyglądający jak rozbójnik Ibrahim ag Alhabib. Jego życie to jedna wielka przygoda. Był sierotą, wychowywał się w obozie uchodźców i tam w objazdowym kinie zobaczył western i kowboja z gitarą. Wtedy oszalał na punkcie gitary, która stała się jego marzeniem. Kiedy miał dziesięć lat, uciekł z obozu na ciężarówce z cementem. Błąkał się po świecie, ale gitarę w końcu zdobył. Gdy spotkał podobnych włóczęgów zakochanych w muzyce, założyli zespół i odnieśli sukces.

Muzyka i pieśni śpiewane w języku tamaszek są dla Tuaregów ważną częścią kultury. Utrwalają poczucie tożsamości i są pewnego rodzaju potwierdzeniem ich odrębnego, tajemniczego i zastygłego w przeszłości świata. Zastygłego jednak nie do końca, bo choć wydaje się, że świat Tuaregów nie zmienia się od wieków, prawda jest inna. Tak jak piasek zmienia kształty wydm na pustyni, tak współczesna cywilizacja wdziera się na niedostępną Saharę i przeobraża życie jej mieszkańców. Na przykład poprzez coroczne dwa muzyczne święta: Festival au Désert w Essakane, siedemdziesiąt kilometrów od Timbuktu, i Festival de l'Air w oazie Iferaouan, w górach Air na północy Nigru, półtora tysiąca kilometrów na północny wschód od Timbuktu. Młodzi Tuaregowie bawią się na tych festiwalach oraz w coraz liczniejszych oazowych dyskotekach, gdzie oprócz tradycyjnej herbaty piją piwo. Land cruisery zastępują wielbłądy i już nikogo nie dziwi, że zamiast karawany pustynię przemierzają jeepy. Bogatsi Tuaregowie budują domy z gliny i cegły w Timbuktu, Djenné i pustynnych oazach. Ale nawet ci, którzy mieszkają w mieście, dorobili się murowanych domów i samochodów, pracują w klimatyzowanych biurach, po pracy, albo przynajmniej na weekend, wyjeżdżają w głąb pustyni, by

zamieszkać w swoim jedynym prawdziwym domu, w skórzanym namiocie, obok swego wielbłąda, pod rozgwieżdżonym niebem. Przyjeżdżają, by na chwilę wrócić do prawdziwego życia. By odetchnąć wolnością, którą daje Sahara. By poczuć się wolnym człowiekiem. By znów poczuć się Tuaregiem.

Jedziemy już trzecią godzinę w głąb pustyni. Wielbłądy poruszają się wolnym, jednostajnie majestatycznym krokiem. Mamma zatrzymuję się i patrzy gdzieś w dal.

– Tam – mówi i wyciąga rękę. – Tam idzie karawana. Jesteś *lucky man*[22].

„Jesteś *lucky man*” – słyszę później wielokrotnie, gdy opowiadam, że spotkaliśmy karawanę. Dziś na pustyni naprawdę łatwiej zobaczyć jeepa.

Karawana zbliża się coraz bardziej. Teraz już widać wyraźnie: siedemnaście… osiemnaście… dziewiętnaście objuczonych wielbłądów i dwóch Tuaregów. Mijają nas w odległości stu metrów.

– Idą z Algierii do Timbuktu – mówi Mamma. – Bardzo im zazdroszczę.

Zastanawia się chwilę, a potem pyta:

– Może pojechalibyście ze mną do Kidal? Dawno tam nie byłem. A biali docierają tam rzadko. Zobaczycie wspaniałe miasto.

Kidal leży jakieś sześćset kilometrów stąd w linii prostej na północny wschód. Do oazy położonej w głębi pustyni, w skalistym regionie nazywanym Adrar, nie prowadzi żadna droga, nie jedzie żaden autobus. Można się tam dostać tylko na wielbłądach lub pikapem z rzadka wyjeżdżającym z Gao. Miasteczko z kilkunastoma piaszczystymi ulicami, kilkoma barami, gdzie na elektrycznych gitarach grają tuareskiego bluesa, żyje z przemytu. Jest jednym z centrów tuareskiego buntu. Tu żyją

bezpiecznie, przez nikogo nie niepokojeni, choć oficjalnie ścigani, przywódcy ostatnich powstań. Tu można zjeść najlepsze kozie lub baranie mięso i napić się najlepszej herbaty.

Mamma z pasją opowiada o Kidal.

– To co, pojedziecie? – pyta. I bardzo żałuje, gdy mówimy, że nie możemy.

Przez długi czas jedziemy w milczeniu.

– Szszsz! – woła nagle, zatrzymuje wielbłądy i wskazuje na nieodległe piaszczyste wzgórze. – Za tą wydmą jest mój dom, będziemy tam za pół godziny.

---

[22] *Lucky man* (ang.) – Szczęściarz.

Wypoczywający Tuareg spotkany na Saharze

Żona Autora, Wanda, z Mammą
podczas wędrówki do oazy,
w której żyje rodzina Tuarega

Z wydmy wyraźnie widać obozowisko. Hektar pustyni otoczony suchymi gałęziami ściętymi z wyrastających gdzieniegdzie kolczastych krzewów. Wewnątrz cztery namioty z wielbłądziej skóry, palenisko, kozy i barany. Naprzeciw wybiega kilkoro dzieci. Mamma odsuwa trzy kolczaste gałęzie i wjeżdżamy do środka. Kobiety właśnie skończyły ubijać ziarno na mąkę. Z tej mąki upieką tagellę. To rodzaj placka, który piecze się w rozgrzanej od ogniska mieszaninie piasku i popiołu. Takim chlebem wkrótce nas poczęstują. Je się go z kozim lub wielbłądzim mlekiem, czasem z serem. Jest smaczny jak każde ciepłe pieczywo, ale w zębach zgrzyta piasek.

Przed naszym namiotem rozłożono na piasku duży koc, a na nim białe prześcieradło i dwa brązowe jaśki. To miejsce do spania. Legowisko jest czyste, otoczenie wokół również, dzieci zadbane i czyściutkie. To zdumiewające, bo najbliższa studnia jest cztery godziny drogi stąd, w Timbuktu. Wodę wozi się na wielbłądach i przelewa do wielkich dzbanów zakopanych w piasku. Dzbany są ceramiczne i porowate wewnątrz, co sprawia, że woda jest stale chłodna.

Mamma siada obok i bezceremonialnie pyta:

– Macie dla mnie jakieś prezenty?

Jest zadowolony z podarunków. Rozdziela je pomiędzy dzieci, żonę i matkę, sobie zostawia elektroniczny zegarek i latarkę.

Wokół wolno toczy się życie. Starsza kobieta doi kozę, dwie młodsze w kociołku nad ogniskiem gotują ryż z papryką, kawałeczkiem baraniny i przyprawami. Kobiety ubrane są w czarne stroje, tylko dziewczynki mają kolorowe bluzki. To ich przywilej do czasu urodzenia dziecka. Od tej chwili będą nosić już tylko czarne lub granatowe ubiory. Te dziewczynki w pustynnym, żółto-brunatnym otoczeniu wyglądają jak kwiaty pustyni. A tutejsze kobiety i dziewczynki są piękne. Mają jasną, brązową cerę, proste, czarne włosy, zgrabne nosy, szczupłe twarze, czarne, głęboko osadzone oczy.

Przed jednym z namiotów siedzą dwaj Tuaregowie i żywo rozmawiają. To bracia Mammy. Wewnątrz namiotu, ich domu, jest całkiem pusto. Widać tylko dwa worki, w których trzymają ubrania. I choć kobiety noszą na rękach srebrne bransolety, to żyjący na pustyni Tuaregowie są biedni. Ponad to, co noszą na sobie, mają niewiele: kozy, barany i ich największe bogactwo – wielbłądy. Bo nawet ten kawałek pustyni, ogrodzony gałęziami kolczastych krzewów, to tylko chwilowa własność. Przecież jutro mogą wyruszyć w drogę.

Zrobiło się ciemno, nad Saharą rozbłysły miliony gwiazd. Choć legowisko jest twarde jak kamień, a po rękach i nogach chodzą duże pustynne robaczki, świat pustyni wydaje się piękny. I jakżeż inny od naszego. Może piękniejszy, lepszy? Rozgwieżdżone niebo nie pozwala zasnąć. Wzrok błądzi wśród gwiazd, a w głowie rodzi się banalne pytanie: więcej ziaren piasku na pustyni czy gwiazd na niebie? Zmęczenie w końcu bierze górę, powoli opadają powieki. Nagle słychać szmer kroków. Zbliża się trzech Tuaregów, błyskają noże.

– Nie bój się – mówi Mamma. – Przyszliśmy sprzedać nasze wyroby.

Na kocyku rozkładają korale, srebrne bransoletki, kolczyki i noże.

– Kup ten nóż – namawia Mamma, wskazując ostrze z inkrustowaną hebanową rękojeścią w skórzanej pochwie. – Może ci się przydać, kup! – nie ustępuje. Ale Wanda wybiera korale, bransoletę i czerwony skórzany worek na wodę.

Mamma i jego bracia są usatysfakcjonowani. Nie targowaliśmy się za bardzo, ale wystarczająco, by nie poczuli się urażeni. Teraz przyrządzają herbatę. Herbata to rytuał, bez którego nie zakończy się żadne spotkanie na pustyni. Dla prawdziwych Tuaregów picie herbaty ma większe ceremonialne znaczenie niż dla Arabów czy Murzynów z Czarnej Afryki. Wszystkie inne napoje mają w pogardzie. Liczy się tylko ta słodka herbata. Można nie zjeść, ale nie wolno nie wypić herbaty na pożegnanie. Po trzeciej szklaneczce nasi gospodarze zabierają czajniczek, pakują towary i tak cicho, jak przyszli, znikają w ciemności.

Nie wiem, jak długo spałem. Poczułem, że ktoś położył dłoń na moim ramieniu, i otworzyłem oczy. Gwiazdy wciąż świecą jasno.

– Chodź ze mną! – szepcze mi do ucha Mamma. – Twoja żona niech śpi.

Mamma idzie kilkanaście metrów w głąb obozowiska, tak, by nasza rozmowa nikogo nie zbudziła. Jest środek nocy.

– Jesteście dobrymi ludźmi – mówi – i nie chcę, żeby stało się wam coś złego.

– O co chodzi, Mamma?

– Xavier to zły człowiek – mówi. – On na ciebie poluje, on chce, żebyś umarł.

– Mamma! Co ty mówisz? Dlaczego tak uważasz?

– Xavier proponował mi pieniądze, pięćdziesiąt, a potem sto euro, żebym wywiózł was na pustynię i zostawił samych. Xavier to bardzo zły człowiek. Uważaj na niego. Nie jedźcie z nim dalej.

Gdy kończymy rozmowę, świta. A rankiem, jakby nigdy nic, nie wspominając słowem o naszej nocnej wymianie zdań, Mamma odwozi nas na skraj pustyni, niedaleko hotelu, każe czekać przy wielbłądach i sam idzie do budynku. Wraca po półgodzinie i mówi:

– Xaviera nie ma. Wsiadajcie do auta i uciekajcie. Niech Allah was prowadzi.

Allaye czeka w hotelu.

– Gdzie Xavier? – pytam.

– Poszedł do meczetu.

– Opowiadałeś mu o naszych planach?

– Ani słówka od chwili, gdy powiedziałeś o narkotykach – zarzeka się Allaye.

– Wyjeżdżamy natychmiast do Kraju Dogonów. Natychmiast. I żadnych kontaktów z Xavierem.

– Tak jest, *my friend*! – woła Allaye, łapie bagaże, a Arbi zapala land cruisera.

Wygląda na to, że tym razem definitywnie pozbyliśmy się Xaviera i że już nam nie zagrozi. Przyszłość pokaże, że jednak i tym razem się pomyliliśmy i że znów nas przechytrzy. A kolejne spotkanie z nim okaże się niebezpieczne. Bardzo niebezpieczne.

Mamma wręcza dzieciom
otrzymane od nas prezenty

Rozdział 12

Przybysze z kosmosu

Kraj Dogonów

Droga do Kraju Dogonów jest okropna. Początkowo była szutrowa, wskutek czego auto tonęło w czerwonym kurzu, ale teraz same kamienie, dziury i piach. Jedziemy zygzakami, samochód nieustannie podskakuje, trzeba uważać na głowy, choć Arbi wyczynia cuda, żeby ominąć wyboje. Ale miejscami są same wyboje i właściwie trudno mówić o drodze. Wokół auta i wewnątrz unosi się pył. W tym pyle, który najpierw był czerwony, a teraz zmienił się w żółty, jedziemy od kilku godzin.

Allaye jest w wyśmienitym nastroju. Szczerzy zęby w uśmiechu, usta mu się nie zamykają, nieustannie do kogoś dzwoni, a gdy przestaje rozmawiać – śpiewa. Okazuje się, że w tak dobry humor wprawiła go ucieczka przed Xavierem. Już zaczynał się bać swego nowo mianowanego dyrektora. Teraz, kiedy strach minął, wychodzi z niego afrykańska natura marzyciela i gaduły. Bo Allaye, jak każdy Afrykanin, jest gadułą. Cała Afryka jest niewiarygodnie rozgadana. Niekończące się dyskusje, przekomarzania, kłótnie, plotki są na porządku dziennym od świtu do zmroku jak kontynent długi i szeroki. Wielogodzinne rozmowy, podobnie jak wielogodzinne marzenia, pochłaniają kawał życia Afrykanów, którzy wolą dyskutować i marzyć, niż pracować. Teraz pojawiły się jeszcze komórki, które zastąpiły tam-tamy w komunikacji na odległość i wyjątkowo pasują do afrykańskiej natury. Z miejsca stały się obiektem pożądania wszystkich, od maluchów po starców.

– To dobrze, *my friend* – mówi Allaye po kolejnych podskokach auta na dziurach, nie przerywając zresztą telefonicznej rozmowy – że nie ma drogi.

Kiedy ją zbudują, Kraj Dogonów się zmieni i przestanie być atrakcyjny. Dobrze mówię, *my friend?*

Ma rację. Tam, gdzie powstaje droga, dociera też cywilizacja. Drogą jeżdżą autobusy i ciężarówki, w nowe miejsca trafiają przyjezdni i nieznane wcześniej produkty, stawia się słupy z elektrycznością, a w wioskach, które dotąd żyły jak przed wiekami, pojawiają się telewizory, lodówki i telefony komórkowe. Znika część afrykańskiej egzotyki i kultury. Wraz z cywilizacją pojawiają się plastikowe śmieci, pazerność na dobra materialne, pijaństwo, emigracja, ogromne różnice w zamożności i wszelkie zło, jakie rodzi się na styku przeszłości ze współczesnością, bogactwa i biedy. Zwłaszcza gdy to zetknięcie jest zbyt nagłe, a przepaść cywilizacyjna zbyt wielka. Ale ten proces jest nieunikniony. Na szczęście do Kraju Dogonów dopiero dociera.

Mija piąta godzina jazdy, gdy na horyzoncie pojawia się uskok Bandiagara. Najpierw jak we mgle, potem coraz wyraźniejszy i bliższy. To przedziwna formacja skalna, jedyna taka w świecie. Z płaskowyżu, który w północnej części, tej bliższej Mopti, jest półpustynią, a w południowej zamienia się w półsawannę, wyrasta, ni stąd, ni zowąd, pasmo wysokich na pięćset metrów skał. Ciągną się przez ponad sto pięćdziesiąt kilometrów. Są niemal pionowe, tylko u podnóża nieco łagodniejsze. Pięćset metrów wyżej ten sam płaskowyż prowadzi do stolicy regionu, miasta Bandiagara. Wygląda to tak, jakby ziemia na tych stu pięćdziesięciu kilometrach przesunęła się równolegle o pięćset metrów w górę.

Wejście na wyższą część płaskowyżu nie jest łatwe. Trzeba wspinać się wąskimi wąwozami, a tam, gdzie skała jest pionowa, korzystać z drabin wykonanych z pni drzew, w których wycięto stopnie. Wędrówka odbywa się w upale sięgającym 40°C. Ale warto się wspinać, bo widok rekompensuje wszystkie trudy. W pogodny dzień, przy przezroczystym

powietrzu, wzrok sięgnie Sahary. Po przeciwnej stronie, na południu płynie Czarna Wolta, nieco dalej Czerwona Wolta i Biała Wolta, a wokół nich rozciąga się kraj, który kiedyś nazywał się Górna Wolta, a dziś – Burkina Faso. Kiedy zaś spojrzymy w dół, naszym oczom ukaże się widok dogońskiej krainy – świat z bajki i z kosmosu.

Kraj Dogonów to siedemset rozrzuconych wokół uskoku Bandiagara wiosek. Najciekawsze są wioski położone na zboczach Bandiagary i u jej podnóża. W każdej stoi kilkadziesiąt niewielkich, glinianych domów. Obok spichlerze, jakich nie zobaczy się nigdzie na świecie. Są to wysokie wieżyczki w kształcie wąskiego czworoboku zakończonego spiczastym dachem z bambusa i trzciny. Posadowiono je na drewnianych belkach lub kamiennych podstawach chroniących przed gryzoniami. Nieco wyżej – mniejsze domki i mniejsze spichlerze. A hen wysoko, sto, dwieście metrów i jeszcze wyżej – wykute w pionowych skałach niewielkie pomieszczenia z otworami na drzwi i okna. Z oddali wydają się zupełnie maleńkie. Wyglądają, jakby mieszkały w nich krasnale. Gdy wchodzimy do wsi, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że oto znaleźliśmy się w baśniowym świecie. Jest w tym zresztą trochę prawdy. Kilkaset lat temu w wykutych w skałach domach, wysoko w górze, mieszkali afrykańscy „krasnale” – pigmejski lud Tellemów. Pięćset lat temu dotarli tu Dogoni, zaczęli wypierać Tellemów i zajmować ich domy w skałach. Później, gdy poczuli się bezpieczni, schodzili niżej, gdzie żyło się wygodniej. Wykute w skałach domy stoją dziś puste albo są miejscami pochówku.

Dogoni przybyli do Bandiagary z Egiptu. Tak uważa większość antropologów. Nieliczni twierdzą, że Dogoni dotarli tu znad Morza Śródziemnego, a inni, że z Senegalu. Sami Dogoni mają na ten temat zupełnie inne zdanie. Wierzą, że są potomkami pierwszych ludzi, którzy

zamieszkali na Ziemi, i że ich stwórcy przybyli z kosmosu. Konkretnie z maleńkiej planety krążącej wokół Syriusza C.

Jeszcze jedna dogońska baśń, kosmiczna baśń? Może, ale skąd Dogoni, prymitywny lud żyjący do tej pory tak jak ich średniowieczni przodkowie, bez prądu, telewizji, nawet bez komórek, które w Afryce są wszędzie, także tam, gdzie nie ma żadnej cywilizacji, skąd oni wiedzą o Syriuszu? I to ile wiedzą! Więcej niż współcześni astronomowie. W 1940 roku dogońscy kapłani zdradzili światu przechowywaną przez pokolenia tajemnicę, że Syriusz składa się z trzech gwiazd A, B i C i że wokół najmniejszej z nich krąży niewielka planeta. „Z tej planety wywodzimy się my, Dogoni, a z nas cała ludzkość” – stwierdzili kapłani. Opisali też dokładnie ponad pięćdziesięcioletni cykl obiegu Syriusza B wokół Syriusza A. Skąd ta wiedza? Syriusz jest co prawda jedną z najbliższych Ziemi gwiazd, odległą zaledwie o 8,5 roku świetlnego, najjaśniejszą na niebie i widoczną z całej niemal kuli ziemskiej, ale gołym okiem widać go jako jeden obiekt. Druga gwiazda, Syriusz B, nawet przez bardzo dobry teleskop jest ledwo widoczna. Odkryto ją dopiero w 1862 roku, a Dogoni wiedzieli o jej istnieniu setki, a może i tysiące lat wcześniej. Najbardziej zdumiewająca jest ich wiedza o Syriuszu C. Jego istnienie potwierdzono zaledwie kilkanaście lat temu, dzięki użyciu ogromnego teleskopu radiowego. Odkryto go ponad pół wieku po ogłoszeniu przez kapłanów tajemnicy Dogonów. Planety krążącej wokół Syriusza C nie zauważono do dziś. A jeśli w przyszłości i ona zostanie odkryta?

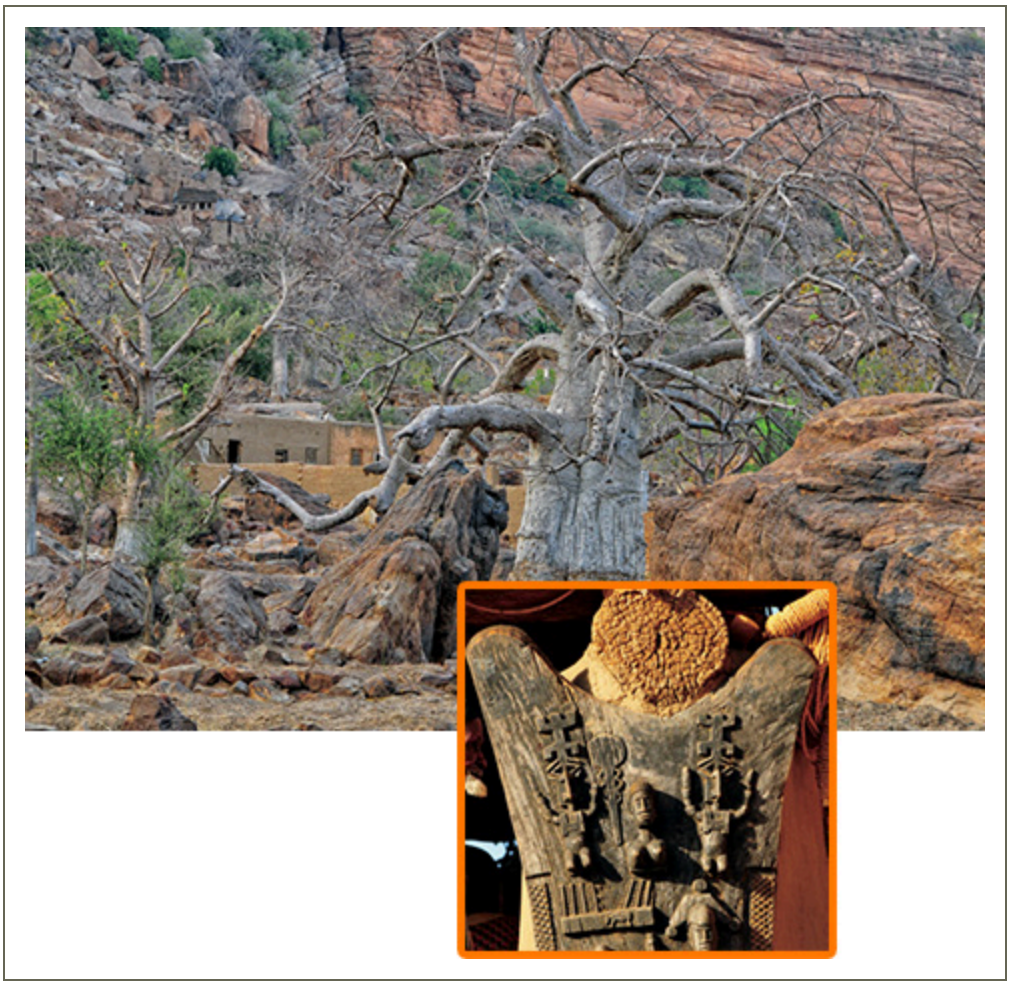

Kraina baśni, czyli Kraj
Dogonów z domkami w uskoku
i pod uskokiem Bandiagary
ciągnącym się przez
sto pięćdziesiąt kilometrów.
Poniżej: drzwi dogońskie
z kosmicznymi motywami

Kraj Dogonów widziany z uskoku Bandiagary

Wykute w Bandiagarze
domy pigmejskiego plemienia
Tellemów, które żyło tutaj
przed Dogonami

Amerykański uczony Robert Temple stwierdził, że „astronomiczna wiedza Dogonów jest bogatsza”[23]. Dowiódł, że wiedzieli o istnieniu pierścieni Saturna, czterech księżyców Jowisza, obrocie Ziemi wokół własnej osi i 365 dniach jej obiegu wokół Słońca.

Skąd to wszystko wiedzieli?

– Ta wiedza przechodzi z pokolenia na pokolenie – mówią Dogoni – a wiemy o wiele więcej. Na przykład to, że świat stworzył bóg Amma i że z Syriusza przybyli na Ziemię jego wysłannicy, bliźniacy Nommo. Wylądowali nad jeziorem, stworzyli ludzi, czyli nas, Dogonów, nauczyli uprawiać ziemię, produkować narzędzia i różne wyroby. Jeden z bliźniąt umarł na krzyżu, a potem zmartwychwstał. Przed odlotem na Syriusza obaj zjedli z naszymi przodkami kolację z własnego ciała. Potem zapowiedzieli swój powrót na Ziemię i odlecieli.

Słuchamy tej opowieści, patrzymy na prymitywne domki Dogonów, ich zacofanie i ubóstwo.

– To niemożliwe – mówi Wanda. – Jesteśmy chyba w krainie baśni.

Dziewczyna jest piękna i niezwykle kolorowa. Ma czarną spódnicę, na niej czerwono-czarną przepaskę, bluzkę w niebiesko-czarno-bordowe pasy, czerwoną chustę na ramionach i włosach. Na głowie niesie pomarańczową miskę z owocami. Długie korale z żółtych owoców wielkości jabłek zwisają z jej szyi. Z takich samych owoców, tylko nieco mniejszych, ma bransoletę. Pięć metrów dalej, przy misach z mąką z prosa, siedzi inna śliczna dziewczyna. Ubrana jest w sukienkę i chustę w biało-niebiesko-granatowe kropki, kwadraty, koła i pasy. Nosi trzy naszyjniki wykonane z metalowych kulek i różnokolorowych suszonych owoców. W nosie, na wargach i wzdłuż uszu ma mnóstwo metalowych obrączek.

Obok setki takich kobiet, mężczyzn i dzieci we wszystkich kolorach świata. Jest tłoczno i niesłychanie głośno. Jesteśmy na targu w dogońskiej wiosce Bamba.

Tak wyglądają niemal wszystkie targi Czarnej Afryki. Są ich tysiące w małych miasteczkach, wioskach i wielkich metropoliach. Podobne do siebie jak krople wody, chociaż trafiają się i takie, które mają swoją specyfikę i niepowtarzalność, które raz widziane zapamiętuje się na całe życie, jak te w marokańskim Marrakeszu, w etiopskiej Addis Abebie i Dimece, malijskim Bamako i Kayes, w tunezyjskiej Susie i w Rosso w Mauretanii. Targi to miejsca, gdzie pulsuje serce Afryki. Tu kupi się wszystko, zobaczy wszystko, spotka wszystkich. Jest mąka i proso, suszone ryby, owoce i warzywa, zioła, placki, tkaniny, ubrania, koszulki, buty, plastikowe klapki, miski i wiadra. Artykuły spożywcze pochodzą z Afryki, produkty przemysłowe z Chin. Są byle jakie, najniższej jakości. Szmelc, który budzi pożądanie wyłącznie Afrykanów. Białego zainteresują przyprawy i kolorowe materiały sprzedawane na metry, też zresztą z Chin. Nic więcej nie jest godne uwagi. Ale miejscowi patrzą na te wszystkie T-shirty z najgorszej bawełny, plastikowe buty, stilonowe marynarki i podobne barachło łakomym wzrokiem. I liczą pieniądze. Są zbyt biedni, by kupować produkty lepszej jakości. Dlatego na targach nie ma wyrobów z Europy czy USA. Czasami, rzadko, można je znaleźć w nielicznych lepszych sklepach w centrum miasta. Ale są drogie, Afrykanina nie stać nawet, by na nie spojrzeć. Kiedyś, po dłuższym pobycie w Afryce, zamarzyła się nam porządna herbata. Szukaliśmy jej ze trzy dni, aż wreszcie znaleźliśmy pudełko Liptona. Kosztowało trzy razy tyle co w Polsce. Gdy Wanda je otwierała, zauważyła, że termin ważności minął przed dwoma laty. Długo musiało leżeć w sklepie.

Na targach towar schodzi szybciej. Choć też niezbyt szybko. Chodzimy po targu w Bambie już trzecią godzinę, wracamy w te same miejsca i widzimy, że niewiele ubyło. Kobieta siedząca przy trzech misach mąki sprzedała może kilogram. Obok dwie dziewczyny z wciąż pełnymi koszami owoców. Lepiej chyba idzie tym, które krążą z towarami w koszykach lub miskach na głowie. Od czasu do czasu udaje im się sprzedać jakieś banany lub pomarańcze.

– Daj cztery owoce mango! – wołam do przechodzącej w pobliżu dziewczyny.

Mango są tu znakomite, słodkie i soczyste. W Europie nigdy tak nie smakują. Tutaj jada się owoce dojrzałe. W świat wysyła się wcześniej zerwane, żeby nie zgniły w drodze. Dlatego smakują gorzej. Mango można jeść bez obaw, ma grubą i twardą skórę, do środka nie wlezą żadne owady, nie trzeba ich myć, bo skórę obiera się i wyrzuca. Z innymi owocami należy uważać, bo można się zatruć. Ostrożność należy zachowywać nawet przy bananach, do których czasami dostają się niebezpieczne gąsienice – zjedzenie ich grozi śmiercią. Przyjaciel-marynarz, który często bywał w Afryce, opowiadał, że na statku zawsze zatrudniali miejscowego, który kontrolował banany. Któregoś dnia szesnastoletni chłopak przyniósł kosz bananów z trującymi gąsienicami. Nadzorca spojrzał na owoce, złapał kosz i wyrzucił do wody. Potem uderzył pięścią chłopaka, chwycił pod ramiona i wypchnął za burtę. Statek cumował u ujścia rzeki. Nieszczęśnik spadł w miejsce, gdzie żerowały krokodyle. Rozszarpały go w kilka sekund.

---

[23] R. Temple, *The Sirius Mystery*, New York 1976.

Targi są nie tylko miejscem
handlu, ale też teatrem,
festynem, przyjęciem
towarzyskim i rewią mody

Miejscowe targi mienią się tysiącami barw

Mimo hałasu dziewczyna usłyszała prośbę. Przepycha się przez tłum i podaje mango.

– Sto euro – mówi.

No cóż, zobaczyła białych klientów i postanowiła dobrze zarobić, ale nie ma pojęcia o wartości europejskiego pieniądza. Płacimy jej normalną cenę, a ona i tak jest zadowolona, że cokolwiek sprzedała.

Na targu w Bambie, podobnie jak na wielu innych, prawie nie ma stałych stoisk. Kobiety, bo to one głównie handlują, siedzą na ziemi, obok rozkładają towary. Inne krążą z nimi, trzymając je w rękach lub na głowie. Tylko w jednym miejscu stoi kilka słupków, na których ułożono trzcinowy dach. Takie stoiska nie służą eksponowaniu towarów, bo te i tutaj leżą na ziemi, ale zapewniają trochę cienia. Tłok i hałas są ogromne. Ludzie krążą we wszystkie strony, przepychają się, wpadają na siebie, depczą sobie po

piętach, gadają, kłócą się, dzieci płaczą, krowy i osły ryczą. Harmider nie do wytrzymania. Od czasu do czasu przez tłum brnie osiołek ciągnący wóz lub powoli toczy się samochód ciężarowy. Ciężarówka wjeżdża, choć nie ma tu żadnej drogi, wolno, wolniutko, centymetr po centymetrze, ludzie rozsuwają się, a gdy przejedzie, znów zajmują poprzednie miejsca, tak że samochód wciąż otoczony tłumem wygląda, jakby posuwał się razem z nim, jakby ludzie go nieśli.

Afrykański targ to nie tylko wielki rynek, ale też miejsce różnych ważnych wydarzeń i zarazem festyn ludowy. Ludzie idą tam często tylko po to, by się spotkać i porozmawiać. Nic nie sprzedają, nic nie kupują. Tu, w Bambie, już po raz trzeci spotykamy kobietę, która krąży z żywymi kurami, niesie po jednej w każdej ręce. I wciąż ma te same kury, pomimo trzech godzin spędzonych na targu nie sprzedała żadnej. Ale ile się narozmawia, w ilu miejscach zatrzyma i gada! Można odnieść wrażenie, że jej celem są te spotkania i rozmowy, a kury na sprzedaż to tylko pretekst. Dotyczy to nie tylko jej. Kobiety, zanim wyjdą na targ, wkładają najlepsze sukienki, po trzy pary korali, bransolety i najładniejsze chustki na głowę. Targ zastępuje im przyjęcie towarzyskie, kino, wystawę i rewię mody. Tutaj i na tysiącach podobnych targów pulsuje życie towarzyskie Afryki.

Na targ do Dimeki, położnej w południowo-zachodniej Etiopii, niedaleko granicy z Sudanem, zdążają ludzie z całej Doliny Omo. Idą dwa, czasem trzy dni. To niecodzienny widok, gdy jedziesz drogą i widzisz ciągnący się kilometrami, niekończący się szereg ludzi zmierzających do Dimeki. Niosą towary przeznaczone na sprzedaż lub wymianę. Bo targ w Dimece ma pierwotny charakter. Można coś kupić, ale łatwiej zamienić. Za scyzoryk zaproponują rzeźbione krzesełko i dwie malowane tykwy. Tykwy z kolei chętnie wymienią na butelki z wodą mineralną. Niektórzy niosą przez dwa dni, idąc trzydzieści albo i więcej kilometrów, wiązkę chrustu,

którą potem wymienią na latarkę lub kilka słoików miodu. Miodu, który zresztą trudno zjeść, bo zmieszano go z woskiem. Z tej mieszanki robią też alkohol o smaku rzygowin. Nazywa się tadż. Nie da się go wypić, choć miejscowi za nim przepadają. Trzy butelki można wymienić w Dimece na plastikowe wiadro lub miskę.

Inny charakter ma targ przy placu Djemma el Fna w Marrakeszu. Stoją tam stoiska, są sklepiki i byłby to typowy suk arabski, gdyby nie ogromny plac przed wejściem. Tutaj czuje się już powiew Czarnej Afryki. Zwłaszcza wieczorem, gdy robi się ciemno i tajemniczo. Są tu zaklinacze węży, akrobaci, sprzedawcy ziół, wróżbici i znachorzy, można przysiąść się do opowiadaczy baśni i przedziwnych historii, a gdzieś z boku kupić fetysze lub narkotyki. Kto nigdy nie zapuścił się w głąb Afryki, a znajdzie się na Djemma el Fna poczuje jej oddech i zapragnie pojechać dalej, na południe. A wtedy dotrze na takie targi jak w Dimece, gdzie towar ma większe znaczenie niż pieniądz. Jest ich jednak coraz mniej. Trafiają się w wioskach na odludziu, gdzie cywilizacja dociera z oporami, jak w południowej Etiopii czy w Kongo. W większych miastach, nie wspominając o afrykańskich metropoliach, wymiana już nie istnieje. Liczy się tylko pieniądz, a właściwie trzy waluty: miejscowa, dolar i euro. Ale to jedna z niewielu różnic. Reszta wygląda tak samo. W Dakarze, Addis Abebie, Niamey, Brazzaville i Kinszasie lub w Bamako, króluje ta sama tandeta, jest ten sam tłok i hałas. Czasem można poczuć cudowny zapach, a właściwie egzotyczną mieszankę zapachów owoców, suszonych warzyw i ziół. Częściej jednak czuje się smród. Odchody zwierząt i ludzi, gnijące owoce, *kendje*, czyli domowej roboty piwo z prosa fermentujące w beczkach po ropie, zwierzęcy i ludzki pot, to wszystko razem jest nie do wytrzymania. Kiedyś w Addis Abebie wdepnąłem w błoto, które było chyba mieszanką wszystkich możliwych smrodów. Jeszcze po dwóch

tygodniach moje adidasy, mimo wielokrotnego mycia, śmierdziały okropnie.

Jak silna i niezniszczalna jest tradycja targów, pokazuje historia powstania modernistycznego centrum handlowego w Wagadugu – dość nowoczesnym i czystym jak na Afrykę mieście, stolicy Burkina Faso.

– Miało być jak w Europie – mówi Amini, którą poznaliśmy tam podczas lunchu. – Zbudowano je w sercu miasta, na miejscu dawnego targu. Miało zastąpić ten tradycyjny, który wypełniał główny plac stolicy. Jak widzicie, architektura jest nowoczesna, europejska. No ale co mamy w środku?

Amini wskazuje na budynek. W środku – najzwyklejszy afrykański targ. Tyle że w nowoczesnej zabudowie i pod dachem. Jest tu pełny zestaw towarów spotykanych gdzie indziej, tylko ludzie siedzą na betonie zamiast na ziemi. No i więcej tu żebraków. Może zresztą wcale nie jest ich więcej, tyle że na zwykłym targu giną wśród podobnych im ludzi, a tu, na tle betonu i ozdobnych cegieł, są bardziej widoczni.

Jest późne popołudnie, a ruch na targu w Bambie nie mniejszy niż przed kilku godzinami. Tak będzie do wieczora. A za pięć dni w sąsiedniej wiosce zacznie się kolejny dzień targowy. Taka już tradycja Dogonów, że co pięć dni targ odbywa się w innej wsi.

Kogut pieje przeraźliwie. Pieje tak od piętnastu minut, nie pozwala spać. Zresztą już ranek, pół do siódmej. Powietrze rześkie jak w polskim lesie. Tymczasem leżymy pod gołym niebem na dachu oberży Famme Dogone we wsi Tirelli. Takich zajazdów jest w Kraju Dogonów wiele. Budynek z glinianej cegły w kształcie prostokąta, dwupiętrowy, z dużym wewnętrznym dziedzińcem. Pokoje są małe, brudne, więc goście zwykle śpią na dachu. Wieńczy go półmetrowy murek, dzięki któremu nie trzeba

obawiać się upadku. Murki dzielą przestrzeń dachową na poszczególne niby-pokoje. W sąsiednich „apartamentach” czwórka młodych, poznanych wcześniej Francuzów. Przyjechali na kilka dni z Bamako, dokąd na półroczny kontrakt wysłał ich Orange. Zeszli już na dół, by opłukać się trochę, bo o kąpieli nie ma mowy – w umieszczonej na zewnątrz zajazdu toalecie można wytrzymać tyle, na ile uda się wstrzymać oddech.

Dziewczyna na targu w dogońskiej wiosce Bamba. Chciała nam sprzedać cztery owoce mango za 100 euro

– *Bonjour!* – woła z dołu Dominique. – Możecie zejść na kawę. Ale ostrzegam, jest paskudna – śmieje się.

Herbata jest jeszcze gorsza, więc pijemy kawę, zajadając suchą bagietką. To wszystko, co tu mają, oprócz kaszy zalanej mlekiem, która trochę spleśniała i nie budzi zaufania.

Z dachu dobrze widać wieś. Tirelli, podobnie jak inne dogońskie wioski, podzielona jest na dzielnice wyznaniowe i zawodowe. Gdzie indziej mieszkają muzułmanie, gdzie indziej chrześcijanie, a w jeszcze innym miejscu animiści. Osobno żyją rolnicy, których wśród Dogonów jest najwięcej, osobno kowale, którzy wyrabiają narzędzia, broń i pamiątki. W środku dzielnicy muzułmańskiej jest mały meczet, w dzielnicy chrześcijańskiej – kościół, a u animistów – fetysz. Każda dzielnica ma też swoją *togonę*, czyli maleńki domeczek, w którym zbiera się rada starszych, by omówić problemy miejscowej społeczności i rozwiązywać konflikty. Jej decyzje są przez mieszkańców akceptowane. Ale ponieważ rada starszych to tylko ludzie, którzy przecież mogą się zdenerwować, *togona* jest bardzo niska, tak że obradować w niej można wyłącznie na siedząco. Gdy któryś z sędziów w nerwach podskoczy, to walnie głową w sufit i z miejsca się uspokoi. Sama budowla wprowadza zatem nastrój spokoju i powagi.

W sąsiedniej wiosce, położonej nieco na południe Kani Kombali, trafiamy do chrześcijańskiego kościoła. W zbudowanej z czworokątnego kamienia świątyni trwa właśnie nabożeństwo. Mężczyźni po prawej, kobiety po lewej stronie, kapłan w długiej, białej sukni, żółty ołtarz przykryty białym obrusem, nad ołtarzem wisi krzyż, ściany pomalowane na niebiesko. Wierni, zaledwie kilkanaście osób, zawodzą nieznane nam pieśni. Wszyscy stoją, choć w kościółku są ławki. Na zewnątrz metalowy krzyż pokryty minią, powyżej niewielki dzwon. Do kościoła mogliśmy wejść bez obaw, ale do meczetu niewiernych nie wpuszczą. W ogóle trzeba uważać, chodząc po wioskach, by nie wejść w miejsca zakazane czy

nadepnąć na jakiś fetysz lub, broń Boże, ołtarz ofiarny animistów. To może wywołać wściekłość Dogonów.

Obyczaje Dogonów są tak dziwne jak oni sami. Jak żaden lud na świecie swoje największe święto obchodzą raz na pięćdziesiąt kilka lat. Taki jest cykl obrotu Syriusza B wokół Syriusza A. Podczas ceremonii zwanej Sigui odgrywają stworzenie świata przez boga Ammę. Początkiem świata było słowo Ammy, czyli rodzaj myśli zawierającej energię. Słowo-energia spowodowało wibracje, które przekształciły się w ogromny ruch spiralny trwający do dziś. Ruch wygenerował – i wciąż generuje – ciała niebieskie, gwiazdy i planety, między innymi Syriusza, a w następnym etapie życie, czyli bliźnięta Nommo, którzy przybyli na Ziemię i stworzyli Dogonów. Ruch spiralny, który kreuje kosmos i życie, rodzi skojarzenia ze współczesną wiedzą astronomiczną i biologicznym opisem DNA.

W ceremonii odtwarzającej te wydarzenia biorą udział wyłącznie mężczyźni. Rozpoczyna ją zespół muzyczny grający na bębnach i instrumentach szarpanych. Dźwięki, przede wszystkim uderzenia w bębny, symbolizują słowo, czyli gromadzącą się energię. Potem następuje jej wybuch – tańce. Tancerze występują w ogromnych maskach, sięgających kilku metrów, a rekordowe mają nawet dziesięć metrów. Są to największe maski na świecie. Taniec, z początku wolny, nabiera tempa, a w kulminacyjnym momencie tancerze wirują, co symbolizuje powstawanie ciał niebieskich i życia. Ceremonię Sigui kończy krwawa ofiara. Przez wieki Dogonowie składali ją z ludzi. Tak było jeszcze w 1907 roku. Pięćdziesiąt parę lat później w ofierze złożono psa, choć jest to wersja oficjalna. Prawdopodobnie i wtedy nie obyło się bez ludzkiej ofiary. Jak będzie za kilka lat, podczas następnego Sigui? Zgodnie z tradycją ofiarą, którą się składa, a potem należy zjeść, powinien być człowiek, bo przecież

bliźniacy Nommo, podczas ostatniej wieczerzy przed powrotem na Syriusza, jedli własne ciało.

Innym ważnym obyczajem Dogonów jest inicjacja. Odbywa się na kilku poziomach. Pierwszy, najniższy, obowiązuje wszystkich chłopców przed ukończeniem dwunastego roku życia i dziewczynki przed ukończeniem ósmego. Chłopcy wywożeni są poza wieś do jaskini podobnej do tych, w których przechowuje się sakralne przedmioty oraz maski. Dziewczynki zabiera się do specjalnej chaty na uboczu wsi. Jedni i drudzy najpierw pobierają nauki, a potem następuje obrzezanie. Od tej chwili stają się kobietami i mężczyznami. Wcześniej byli traktowani jak osoby posiadające cechy obu płci. Podobnie jak bóg Amma, który jest dwupłciowy. Następne etapy inicjacji przechodzą już tylko wybrani – ci, którzy decydują się na wieloletnie zdobywanie sekretnej wiedzy. Jest to wiedza o symbolach, ich interpretacji, znaczeniu liczb i ich przyporządkowaniu do kobiet i mężczyzn oraz poznawanie dwunastu tysięcy znaków dogońskiego pisma ideograficznego. Kto osiągnie ostatni poziom, uzyskuje tytuł „Strażnika czystego słowa”.

Jeszcze inną tradycją jest przywiązanie do świętych krokodyli. Stoimy nad niewielkim stawem we wsi Amani. Na brzegu leniwie spoczywa kilkanaście kajmanów.

– Dogoni – mówi Allaye – uważają te krokodyle za święte, bo chronią przed nieprzyjaciółmi. Kiedyś nieopatrzni napastnicy, którzy pili wodę ze stawu, zostali rozszarpani przez kajmany, nie mogli więc już zagrozić mieszkańcom wioski. Od tego czasu obchodzi się tu święto krokodyla, podczas którego składa im się ofiary z kurczaków.

Z dużym szacunkiem Dogoni traktują też baobaby. Są one jednym z symboli Afryki, spotyka się je niemal wszędzie. Te rozłożyste drzewa żyją nawet pięć tysięcy lat, osiągają wysokość kilkudziesięciu metrów, a

średnica pnia może wynosić nawet dziesięć metrów. Takie drzewo jest skarbem w odludnych miejscach, gdzie słońce pali niemiłosiernie, nie ma wody ani jedzenia. Może dlatego Afrykanie nazywają je świętymi? Nie przeszkadza to jednak ludziom wyrabiać z włóknistej kory sznury i chętnie jeść zawierające sporo witaminy C i soku długie, czterdziestocentymetrowe owoce w kształcie ogórka, zwane małpim chlebem.

Baobaby nie tworzą lasów. Czasem rosną po dwa, trzy, ale najczęściej, podobnie jak akacjowce, pojedynczo. Stoi taki pojedynczy baobab w środku stepu lub sawanny i nikt nie wie, skąd się wziął. Ktoś go zasadził czy wyrósł sam? I dlaczego tutaj, a nie kawałek dalej? Dlaczego rośnie samotnie? Jak nie szanować drzewa, które wielu zbłąkanym wędrowcom uratowało życie, chroniąc przed palącym słońcem, dając pokarm oraz miejsce wypoczynku i snu w cieniu? Afrykanie, niezależnie od tego, z jakiego regionu pochodzą, szacunek do tego drzewa mają ogromny. To dla nich święty symbol Afryki, ich Afryki.

Niedaleko takiego samotnego baobabu leży wioska Banani. Stary Dogon, który tu mieszka, uśmiecha się życzliwie. Widać spodobało mu się, że weszliśmy tak wysoko. Wędrówka zajęła czterdzieści minut, powyżej są już tylko skalne półki Bandiagary, a nad nimi opuszczone domki pigmejskich Tellemów. Obok i w dole gliniane domy Dogonów oraz spichlerze ze spiczastymi dachami z trzciny. Do domku starego Dogona prowadzą rzeźbione drzwi z motywami ludzi, zwierząt i… kosmitów. Miniaturki takich drzwi dogońskich kupują turyści na targach *artisana* w Dakarze, Bamako oraz w galeriach Nowego Jorku, Paryża, Londynu. Stary Dogon wskazuje na drzwi, a potem na stojącą obok zardzewiałą beczkę. Zanurza w niej małą tykwę i nam podaje. Coś mówi, ale go nie rozumiemy. Gestem wskazuje, żeby się napić.

Wanda pociąga łyk.

– To piwo – mówi. – Sfermentowane piwo z prosa.

Piliśmy już kiedyś takie w Afryce. Jest okropne i nawet spragnionemu niełatwo je wypić. Lepiej już smakuje zupa z prosa, kasza, krem czy legumina. Proso jest królem tutejszych pól i spichlerzy.

Stary Dogon jeszcze raz wskazuje na drzwi, dotykając figurki kosmity. Potem zatacza ręką łuk i pokazuje niebo. Mówi coś w swoim narzeczu. Nie rozumiemy go. Nie opowie nam historii Dogonów ten potomek przybyszów z kosmosu.

Domy i spichlerze Dogonów
wyglądają, jakby je wyjęto z baśni

Rozdział 13

Kraj Prawych Ludzi

TOYOTA
4WD

Wagadugu

W oddali wznoszą się tumany kurzu i słychać tętent kopyt. Po chwili z obłoków pyłu wyłaniają się jeźdźcy. Jest ich ponad dwudziestu. W kolorowych strojach, z chorągwiami w dłoniach pędzą od granicy Burkina Faso w kierunku Kraju Dogonów. Skąd naprawdę jadą, dokąd zmierzają, po co? Przemknęli obok i tyle ich widzieliśmy.

Z powodu awarii hamulców stoimy na poboczu szutrowo-piaskowej drogi. Rankiem Allaye ze zbolałą miną poinformował nas, że musimy zmienić samochód.

– Ta toyota jest zbyt kosztowna – powiedział. – Drogi będą od tej pory lepsze i nie trzeba auta z napędem na cztery koła.

Dopiero teraz okazało się, że land cruiser nie należy do niego, tylko do Arbiego. Arbi właśnie wystawił pierwszy rachunek. No i Allaye stwierdził, że takich cen nie wytrzyma. Oczywiście, nie wpadł na to, by wcześniej ustalić cenę. Dlatego teraz proponuje przesiadkę do dwudziestoletniego peugeota 406, którym przyjechał Wadi.

– To dobre auto – zachwala. – Jest wygodne i bezpieczne, na pewno się nie zepsuje.

Wadi okaże się człowiekiem równie sympatycznym jak Allaye. I dobrym kierowcą. Tak naprawdę nie nazywa się Wadi. Już cztery razy przypominał swoje imię, ale jest tak trudne, że nie sposób zapamiętać. Nazwaliśmy go więc Wadi, a on szybko zaczął reagować na tę przeróbkę. Teraz jednak stoi przy aucie i martwi się hamulcami. Otwiera klapę, ogląda coś, maca, a po chwili śmieje się całą gębą.

– To tylko płyn hamulcowy się skończył – woła triumfalnie.

– No, to nalewamy i jedziemy – mówię.

Wadi bierze butelkę z wodą i leje do zbiornika z płynem hamulcowym.

– Co robisz, Wadi?!

– Nie mam płynu, woda też dobra.

– Woda? Przecież wyparuje.

– Będziemy dolewać, nie martw się.

Co dwadzieścia kilka kilometrów Wadi zatrzymuje się, dolewa wody i rusza dalej. Do stolicy Burkina Faso dojeżdżamy wieczorem.

– Wagadugu! – woła radośnie.

– No widzicie! – Allaye pęka z dumy. – Mówiłem, że wszystko będzie dobrze. Jutro nalejemy płynu hamulcowego i możemy jechać choćby do Konga.

Wagadugu zaskakuje: asfaltowe ulice, gdzieniegdzie nowoczesne budynki, oświetlone sklepy, migoczące reklamy, czysto. Prawie Europa, zupełnie inaczej niż w Mali.

Miasto istnieje ponad trzysta lat. Dwa wieki przed nim powstało państwo o tej samej nazwie. Stworzył je lud Mossi, który żyje tutaj do dziś. Państwo rozwijało się i umacniało dzięki kontroli nad szlakami handlowymi wiodącymi do Djenné i Timbuktu. Bogaciło się na hodowli koni, które sprzedawano do Afryki Zachodniej, gdzie były poszukiwane i cenione, dzięki panowaniu nad szlakami transportu złota wydobywanego na jego terytorium nad Czarną Wołtą oraz na handlu orzeszkami kola. Te orzeszki są jedynym chyba na świecie owocem, który pełni także funkcję pieniądza. Do dziś w niektórych regionach są cenionym środkiem płatniczym.

Na czele państwa Mossi stał władca noszący tytuł *moro naba*. Kolejni *moro nabowie* poszerzali granice państwa, prowadząc wojny wewnętrzne z innymi państwami ludu Mossi, oraz zewnętrzne, między innymi odpierając najazdy Dogonów. Umacniali jego struktury, tworząc liczne urzędy, jak mistrz ceremonii i znawca obyczajów (*larle naba*), strażnik ognia i insygniów królewskich (*balum naba*) czy dowódca konnicy (*widi naba*). Wagadugu przetrwało aż do najazdu Francuzów w 1896 roku. Potem podzieliło los sąsiednich krajów regionu – zostało włączone do Francuskiej Afryki Zachodniej. Po 1958 roku powoli, na raty, odzyskiwało niepodległość, a dwa lata później stało się w pełni niezależną Górną Woltą. W 1984 roku prezydent Thomas Sankara zmienił nazwę państwa na Burkina Faso, co oznacza Kraj Prawych Ludzi.

Stoimy przed pałacem *moro naby*. Niewiele widać, a podejść bliżej i fotografować nie wolno, bo pałac jest obiektem wojskowym. I choć dokładne zdjęcia można zrobić z kosmosu, to z ziemi nie wolno. Ten absurd jest powszechny na całym kontynencie, od Maroka po Republikę Południowej Afryki. Pewnie dzięki tym zakazom moro naba czuje się bezpieczny. A to wciąż ważna postać w państwie. Mimo że formalnie Burkina Faso jest demokratyczną republiką, premierem rządu zawsze zostaje ktoś z rodziny *moro naby*, a ponadto *moro naba* ma prawo do desygnowania trzech ministrów. Praktycznie więc nadal to on decyduje. Sam pałac na to nie wskazuje, bo nawet oglądany z daleka nie imponuje ani wielkością, ani elegancją. Prawdę mówiąc, wygląda na zaniedbany budynek, jakich wiele wokół.

Lepiej prezentuje się usytuowany po przeciwnej stronie ulicy stadion piłkarski. Betonowa budowla gromadzi tłumy, bo dla Afrykanów piłka nożna stała się sportem numer jeden i źródłem utrzymania tysięcy ludzi. Wystarczy, że piłkarz dostaje szansę gry w Europie, a byt ma zapewniony

cała rodzina. Przeciętny futbolista grający w Polsce, Grecji czy w Czechach, a więc wcale nie w krajach i klubach, gdzie zarabia się bajońskie sumy, ma czasem na utrzymaniu trzystu albo i więcej członków rodziny. Gwiazda światowej piłki nożnej z Realu Madryt czy Arsenalu Londyn, a więc zawodnik zarabiający dziesiątki milionów euro, mógłby utrzymać całe miasto, a nawet i ćwierć mniejszego regionu. Dlatego też, gdy piłkarz przyjeżdża z Europy do ojczyzny na urlop lub w odwiedziny, ustawia się do niego kolejka krewnych. Zgodnie z tradycją jego obowiązkiem jest ich wspomóc. I najczęściej wspomaga. I tak tysiące ludzi w Afryce żyje dzięki futbolistom grającym w Europie. A chłopcy, którzy i tak nie mają nic do roboty, kopią piłkę od rana do nocy i marzą, żeby przebić się do miejscowej drużyny i żeby zwrócił na nich uwagę jakiś europejski lub chociażby miejscowy menedżer pracujący dla klubów ze Starego Kontynentu.

Na betonowej ścianie stadionu, przy jednym z wejść duży napis głosi: „Sektor chrześcijan”. Organizatorzy wiedzą, że w emocjach, jakie budzą mecze piłkarskie, ludziom puszczają nerwy. I że każda, najmniejsza nawet inność może stać się powodem awantury. A różnice religijne to zawsze potencjalne źródło konfliktów, więc na wszelki wypadek chrześcijanie zajmują osobny sektor. Tym bardziej że w Burkina Faso stanowią mniejszość, najwyżej dziesięć procent ludności. Cztery razy więcej jest muzułmanów. Dominują wyznawcy tradycyjnych religii afrykańskich – animiści.

Niedaleko stadionu, na wielkim placu stoi katedra katolicka. Budynek z czerwonej cegły przypomina dziewiętnastowieczną fabrykę. Tutaj Jan Paweł II zdobył miłość miejscowych.

– Mówił tak – wspomina trzydziestoletni Ekwa, nasz samozwańczy przewodnik – jakby włożył ręce do naszych głów i wyjął z nich nasze myśli. Mówił to, co leży ludziom na sercu. Był dla nas taki dobry, tulił

dzieci. Wszyscy go pokochali, nie tylko chrześcijanie. Wielu animistów, wielu moich kolegów też, przyjęło chrzest i do dziś są wiernymi wyznawcami.

Na dowód Ekwa klęka przed ołtarzem, żegna się i długo, długo się modli. Ale pamiętając o duszy, nie zapomina o ciele. Gdy wychodzimy z kościoła, podbiega do nas i z uśmiechem mówi:

– Wszystko wam pokazałem, daj pięćdziesiąt euro.

Ten utwór grają już dziesięć minut, ale nie wygląda na to, by mieli skończyć. Grają świetnie, melodia jest delikatna, dźwięczna, a jednocześnie wyraźna i głośna. Podobnej muzyki nie usłyszy się w Europie. Te afrykańskie rytmy stały się inspiracją dla muzyków z Ameryki Południowej. Słuchając południowoamerykańskich przebojów, rzadko zdajemy sobie sprawę z tego, że ich źródło tkwi w afrykańskim interiorze.

Teraz tę bajeczną muzykę wyczarowuje czterech czarnych chłopaków. Dominujący motyw wydobywa się z instrumentu podobnego do cymbałów, tło tworzą uderzenia perkusji i dźwięki tam-tamów. Melodia rozpływa się po całym Jardin L'Amitié, który jest jednym z najlepszych klubów muzycznych Wagadugu. To duży tropikalny ogród z kilkudziesięcioma stolikami, przy których można zjeść niezłą kolację i napić się dobrego piwa. Z przodu niewielka scena, na której występują muzycy. Jest późny wieczór w środku tygodnia, ale wolnych stolików nie ma. Bawi się śmietanka towarzyska Wagadugu i wielu białych.

Wszystkich przyciągnęła grana na żywo muzyka. Bo choć za najgenialniejszych muzyków Afryki uchodzą Malijczycy, to w ascetycznym Mali niewiele jest miejsc, gdzie można ich posłuchać na żywo. Burkina Faso jest inne, nie dominuje tu surowy islam, więc i kluby muzyczne są na każdym kroku. W ogóle jest tu bardziej kolorowo, weselej, a ludzie są

wyluzowani, co ma też mniej przyjemne konsekwencje. Na trzynaście milionów mieszkańców pół miliona jest nosicielami wirusa HIV.

Kilka dni później w podobnym muzycznym ogrodzie w Bobo-Dioulasso – drugim co do wielkości mieście Burkina Faso, położonym czterysta kilometrów na południowy zachód od Wagadugu – też grają świetnie. Ogród jest bardziej tropikalny, bo to już tereny, na które przenika afrykańska dżungla. Choć muzyka znakomita, słuchaczy jest niewielu. Prócz nas nie ma białych, tylko przy kilku stolikach siedzą goście. Bobo-Dioulasso to nie Wagadugu. To biedne, zaniedbane miasto, do którego dociera niewielu turystów, mimo że uważane jest za kulturalną stolicę Burkina Faso. Ale tak naprawdę jest nią tylko raz na dwa lata, gdy odbywa się tutaj panafrykański festiwal filmowy. Przyciąga on najlepszych afrykańskich reżyserów i najlepsze filmy. Tylko wtedy jest tłoczno od przyjezdnych z całego świata.

W przerwie koncertu do stolika przysiada się Sawdoga Bowreima. Jest liderem zespołu Souvenir d'Afrique. Sprzedaje nam płytę, która niestety, choć świetna muzycznie, okazuje się fatalna technicznie. Pyta, czy ładnie grają. Ma interes. Chciałby, żebyśmy zaprosili zespół do Polski. Trzeba tylko pokryć koszty przejazdu i hotele oraz zorganizować występy.

– Z resztą poradzimy sobie sami – przekonuje. – Odniesiemy sukces i wspólnie zyskamy. Potem zrobimy tour po Europie. Zarobimy dużo pieniędzy. Połowa naszych zysków dla ciebie.

Sympatyczny Sawdoga ma chyba rację. W Polsce, a może i w Europie odnieśliby sukces. Grają naprawdę oryginalną muzykę. Nie rozumie tylko, że w Europie jest inaczej niż w Afryce, gdzie wszyscy w każdej chwili mogą zająć się wszystkim, gdzie nie obowiązuje specjalizacja i profesjonalizm. Sprzedawca cebuli jutro może handlować chińskimi latarkami, pojutrze zostać menedżerem muzycznym, potem taksówkarzem,

by po miesiącu rzeźbić figurki z drewna. Wszystko jest płynne, każdy może być każdym. Ludzie rzadko mają stałą pracę, wykonują taką, jaka się trafi, dziś to, jutro tamto. Ale Sawdoga nie rozumie tej różnicy. Upiera się przy swoim, uważa, że skoro jesteśmy z Europy, możemy zorganizować tam koncerty. Wie, że szansą jego zespołu na zaistnienie jest wyjazd do Europy. Na to jednak zespołu nie stać i nigdy stać nie będzie. Szuka sponsora. Sponsor jest jedyną nadzieją Souvenir d'Afrique na lepszą przyszłość.

Takich zespołów są tysiące. Muzyka zresztą zajmuje bardzo ważne miejsce w życiu Afrykanów. Tańczą, śpiewają i bawią się wszyscy, kiedy się da i gdzie się da. Każda nadarzająca się okazja jest dobra. Chrzciny – zabawa, ślub – zabawa, udało się trochę zarobić – zabawa, nie ma nic innego do roboty – zabawa. Ktoś się bawi – można do niego dołączyć, ktoś gra – trzeba tańczyć.

Przeuroczy Allaye (w różowej koszuli) i nasz kierowca Wadi, który naprawdę wcale nie nazywał się Wadi

W tej katedrze w Wagadugu,
przypominającej bardziej fabrykę
niż kościół, Jan Paweł II zdobył
serca miejscowych

Rwandyjskie elegantki wybierają się na zabawę, a parasol ochroni przed słońcem, deszczem i doda uroku podczas tańców

Późną nocą na jednej z ulic Saint-Louis kilkudziesięciu mężczyzn świętuje urodziny kolegi. Mistrz ceremonii stoi w kole utworzonym przez tancerzy i zawodzi monotonną pieśń. Mężczyźni, ustawieni jeden za drugim, przesuwają się wokół śpiewaka wolnym, posuwistym krokiem, w bok i do środka, w bok i do środka. Zajmują całą szerokość ulicy, nic nie przejedzie, niełatwo przejść. Bawią się dwie godziny, aż do północy. W Djenné, kiedy dwaj chłopcy zaczynają grać na bębnach, momentalnie wokół zbierają się kobiety. Tańczą w kółku, a po chwili jedna wyskakuje na zewnątrz i rozpoczyna dziki, wariacki taniec. Wyrzuca wysoko ramiona, podskakuje, gwałtownie rusza biodrami i pośladkami. Ruchy ma szybkie, dynamiczne, dzikie. Sprawia wrażenie, jakby wraz z tańcem wychodziły z niej złe duchy. To istne szaleństwo trwa zaledwie kilkanaście sekund. Nikt zresztą w takim rytmie nie wytrzymałby dłużej. Gdy pierwsza kończy, zastępuje ją druga, potem trzecia i czwarta. Niepodobna zrozumieć, co w ten sposób wyrażają, czy to jeszcze taniec, czy już jakaś magia. Mówią, że taniec pozwala im wyrzucić z siebie złe emocje i daje poczucie spokoju i odprężenia. Po piętnastu minutach chłopcy przestają walić w bębny i gromadka kobiet rozpływa się równie szybko, jak się zebrała. W miejscu, gdzie przed chwilą odbywał się jakiś niesamowity obrzęd, robi się cicho i sennie. Gdyby nie film w kamerze i zdjęcia w aparacie mogłoby się zdawać, że ów szaleńczy taniec był tylko wytworem wyobraźni.

Większość takich zabaw rodzi się spontanicznie. Nawet te, które w jakiś sposób były zaplanowane. Gdy w Toubie wychodzimy z domu imama, zostajemy zaproszeni na sąsiednie podwórze. Trwa tu zabawa z okazji chrztu. Bawią się kobiety. Tańczą przy dźwiękach uderzanych o siebie dwóch kawałków blachy i bębnieniu w dna plastikowych misek. Bawią się te, które zostały zaproszone, i te przypadkowo przechodzące ulicą. Tak jak w Wagadugu, gdzie przed sklepem z motorowerami przygotowano występy

reklamowe dwóch tancerzy. Ich taniec przy motorowerach miał przyciągnąć uwagę kupujących, zachęcać do kupna. Ale po chwili dołączyło do nich kilka osób, a po kilku minutach bawiła się cała ulica. I nikt już nie pamiętał, od czego zaczęła się zabawa. Najważniejsze, że trwała w najlepsze, że można było potańczyć.

Zabawa nigdy nie ma charakteru prywatnego. Zawsze jest wspólna, zwłaszcza że z reguły odbywa się na ulicy, przed domem lub na podwórzu. Jeśli przechodzisz obok, jeśli trafiasz na bawiących się – możesz do nich dołączyć. Nieważne, że nie byłeś zaproszony, że nikogo nie znasz, że nikt ciebie nie zna. Afrykańska zabawa jest z natury swej otwarta dla każdego, jest społeczna, jest wspólnym dobrem. Może to rekompensata za trudne, pozbawione atrakcji codzienne życie? Za ubóstwo i udrękę codzienności? Za bezsens egzystencji? Może dlatego bawią się tak często i bez okazji, gdy tylko ktoś zadudni w bębny?

Kiedy nadarzy się prawdziwa okazja, przygotowują się do zabawy starannie. Kobiety myją włosy, wkładają najlepsze sukienki i korale. Taką szczególną okazją jest Dzień Kobiet. Praw kobiety mają tutaj niewiele, ale ósmy marca jest świętem w całej Afryce Zachodniej. W sklepach można kupić materiały z napisem „8 Marca Dzień Kobiet”. Panie nabywają go w ogromnych ilościach i szyją sukienki. Ósmego marca na placu przy głównej ulicy dzielnicy Kalaban Coura w Bamako widzimy setki kobiet w identycznych sukienkach z napisem „8 Marca Dzień Kobiet”. Przyszły obchodzić swoje święto. Jak wszystko i to święto przebiega skromnie i spontanicznie. Kilku mężczyzn dało krótki pokaz tańca, a gdy skończyli, świętować zaczęły panie. Tańczyły żywiołowo może z pół godziny, potem rozeszły się do domów. Tak wyglądał ich bal, na który czekały rok, kupowały specjalny materiał, szyły sukienki i cieszyły się nim na długo przedtem.

Na niektórych uroczystościach występują grioci – współcześni zachodnioafrykańscy trubadurzy. Grają na instrumentach strunowych, które w Afryce ceni się wyżej niż bębny. Do ulubionych należy harfa nazywana *kora*. Śpiewają lub opowiadają historie z przeszłości, ale i te najnowsze, snują muzyczne opowieści o ludziach. Griotem trzeba się urodzić. A potem długo kształcić, poznawać historię Afryki, genealogię klanów, losy ludzi, miast i wsi. Dlatego mówi się tutaj, że gdy umiera griot, to jakby umierała cała biblioteka. Tam, gdzie historia nie jest spisana, gdzie przekazuje się ją ustnie z pokolenia na pokolenie, grioci odgrywają rolę historyków, książek i łączników generacji. W przeszłości, gdy ktoś miał sprawę do kogoś lub chciał zrobić interes, wysyłał do kontrahenta griotów, którzy wychwalali jego dzieła i zasługi. Dopiero po ich wizycie przychodził osobiście. Ten obyczaj zanika, częściej słyszy się muzykę z płyt, jeszcze częściej z kaset, które wciąż tu królują, ale od czasu do czasu można natrafić na prawdziwych griotów. Spotkaliśmy ich podczas wesela w Kayes. Siedzieli oparci o gliniany mur, grali i śpiewali. Weselnicy trochę tańczyli, ale głównie słuchali. A grioci śpiewali pięknie. Wanda podeszła i rzuciła im trochę franków. I wtedy zaskoczyli nas. Zaimprowizowali pieśń o nas. Melodia była wolna i rzewna. Śpiewali:

Biały mężczyzna przyjechał do nas,
dobra kobieta przybyła z nim.
Bawią i cieszą się razem z nami,
bawią i cieszą się razem z nami.
Niechaj spodoba się im u nas,
niech pokochają naszą rzekę
i pozostaną z nami na zawsze.
Czy będą u nas szczęśliwi?
Niech będą u nas szczęśliwi.

Rozdział 14

Krwawa ofiara

Bobo-Dioulasso

Rzeka płynie w dole, jakieś dziesięć metrów niżej. Schodzi się do niej stromym brzegiem wśród sterty śmieci. Leżą tam plastikowe butelki, kartony i papiery, kawałki drutu, potłuczone szkło, mnóstwo gnijących odpadów, a wszystko zmieszane z odchodami zwierząt. Nogi wpadają po kostki w to błoto. Śmierdzi okropnie, zaduch niesie się hen daleko. Woda w rzece jest brudna jak pomyje, a na wierzchu pływają plastikowe butelki. Kobiety myją tu naczynia, inne robią pranie. Z góry, przez sterty śmieci, idzie zupełnie nagi mężczyzna. Wchodzi do tej bryi i myje się. Obok płynie pies, kilka prosiaków weszło do rzeki i pije wodę, koza wyżera papier ze śmieci, a nieco dalej pluskają się dzieci.

W wodzie pływają ogromne sumy. Wyglądają na mutanty i być może nimi są, skoro przystosowały się do życia w tak zanieczyszczonym środowisku. Te sumy uważane są za święte. Gdy któryś zdechnie i rzeka wyrzuci go na brzeg, okoliczni mieszkańcy zbierają się i urządzają mu uroczysty pogrzeb, podczas którego jedzą, śpiewają i tańczą. W porze deszczowej, gdy stan wód się podnosi, prąd rzeki zabiera śmieci, robi się trochę czyściej i mniej śmierdzi. Gdy przestaje padać, wszystko wraca do normy.

Domy na obu brzegach są takie jak rzeka: biedne, brudne i zaniedbane. Zbudowano je z gliny, mają niewielkie podwórza, które są miejscem życia i pracy. Kobiety w kociołkach nad ogniem gotują strawę, mężczyźni kleją garnki i miski, rzeźbią, trudnią się kowalstwem lub – i tych jest większość – leżą, śpią albo oglądają telewizję. W wielu domach na podwórzach stoją kadzie z piwem warzonym z prosa, czyli blaszane beczki po oleju lub

benzynie. Smród, jaki się stamtąd wydziela, jest odrażający, miesza się z odorem znad rzeki i już nie wiadomo, co bardziej cuchnie.

Tak wygląda stare miasto w Bobo-Dioulasso. Miejscowi nazywają je Kibidwe. Składa się z czterech dzielnic: animistów, muzułmanów, griotów oraz artystów. Dzielnice griotów i artystów są najmniejsze. Coraz mniej chłopców kształci się na griotów. Nauka jest długotrwała i trudna, a tradycyjną muzykę zastępują amerykańskie i europejskie przeboje. Ale widać jednak kilku chłopaków ćwiczących na harfach i cymbałkach. Kilkuletnie brzdące walą patykami w bębny z misek i garnków. Może wyrosną z nich grioci, ale bardziej prawdopodobne, że będą grali w jakimś lokalnym zespole. Artystów rzeźbiących figurki lub trudniących się kowalstwem też jest niewielu, a ich wyroby mało atrakcyjne. Szef klanu artystów, który jest kowalem i robi murzyńskie figurki z czarnego drutu, niezbyt zresztą ładne, narzeka:

– Do Bobo nie przyjeżdża wielu turystów, więc sprzedaję mało. Trudno z tego wyżyć. Jeszcze trochę, a nasza dzielnica zatraci artystyczny charakter. Zostanie kilka sklepików artystycznych i będzie tak jak gdzie indziej.

W środku dzielnicy muzułmańskiej stoi meczet. Tej samej konstrukcji, jak te na Sahelu, z gliny, z wystającymi belkami, ale jednak zupełnie do tamtych niepodobny. Składa się z kilkudziesięciu ostrobocznych wieżyczek, przez co robi niesamowite wrażenie. Jest niewysoki, ma zaledwie kilka metrów, ale długi jak peron na dworcu. Pomalowano go na pastelowe kolory, co jeszcze bardziej odróżnia go od innych glinianych meczetów. Zbudowany w 1880 roku mieści – jakże dokładnie to policzono – dziewięciuset dziesięciu wiernych. Wokół taki sam smród i brud jak wszędzie.

Budując domy w Bobo, ma się na uwadze nieodpowiedzialność dzieci. Na dole jest kuchnia i sypialnia dzieci, na górze – sypialnia rodziców. Z niej prowadzi w dół głęboka studnia, która stanowi spichlerz domowy. Z parteru nie ma do niej dostępu, na górę dzieci nie mają wstępu i dzięki temu w czasie głodu nie wyjadają zapasów ze spiżarni. Rodzice dzielą je tak, by wystarczyło dla wszystkich na trudny czas.

Chodząc po Bobo-Dioulasso, nie dostrzega się granic między dzielnicami. Ot, stoi jeden dom z gliny, obok drugi i dla zewnętrznego obserwatora są takie same, nic ich nie różni, nic nie dzieli. Ale między nimi biegnie niewidzialny mur. Bo w jednym mieszkają muzułmanie, a w sąsiednim animiści. Granica, choć niewidoczna, jest jak betonowa ściana, nie do sforsowania. Jej siła tkwi w mentalności ludzi, w ich przeświadczeniu, że świat po drugiej stronie jest światem obcym, innych ludzi, innych wierzeń, innych tradycji. Nikt nie wchodzi z butami do obcego świata. Ludzie żyją obok siebie, lecz osobno. Nie ma mowy o mieszanych małżeństwach. Każda grupa żyje własnym życiem, we własnym świecie. Dzięki tej niewidocznej, acz nie do przebycia granicy nie dochodzi do waśni. Żyje się w zgodzie, ludzie szanują swoje odrębności.

– Stop! Dalej pójść nie możecie! – Bramma, który idzie przodem, odwraca się i rękoma zagradza drogę. Bramma jest animistą, mieszka w tej dzielnicy od urodzenia. Wie, co robi. Gdybyśmy poszli dalej, narazilibyśmy się na niebezpieczeństwo. – Na tej ulicy – pokazuje przed siebie – mieszka nasz najwyższy kapłan. Obcym nie wolno zbliżyć się do jego domu.

Przed chwilą minęliśmy najstarszy dom Kibidwe. Zbudowany został w XIII wieku. Wtedy nie było tu chrześcijan ani muzułmanów. Animizm był jedyną religią mieszkańców. Dlatego budowla ma znaczenie historyczne i religijne. Równie ważny jest stojący opodal „dom sprawiedliwości”. W niewielkim glinianym domku, z glinianymi ławami i niskim stropem takim

jak *togony* u Dogonów, zbiera się rada mędrców i podejmuje najważniejsze decyzje dotyczące dzielnicy animistów. Wydaje wyroki na złodziei, oszustów, zabójców. Jej decyzje są święte. Żaden animista nie może ich zlekceważyć. Formalnie miasto Bobo-Dioulasso ma swoje władze urzędowe, ale dla mieszkańców Kibidwe te władze są odległe, zewnętrzne i nie mają takiego znaczenia jak rada mędrców. A i władze miasta nie ingerują w wewnętrzne życie mieszkańców Kibidwe. Wiedzą, że nie mają szans na zmianę decyzji rady mędrców. Akceptują je zatem albo udają, że ich nie zauważają. Dzięki temu Kibidwe żyje swoim życiem.

Stoimy teraz przy głównym fetyszu animistów. Fetysz, poza który pójść już nie wolno, to dwuipółmetrowej wysokości dziwny stożek z gliny. Nie wiadomo, jak i kiedy powstał. Animiści wierzą, że jest miejscem świętym, napełnionym mocą, odwiedzanym przez bogów. Jeśli ktoś ma kłopot, choruje lub potrzebuje przychylności bogów w innej sprawie, przychodzi tutaj, pod ten niezwykłego kształtu stożek, by prosić o pomoc, łaskę, wsparcie czy magiczną moc. Bramma wierzy, że i on może tę moc uzyskać. Modli się. Jest wykształcony, zna angielski, ogląda telewizję i z uwagą sprawdza, czy to, co mówi o swojej religii, traktujemy poważnie.

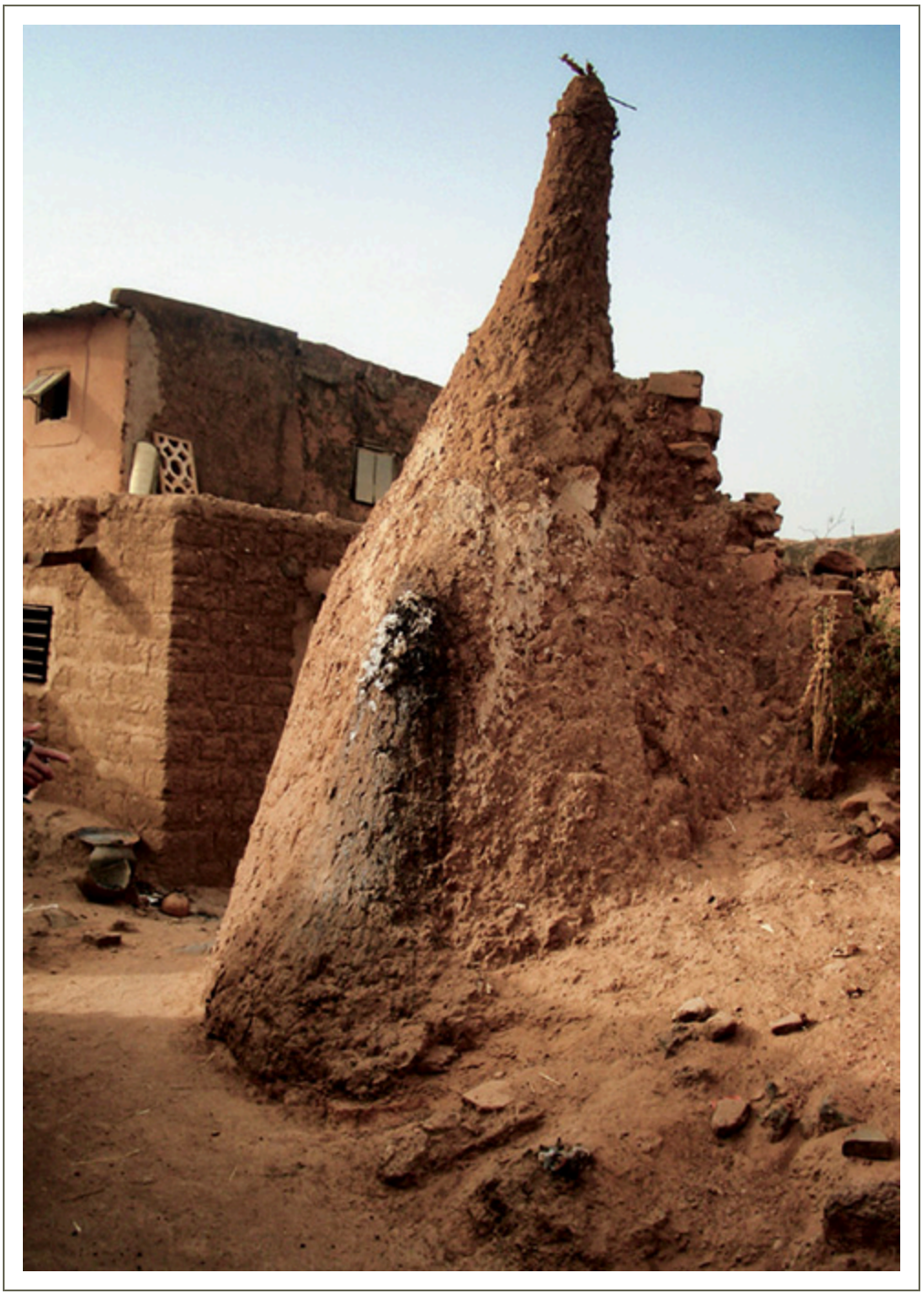

Główny fetysz animistów w Bobo–Dioulasso jest miejscem świętym, napełnionym mocą, odwiedzanym przez bogów

Afryka jest pełna duchów. Religiami dominującymi są islam i chrześcijaństwo, ale w wielu krajach, zwłaszcza wewnątrz kontynentu, religie pierwotne, czyli animizm, są wciąż popularne. W Burkina Faso niemal połowa mieszkańców jest animistami, a wielu wyznawców innych religii tak do końca nie odżegnuje się od animistycznych praktyk.

Świat animistów to świat duchów. Angielski religioznawca i antropolog Edward Burnett Tylor (1832–1917), twórca pojęcia animizmu, uważał, że wiara w duchy jest praźródłem i minimalnym wymogiem powstania religii. Afrykanie zaś powszechnie wierzą w duchy. Obok świata materialnego istnieje według nich świat niewidzialny, duchowy. Duszę mają nie tylko żyjący ludzie, po świecie krążą również dusze zmarłych, duszę mają rośliny, zwierzęta, a nawet słońce, góry, wulkany i żywioły. Świat tych duchowych bytów jest potężny. Czyż wybuch wulkanu, który uważany jest za siedzibę duchów, lub gwałtowny deszcz i wichura albo piekące słońce nie są potężniejsze od człowieka? Moc duchów jest nieporównywalna z mocą ludzką. Za zwykłymi rzeczami i zjawiskami, w których biały nie widzi niczego niezwykłego, Afrykanin dostrzega potężne siły, które mają ogromny wpływ na ludzkie życie. Należy zatem uważać i nie dokonywać pochopnych ocen. Bo może samotne drzewo wcale nie jest drzewem, lecz bóstwem. Może niewielki pagórek nie jest zwykłym pagórkiem, a kopiec termitów zwykłym kopcem. Być może ulewny deszcz to nie tylko deszcz, ale bóstwo, które w ten sposób okazuje swą moc. Nigdy nie wiadomo, co kryje się za zwykłą – wydawałoby się – rzeczą lub zjawiskiem przyrodniczym.

Bliższy i łatwiejszy do zrozumienia jest związek ze zmarłymi przodkami. Ich duchy są obecne wśród żywych. Stąd kult przodków i wiara w ich wpływ na życie doczesne. Bo czy przodkowie, którzy zmarli, ale których duchy krążą po świecie, nie mieliby wpływać na żyjących? Po cóż

by zatem mieli istnieć i towarzyszyć żyjącym? Mają więc wpływ, i to ogromny. Dlaczego syn jest tak podobny do ojca, dlaczego postępuje podobnie, dlaczego osiąga sukcesy? Dlatego, że jego postępowaniem kieruje duch ojca lub dziadka, wspomaga go i ułatwia osiąganie celów.

Duchy przodków są ważne dla Afrykanów. Traktuje się je z szacunkiem i bojaźnią. Chronią plemię, rodzinę i pojedynczego człowieka przed złem i niebezpieczeństwem. Dlatego należy o nie dbać. Z tego przeświadczenia bierze się wielka cześć dla przodków oraz troska o nich. Na ich groby zanosi się jedzenie, przy grobach ucztuje. W ten sposób można sobie zapewnić przychylność przodków, a ich wdzięczne duchy będą dbały o ziemskich potomków.

Dla licznych animistów duchy przodków oraz wszelkie inne duchy są nie tylko wsparciem i pomocą w codziennym życiu, lecz także łącznikiem z istotą najwyższą, ze Stwórcą. Łączność z nim bowiem nie jest możliwa bezpośrednio, odbywa się tylko poprzez pomniejsze bóstwa oraz duchy. Im więcej tych duchów i bóstw, im lepsze łączą nas z nimi stosunki, tym łatwiejsza droga do łączności z Najwyższym. Temu służą tańce rytualne obecne w tradycji niemal wszystkich afrykańskich plemion. Tancerze, często upojeni narkotycznymi wywarami lub dymem, wpadają w trans i wtedy w ich ciała wnikają duchy i bóstwa. Tancerze na pewien czas stają się nosicielami bóstw, a tym samym jakby samymi bóstwami. Zyskują szacunek w swoich społecznościach jako ci, którzy posiadają dostęp do świata niematerialnego. Jeszcze większym szacunkiem cieszą się ci, którzy mogą wnikać często, niemal codziennie, w świat duchów, czyli czarownicy i kapłani. Są powszechnie szanowani, budzą respekt. I choć dziś coraz rzadziej wkładają rytualne szaty i maski, choć ubierają się w dżinsy i koszule, ich wysoka pozycja w społeczności animistów jest niepodważalna.

Taniec odurzonych Pigmejów z Ugandy daje im coś z religijnego przeżycia

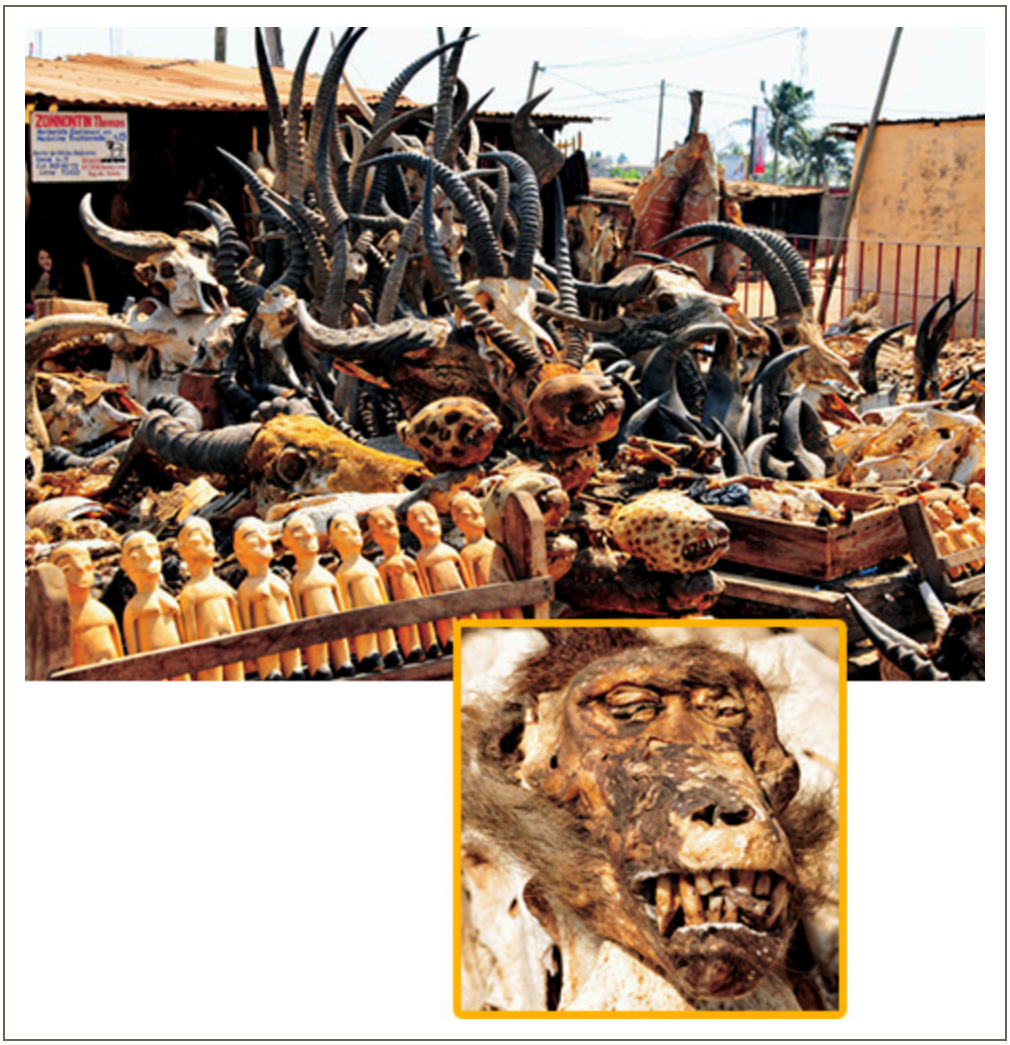

Czarownicy, krwawe ofiary i fetysze, jak choćby te z głów zabitych zwierząt, które można kupić niemal wszędzie, są czymś zwyczajnym w religiach animistycznych. Na zdjęciu: targ fetyszy w Lomé w Togo

Skutki takiego systemu wierzeń bywają zadziwiające, a niekiedy okrutne. Animiści unikają wychodzenia z domu w nocy, bo noc to pora duchów i nie należy im przeszkadzać. Nie wolno drażnić duchów przodków

na przykład poprzez traktowanie uprawianej ziemi jak własnej. Ta ziemia bowiem należy do przodków, a współcześni są tylko aktualnymi jej dzierżawcami. Nie można zatem tej ziemi sprzedawać. W ogóle należy dbać o to, by przodkowie się na nas nie pogniewali. Deszcz, susza, wichura, choroba traktowane są jako skutek gniewu przodków lub bóstw. Źródła nieszczęścia, choroby, złamania ręki czy nogi nie szuka się w obiektywnych zjawiskach, ale rozumie jako skutek działań duchów. Animiści nie zastanawiają się nad przyczyną choroby lub nieszczęścia, lecz nad tym, kto je spowodował. Jeśli potkniesz się na dziurawej drodze, to winna nie jest wcale ta dziura. Afrykanin szuka przyczyny w świecie niematerialnym i zastanawia się na przykład, czy to zły sąsiad nie wyprosił u „swoich" duchów tego nieszczęścia. Z pewnością tak. Trzeba więc dowiedzieć się, który to sąsiad. A gdy już wiadomo, należy się zemścić. Jeśli złamaliśmy rękę, należy i jemu złamać rękę. Jeśli zmarło nam dziecko, trzeba zabić jego dziecko. Jeśli matka zmarła podczas porodu, noworodek, który urodził się żywy, jest temu winien. Trzeba go pogrzebać żywcem. Złamana ręka czy noga nie zagoi się sama, jakiś duch lub bóstwo musi w tym pomóc. Najlepiej wtedy złapać psa lub kurczaka i złamać mu nogę. Jego duch wyzwoli siłę leczniczą, która pozwoli zrosnąć się naszej kończynie.

Czasem nie sposób poradzić sobie samemu. Wtedy należy udać się po radę do czarownika. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu czarownik plemienia mieszkał w osobnej chacie, na uroczystości wkładał stroje i maski. W Kongo, Kamerunie i Gabonie podobno wciąż istnieje tajny związek czarowników – Ngilów. Krzysztof Czyżewski opisał makabryczny ceremoniał przyjęcia nowicjusza do grona Ngilów sprzed kilkudziesięciu zaledwie lat. Odbywał się on w nocy, podczas pełni księżyca, na odludziu, z dala od wioski. Czarownik i nowicjusz ścinają drzewo na wysokość metra nad ziemią, a pień drążą i napełniają miazgą drzewną zmieszaną z żywicą.

Przed nocą do wioski schodzą się Ngile, a „upatrzoną ofiarę nowicjusz upaja odwarem dziko rosnącego haszyszu i na pół przytomną sprowadza do chaty czarownika. Stamtąd formuje się makabryczny pochód. Prowadzi go specjalnie przebrany czarownik. Twarz i tors ma pomalowane białą i czerwoną farbą – ochrą. Przywdziewa specjalny strój, luźno zwisające splecione włókna. Podczas rytualnego tańca wiją się one wokół ciała jak węże. Okrywa się skórą lamparta, a na twarz zakłada maskę i głowę przyozdabia pękami strusich piór. Za czarownikiem idzie nowicjusz, dalej pozostali członkowie prowadzą ofiarę, której również na twarz zakładają maskę, a nagie ciało okrywają skórą czarnej kozy. (…) Gdy pochód znajdzie się na miejscu przygotowanym do potwornej uroczystości, czarownik zajmuje miejsce w szałasie. Ofiarę poją specjalnym napojem neutralizującym działanie haszyszu i przywracającym pełną świadomość. Przeraźliwy krzyk rozpaczy nieszczęsnej ofiary jest hasłem do rozpoczęcia mrożącej krew w żyłach ceremonii. Przy dźwiękach tam-tamu rozpoczynają Ngile ponurą pieśń i przywiązują do pnia ściętego drzewa ofiarę w ten sposób, że silnie przechylona do tyłu głowa znajduje się nad wydrążeniem w pniu. Czarownik rozpoczyna taniec rytualny. Jeden ze starszych Ngilów wręcza nowicjuszowi nóż o specjalnie wygiętym ostrzu. Tam-tamy wybijają szalony rytm. Ngile podnoszą głosy i przy dźwiękach tej niesamowitej pieśni nowicjusz podchodzi do ofiarnego pnia. Na szyi ofiary nabrzmiały żyły. Cięcie nożem i do wgłębienia pnia tryska krew. Ofiara jednak żyje, a krzyk jej starają się zagłuszyć tam-tamy i śpiew. Krew wycieka i napełnia wgłębienie w pniu. Teraz podchodzi czarownik, przecina rzemień i odchyla głowę martwej już ofiary. Długą drewnianą łychą miesza krew z żywicą i miazgą drzewa, szepcząc jakąś szatańską modlitwę czy zaklęcia. Po chwili podnosi ręce do góry na znak, że ofiara została spełniona. Teraz obecni podnoszą piekielną wrzawę i wśród

radosnych okrzyków i dudnienia tam-tamów zbliżają się do ofiarnego pnia. Czarownik pierwszy podnosi do ust wielką łychę i wypija ohydną ciecz, po czym przywołuje nowicjusza. Kładzie obie ręce na jego ramionach i całuje w policzki, po czym kciuk prawej ręki zanurza w krwi sączącej się jeszcze z rany ofiary i robi na czole nowicjusza znak. Wszyscy obecni podnoszą ręce do góry i wrzaskiem obwieszczają o przyjęciu go do grona Ngilów. Nowo «pasowany» Ngil wypija podwójną porcję cieczy, a za nim, po kolei, wedle starszeństwa zbliżają się wszyscy uczestnicy sabatu i piją ciecz wymawiając słowo «ewalega», co znaczy: «i ja biorę udział» (…). Gdy ciecz z pnia zostaje wypita, Ngile odwiązują zwłoki ofiary i przewieszają przez pień. Nagromadzone za dnia suche gałęzie i drwa układają wokół pnia i czarownik podchodzi do stosu, trzymając w obu rękach gliniane naczynie z żarzącymi się węglami. Podkłada ogień. Stos płonie i języki ognia ogarniają zwłoki. Wytaczają naczynia z lokalnym piwem i alkoholem pędzonym z bananów. Zaczyna się makabryczna uczta ludożerców. Nowo kreowany na Ngila sam przewraca ciało swej ofiary i wreszcie «pieczeń» jest gotowa. Na rozłożonej macie układają zwłoki, na które rzucają się uczestnicy zbrojni w noże. Wycinają kawały ociekającego krwią mięsa i pożerają łapczywie. Zjadają wszystko, a resztki kości rzucają w ogień”[24].

Władze zaprzeczają istnieniu związku Ngilów, ale często same nie wiedzą, co dzieje się w głębi dżungli, a nawet jeśli wiedzą, to udają, że nie wiedzą i takie fakty ukrywają. Tak jak ukrywają mordy na albinosach oraz rytualne i ofiarne zabójstwa. Bo w Afryce wciąż składa się ofiary z ludzi. Wszyscy to wiedzą i się z tym nie kryją. A nawet potrafią o tym bez emocji opowiadać. Globtroterka Justyna Rybak relacjonuje z Burkina Faso: „Pytam o voodoo. Czy wierzą? Wszyscy w to wierzą, więc i on również.

– Mój wujek zabił swoją żonę – mówi Guerrier, jeden z lepszych bębniarzy z Burkina. Tylko dziwi, że to taka zwyczajna wypowiedź. – Był

ciężko chory, więc tylko poświęcenie kogoś w ofierze mogło go ocalić.

– I pomogło? – pytam.

– Oczywiście. To jasne. Wyzdrowiał.

Z kolei ojciec Thomasa po prostu był biedny. Wszystko się zmieniło, gdy zabił jedno ze swoich dzieci. Miał ich dużo. Aż siedmioro.

– A co na to policja? – moje kolejne naiwne, europejskie pytanie.

– Jak to co? Nic. Przecież tego nikt nie widzi. Zresztą policjanci też to robią. Każdy to robi, jak musi (…)”.

Podróżnik Michał Kozok pisze: „W Gabonie na dwa tygodnie przed wyborami dzieci nie puszcza się do szkół, a to dlatego, iż kandydaci na rządowe stołki, aby zapewnić sobie sukces podczas elekcji, zamawiają ofiary z ludzi. Jak policja znajdzie ciało z okrojonymi genitaliami, uszami i nosem – umorzy dochodzenie, bo można by dojść wysoko do polityków, a to niebezpieczne”.

Późnym wieczorem w klubie muzycznym w Bobo dosiada się do nas kilku miejscowych. Po trzecim piwie pytamy ich o voodoo, czary, czarowników i w końcu o składanie ofiar z ludzi.

– Mój krewny zabił swoją córkę – mówi bez większego skrępowania dwudziestoletni Sengbe. – Nie wiodło mu się, stracił pracę. A w nocy duchy go nawiedziły i kazały złożyć ofiarę. Więc zabił najbrzydszą córkę. Teraz ma pracę i powodzi mu się lepiej.

– Widziałeś kiedyś taką ofiarę?

– Nie, ale słyszałem o wielu.

Zastanawia się chwilę, a potem mówi:

– Jeśli chcecie, mogę was jutro zabrać do Świętych Stawów. Tam zobaczycie obrzęd krwawej ofiary. Nie, nie bójcie się, to nie będzie ofiara z ludzi. Nasz kapłan dopełni ofiary z koguta.

Zaczynam się bać. W kieszeni spodni mam składany nóż. Otwieram go dyskretnie.

– Idź wolniej i zostań z tyłu – mówię do Wandy, która maszeruje ostatnia. – Nie jestem pewien naszych przewodników.

Chyba zbyt pochopnie zgodziliśmy się wczoraj na wyprawę do Świętych Stawów. Nie znamy przecież ani Sengbe, który wczorajszego wieczoru w klubie muzycznym tak bez emocji mówił o zabijaniu ludzi, ani jego kolegi idącego na przedzie. Wyjechaliśmy z miasta przed godziną, dotarliśmy na rogatki, gdzie kończyła się droga, i stamtąd idziemy pieszo. Wokół ani żywego ducha, tylko sawanna, którą miejscami porasta gęsta roślinność. Sto kilometrów na południe zaczyna się przecież dżungla. Sengbe i jego kolega mówili, że pójdziemy pół godziny. Minęły trzy kwadranse, teren coraz bardziej bezludny, a celu nie widać. Nikomu nie powiedzieliśmy, dokąd i z kim poszliśmy, i gdyby coś nam się stało, nikt nie będzie wiedział, gdzie nas szukać. Sengbe mówi, że jesteśmy tuż-tuż, ale mija kolejny kwadrans, po nim następny, a Świętych Stawów jak nie było, tak nie ma. Pustka coraz większa, otoczenie jeszcze bardziej dzikie.

Wanda nie wierzy, że nasi przewodnicy oraz kapłan oczekujący przy Świętych Stawach to właśnie nas przeznaczą na krwawą ofiarę.

– Niemożliwe, przecież to cywilizowani ludzie. Nic nam nie zrobią. Po co zresztą kupowaliby kurczaka i piwo. Nie mamy czego się bać – mówi spokojnym głosem, ale minę ma nietęgą. A okolica z każdą chwilą robi się coraz bardziej niesamowita. Pojawiają się ściany i uskoki skalne. Schodzimy teraz w dół po skałach. Wokół gęsta roślinność, w dole widać rzeczkę. Jest dziko, pusto i strasznie.

– Jesteśmy na miejscu – mówi Sengbe. – Proszę, zachowajcie ciszę, zbliżamy się do świątyni.

Schodzimy po skalnych stopniach w dół, do rzeki. Idziemy teraz blisko siebie. Nagle kroczący przed nami Murzyni zatrzymują się, odwracają, a potem zbliżają do nas. Mocniej ściskam rękojeść noża w kieszeni. Jestem zdenerwowany, ale przygotowany do zadania ciosu. Najpierw uderzę kolegę Sengbe, który jest wyższy i silniejszy, a potem Bóg jeden wie… Sengbe podnosi koguta, a jego towarzysz polewa go śmierdzącym piwem z plastikowej butelki. Wylewa je powoli.

– Musimy go upoić – wyjaśnia Sengbe – żeby nie szarpał się przy ołtarzu.

Puszczam rękojeść noża i oddycham głęboko. Na ołtarzu ofiarnym złożony będzie kogut.

Widok w dole jest przepiękny. Bajeczne skały toną w bujnej zieleni, obok rzeczka wpada do zielonkawego stawu.

– Zdejmijcie obuwie – instruuje Sengbe – wchodzimy na teren świątyni.

Pod nogami zakrwawiona ziemia, oblepiona kurzymi piórami. Otoczenie tonie w białym pierzastym puchu, wygląda, jakby było pokryte zakrwawioną kołdrą śnieżną. Widać, że złożono tu w ofierze tysiące ptaków i zwierząt. Na gałęziach drzew i na rozciągniętych pomiędzy nimi sznurach wiszą skóry zdarte ze zwierząt zabitych na stosie ofiarnym. Tu i ówdzie walają się kości. Na kamieniu leży czaszka, małpia albo… ludzka. Wszędzie rozchodzi się okropny smród. Jest mistycznie i odrażająco. Po lepiącej się od krwi, moczu i odchodów zwierzęcych ziemi, zanurzeni w zakrwawionych piórach, zmierzamy na bosaka do ofiarnego stosu.

– Zatrzymajcie się tutaj – mówi cichym głosem Sengbe. – Nie wolno fotografować ani filmować.

Trzy metry z przodu, na niewielkim wzniesieniu pionowa skała wypłaszcza się, tworząc rodzaj stołu. To ołtarz ofiarny. Ponad nim powyginane w przedziwne kształty, poplątane ze sobą gałęzie drzew, z

których zwisają liany. Trudno o bardziej tajemnicze i mistyczne miejsce. Z zarośli wychodzi kapłan. Towarzyszy mu półnagi pomocnik. Stoimy stłoczeni wśród skał i opadających z nich roślin. Panuje cisza, przerywana jedynie szmerem przemykających wśród zieleni zwierząt i rzadkim świergotem ptaków. Kapłan wygląda na czterdziestolatka, jest chudy, niewysoki, ma zapadnięte policzki. Na biały T-shirt narzucił brudną beżową bluzę od dresu. W lewej dłoni trzyma trzydziestocentymetrowy nóż. Milczy. Pomocnik podaje mu odurzonego piwem koguta. Kapłan, trzymając koguta za nogi, głową w dół, pochyla się nad ołtarzem i coś szepcze. Jednym ruchem nacina tętnicę szyjną. Tryska krew. Zrywa ze wstrząsanego śmiertelnymi drgawkami koguta kilka piór i posypuje nimi zbryzgany krwią ołtarz. Potem wbija nóż w podbrzusze koguta. Ponownie tryska krew, a ptak przestaje trzepotać skrzydłami. Jest martwy. Krew z jego ran wciąż kapie na ołtarz. Sengbe i jego towarzysz z nabożeństwem wpatrują się w kapłana i jego ofiarę. Uroczystość przebiega w absolutnej ciszy. Nikt się nie odzywa. Kapłan odwraca się i podaje martwego koguta pomocnikowi.

Ofiara została spełniona.

W dole, kilkanaście metrów od ołtarza, pali się ognisko. Pomocnik kapłana zanosi tam koguta, wypruwa wnętrzności i razem z głową i nogami kładzie na ogniu. Po upieczeniu ofiarny kurczak zostanie zjedzony.

Ścieżką z kamiennych stopni schodzimy do stawu. Pływają tu sumy podobne do tych w rzece w Bobo, ale chyba jeszcze większe.

– Gara, gara, gara! – woła pomocnik kapłana i o dziwo sumy podpływają do brzegu. Są olbrzymie. Największy ma z półtora metra. Jak foki przemykają się po śliskich skałach, a pomocnik kapłana karmi je z ręki wnętrznościami koguta.

– To święte ryby – mówi.

Świętość tych ryb nie wynika z tego, że są bóstwami. Nikt się do nich nie modli. Są tylko częścią Świętych Stawów. Całe miejsce jest święte, więc ryby także. Nie wolno ich łowić ani jeść. Gdy zdechną, odprawia się, podobnie jak sumom w Bobo, uroczyste obrzędy pogrzebowe.

Sengbe i pomocnik kapłana wciąż droczą się z rybami.

– Gara, gara, gara! – wołają i gdy sumy podpływają do brzegu, zbliżają do ich paszcz jelita koguta. Gdy ryby próbują złapać pokarm, mężczyźni podnoszą go w górę. Sumy wspinają się po skałach coraz wyżej i wyżej. Ten obrazek jest zdumiewający – ryby wychodzące na brzeg i karmione z ręki jak pies to niespotykane zjawisko.

– Mięso już się chyba upiekło – mówi pomocnik kapłana i wraca do ogniska. Odcina głowę i łapy, po czym wraz z Sengbe i jego kolegą, we trójkę, zjadają półsurowe mięso. Popijają piwem z prosa, używając niewielkich tykw jak kufli.

Sengbe podnosi z ziemi odciętą nogę koguta, czyści ją i wkłada do niewielkiego skórzanego woreczka, który nosi na szyi. Ten woreczek nazywa się *grigri* i służy do przechowywania i noszenia fetyszy. *Grigri* są w tych okolicach tak popularne, że noszą je nawet muzułmanie – do środka wkładają wersety z Koranu. Sengbe jest animistą, więc zawsze ma przy sobie fetysz, czyli święty obiekt, który chroni przed złem. Fetyszem może być część zwierzęcia lub człowieka, przedmiot o niezwykłym kształcie, który jest darem boga, lub na przykład rzeźba przodka. Fetysz sam w sobie nie jest bóstwem, ale siedzibą mocy i siły nadanej mu przez bóstwa lub duchy.

– Ten mój nowy fetysz będzie mocny – mówi Sengbe. – Kapłan i bóstwa nadały mu siłę w obecności białych, niewierzących ludzi. Nadały mu większą moc, aby was przekonać. Masz, weź. – Podaje mi drugą łapę koguta. – Na pewno ochroni cię przed złem. Przekonasz się o tym nie raz.

[24] K. Czyżewski, W *afrykańskiej dżungli, buszu i pustyni*, Warszawa 1964.

Czarownik w drodze na ceremonię voodoo w Beninie

Misjonarze w szkółkach misyjnych, takich jak ta w okolicy Entebbe w Ugandzie, próbują wyplenić animizm i zastąpić go chrześcijaństwem

Rozdział 15

Pożegnanie Afryki

THE BUJAGALI CHAPATI COMPANY
IS THE BEST CHAPATI IN THE
HERE
THE BUJAGALI CHAPATI COMPANY
TEL 0774158346
THE BUJAGALI CHAPATI
COMPANY

Bamako

Taksówka zatrzymała się dokładnie przed wejściem do hotelu La Piroque. Pierwszy zorientował się Baaba, który w okamgnieniu doskoczył do auta. – *Vous êtes revenus a Bamako. Je suis très contentê*[25]— uśmiechnął się szeroko, złapał torbę i zaniósł na górę przed drzwi naszego pokoju. W recepcji powitał nas hotelowy boy Ifrah, który natychmiast wyjął z lodówki dwa piwa, oraz jego ciotka, właścicielka hotelu. Oboje ucieszyli się, a właścicielka obniżyła cenę pokoju o jedną trzecią. Wieczorem w sklepie spożywczym z naszego powrotu ucieszył się Daaku, ucieszyli się jego sąsiedzi oraz chłopcy ze sklepu meblowego oglądający mecz w telewizji i dzieciaki, które gremialnie odprowadziły nas do hotelu. Ucieszyli się wszyscy. To niewiarygodne, bo przecież spędziliśmy w tym hotelu raptem tydzień. Nie byliśmy specjalnie serdeczni, nie okazywaliśmy im jakiejś szczególnej sympatii. Prawdę mówiąc, szybko o nich zapomnieliśmy. A jednak przywitali nas tak, jakbyśmy byli ich najbliższymi przyjaciółmi. Jakże prostolinijni i życzliwi są ci Afrykanie, jak łatwo zyskać ich sympatię.

Podróż z Bobo-Dioulasso do Bamako zajęła dwa dni. Nocleg trafił się w Ségou, malijskim mieście, które chyba niewiele zmieniło się od czasów Mungo Parka. Nadal dominują tu gliniane, niekiedy piętrowe domy, czasem pobielane, nadal widać mauryjskie meczety, a większość ulic jest tak wąska, jak wtedy. Nadal też łódki wydrążone z dwóch bali, połączone nie bokami, lecz końcami, co czyni je dziwacznie długimi i wąskimi, przewożą ludzi, krowy i mniejsze zwierzęta przez rzekę. Gdzieniegdzie pojawiły się tylko asfaltowe ulice i stacje benzynowe. Większość z tych stacji to stół zbity z kilku desek, na którym stoją wypełnione benzyną i olejem różnej

wielkości plastikowe pojemniki oraz plastikowe i szklane butelki. Podjeżdża się do takiej stacji, płaci i bierze butelkę lub pojemnik z benzyną, część wlewa do baku, resztę zostawia na potem.

Droga z Ségou do Bamako jest dobra, asfaltowa. Można by szybko dotrzeć do stolicy, gdyby nie ogromny korek przed miastem. Zderzenie ciężarówek, katastrofa cysterny? Różne pomysły chodzą po głowie. Do chwili, gdy jeden z pasażerów informuje, że na rogatkach stoi policyjna bariera. Dwie i pół godziny później, więcej stojąc, niż jadąc, autobus zatrzymuje się przed barierą. Kierowca rejsowego autobusu wychodzi z wozu i na oczach pasażerów wręcza policjantom łapówkę. Teraz można jechać wprost do miasta. Z tyłu pozostają setki ciężarówek, autobusów i samochodów osobowych stojących na prawie dwudziestu kilometrach. Tak wygląda najdłuższy, jaki w życiu widziałem, zator samochodowy, spowodowany przez policję. A właściwie kolejka do wręczenia łapówki.

---

[25] *Vous êtes…* (franc.) – Wróciliście do Bamako. Bardzo się cieszę.

Stacja benzynowa w Ségou, jakich tysiące w Afryce

– Witajcie! – uśmiecha się radośnie żona siostrzeńca Xaviera. W ich domu została nasza druga torba. – Jak dobrze, że wróciliście zdrowi i cali. –

Poklepuje nas po plecach. Jest w dużo lepszej formie. Wyjeżdżając, zostawiliśmy jej kilka tabletek przeciw malarii i najwyraźniej pomogły. Kiedy wyzdrowiała, jej mąż pojechał do Kayes w interesach. Wróci za trzy dni. Szkoda, że go nie spotkamy, to miły człowiek, ale za dwa dni mamy samolot.

– Możemy odebrać torbę?

– Oczywiście. Jest nietknięta. Xavier! – woła – Xavier! Przyjechali nasi przyjaciele z Polski, trzeba oddać im bagaż.

Z sąsiedniego pomieszczenia wychodzi zaspany Xavier. Przeciera oczy, przeciąga się i uśmiecha złośliwie:

– Kogo widzę? Znów się spotykamy, a sądziliście pewnie, że się już nie zobaczymy. A tu niespodzianka, prawda?

Niespodzianka jest niemiła. Naprzeciw stoi przestępca, który handluje narkotykami i który namawiał Mammę do pozostawienia nas samych na Saharze. Nasz potencjalny zabójca w białych rękawiczkach.

– Nie oddam teraz torby – mówi Xavier. – Dostaniecie ją później.

– Kiedy?

– Wtedy, gdy uznam za stosowne.

Nie ma sensu robić awantury. W domu są tylko kobiety, żadna nie sprzeciwi się Xavierowi.

W drodze do hotelu Wanda zastanawia się głośno:

– Po co mu ta torba? Przecież tam jest tylko trochę ciuchów i pamiątki. Na co mu to?

Dwa dni później, godzinę przed odjazdem na lotnisko, dwie dziewczynki przynoszą torbę do hotelu.

– Xaviera nie ma w domu? – pytam.

– Jest, to on nas wysłał.

Torba wygląda na nienaruszoną. Wysypujemy zawartość na podłogę. Niczego nie brakuje. Wanda przepakowuje bagaże. Zaglądam do środka. Jest pusto. Wkładam rękę w boczną kieszeń i wyjmuję cztery małe plastikowe woreczki. W środku biały proszek. Narkotyki. Teraz wiadomo, po co Xavierowi potrzebna była torba. Liczył, że gdy dostarczy ją w ostatniej chwili, nie zdążymy jej sprawdzić. Policjanci na lotnisku zostali już pewnie poinformowani, że dwójka Polaków to przemytnicy narkotyków. Zamiast w Casablance mamy wylądować w malijskim więzieniu. Wanda jest zaskoczona. Dopiero teraz dowiaduje się, że historia z narkotykami zaczęła się na targu Marché Kemal, na drugi dzień po naszym przylocie do Dakaru.

– A to drań! – woła.

Mamy niewiele czasu. Jeszcze raz uważnie sprawdzamy torbę, wszystkie pamiątki i kieszenie ubrań. Jest czysto. Rozrywam woreczki, wysypuję zawartość do ubikacji i spuszczam wodę. Teraz woreczki lądują w muszli, woda wtłacza je do kanalizacji. Po narkotykach nie ma śladu. Z dołu słychać dźwięk klaksonu. To zamówiona taksówka. Kończymy pakowanie i zbiegamy na dół. Czekają tam już Ifrah, Baaba i cała gromada chłopaków. Z wszystkimi wypada się pożegnać.

– Wrócicie tu jeszcze? – pyta Baaba.

– Być może, być może, Baaba.

– Jak wrócicie, przyjedźcie tu. Na pewno mnie tutaj znajdziecie.

– Do widzenia – mówi ktoś z boku. Xavier stoi z założonymi rękoma i uśmiecha się ironicznie. – Życzę miłych wrażeń.

Samochód szybko gna pustymi nocą ulicami Bamako. Po półgodzinie widać już światła lotniska. Hala przylotów i odlotów to niewielki, zaniedbany barak z ogromnym plakatem informującym o planach budowy nowego portu lotniczego. Na obrazku wygląda ładnie, ale plakat wisi już

kilka lat, zdążył się zabrudzić i w kilku miejscach poodklejać, a nowego portu jak nie było, tak nie ma.

W hali nie ma żywego ducha.

– Sprawdź kieszenie! – proszę Wandę. Może Xavier w ostatniej chwili niezauważenie wsunął plastikowy woreczek. Ale nie, w kieszeniach są tylko nasze drobiazgi.

Barak wciąż jest pusty. Nie ma żadnej tablicy informacyjnej, napisu ani urzędnika. Żadne informacje nie są podawane z głośników. Zresztą głośników też nie widać. Okazuje się, że podróżnych wpuszcza się dopiero przed samą odprawą. Dlaczego jednak nie wyrzucają nas stąd? Wreszcie pojawia się pierwszy urzędnik, potem następny, celnicy i policjanci. Otwierają drzwi i wchodzą pasażerowie. Zaczyna się odprawa.

– Dokąd państwo lecą? – pyta starszy policjant przy policyjnej barierce, którą ustawiono przed stanowiskiem odpraw. Pyta, jakby samoloty tej nocy startowały z Bamako co dwie minuty. Tymczasem poza rejsem do Casablanki w ciągu najbliższych godzin nie ma żadnego lotu. Obok stoją dwaj cywile i przyglądają się nam uważnie. Nie ulega wątpliwości, że wiedzą.

– Do Casablanki – odpowiadam.

– A jaki był cel wizyty w Mali?

– Turystyczny.

– Wyłącznie turystyczny? – Policjant patrzy mi prosto w oczy.

– Oczywiście, wyłącznie turystyczny.

– Poproszę bagaż do kontroli.

Policjant poprawia mundur, bierze oddech i wkłada rękę w boczną kieszeń torby. Wkłada ją dokładnie tam, gdzie Xavier schował paczki z białym proszkiem. Widać, że wie, gdzie szukać. Ma pewną minę, wie, czego szuka i gdzie to jest. Uważnie grzebie w kieszeni. Najpierw z brzegu,

potem głębiej i jeszcze głębiej. I wciąż patrzy prosto w oczy, to moje, to Wandy. Z jego twarzy bije pewność siebie i przeświadczenie, że za chwilę osiągnie sukces i zasłuży na pochwałę przełożonych. A może nawet na nagrodę. Mija minuta, potem druga.

– Nic nie ma, pusto – mówi zaskoczony do stojących obok cywilów.

– Druga kieszeń! – rozkazuje cywil.

Policjant wsuwa rękę do kieszeni z drugiej strony torby. Szuka skrupulatnie, spokojnie maca centymetr po centymetrze. A potem coraz bardziej nerwowo. Na jego twarzy malują się zdziwienie, zakłopotanie i zawód, jakby nie mógł uwierzyć, że tego, czego poszukuje, nie ma, że sukces wymyka mu się z rąk.

Gdyby znalazł te narkotyki wrócilibyśmy do Polski w trumnach. Żaden biały nie przeżyje dziesięciu lat w malijskim więzieniu.

– Nie ma nic! – Patrzy bezradnie na wyższego cywila.

– Zejść na bok i otworzyć obie torby! – rozkazuje cywil. We dwójkę przetrząsają je dokładnie. Sprawdzają każdy zakamarek, każdą kieszeń ubrania, każde zgrubienie. A potem, w tej samej hali, gdzie na szczęście zostało niewielu podróżnych, przystępują do kontroli osobistej.

– Zdjąć buty, koszulę, spodnie, opróżnić kieszenie i wywinąć je na zewnątrz!

Możemy zaprotestować, ale lepiej nie kusić losu i udawać zdumionych. Wreszcie kończą rewizję.

– Macie coś do oclenia? – pytają.

– Nic.

– Przewozicie zakazane towary: broń, truciznę, narkotyki?

To dobry moment, by powiedzieć o Xavierze. Ale jeśli powiemy, nie wylecimy dzisiaj. Zaczną się przesłuchania, sprawdzanie. Niełatwo będzie udowodnić Xavierowi jego przestępstwo, jeśli nie znajdą przy nim

narkotyków. Z pewnością dobrze je schował. Nie wiadomo, czym skończy się ta afera i czy my nie będziemy jej ofiarami. To przecież Afryka, wszystko jest możliwe. Namiastki zachowania policji właśnie doświadczyliśmy. Nie, nie będziemy ryzykować.

– Oczywiście, że nie – mówię. – Przecież przed chwilą skontrolowaliście wszystko. Jesteśmy turystami.

– Do odprawy! – Starszy cywil wskazuje puste już stanowisko. – I lepiej tu nie wracajcie.

Osiem tysięcy metrów niżej trwa afrykańska noc. Śpią Allaye, Baaba, Mamma i Xavier. Śpi Afryka. Śpi głębokim, ale niespokojnym snem. Niepewna jutra, pełna obaw o każdy nadchodzący dzień. Pełna obaw, bo Afrykanie, choć biegają najszybciej na świecie, pozostają z tyłu, gdyż świat pędzi jak rakieta. Kiedy Afryka robi krok naprzód – inni robią dziesięć kroków.

Do coraz liczniejszych afrykańskich wiosek dociera już prąd elektryczny, ludzie kupują stare telewizory i używane lodówki. Na ekranach tych wyrzuconych z europejskich domów odbiorników oglądają lepszy świat, świat swoich marzeń, które nigdy się nie ziszczą, życie, którego nigdy nie zaznają. Oglądają filmy, w których podziwiają zamożnych i eleganckich ludzi w firmowych ciuchach, mieszkających w pięknych domach, obok których stoją wspaniałe samochody. A oni chodzą w podartych koszulach i spodniach, które sprytni kombinatorzy zebrali na europejskich śmietnikach i wysłali na afrykańskie bazary, jeżdżą czterdziestoletnimi samochodami, które cudem nie wylądowały na złomowiskach, mieszkają w norach, w warunkach poniżej ludzkiej godności. Spędzają w nich bezczynnie całe dnie, czasem znajdują dorywczą pracę i udaje im się coś zarobić. Wtedy idą na targ i najczęściej wydają

naraz wszystkie pieniądze. Jeśli wystarczy, kupują telefon komórkowy. Najstarsze, wycofane gdzie indziej modele, można kupić wszędzie. Afrykanie pokochali je całym sercem, ale rozmowy są diabelnie drogie. Bywa więc, że i dziecko ma „afrykański” model komórki, kolorowy, pełen zdobień, pozłotek i sreberek, ale to dziecko jest głodne. Natychmiast zje wszystko, co dostanie. A nawet gdy nie jest głodne, to zje na zapas.

Afrykanie emigrują ze wsi do miast, szukając lepszego życia, ale znajdują tylko slumsy w trzecim kręgu, na obrzeżach miast. Tam żyją w nędzy gorszej niż na wsi, z której wyemigrowali, ale powrotu już nie ma. Kobiety, jak dawniej, rodzą po kilkanaścioro dzieci, które kiedyś wychowywała wieś według odwiecznych reguł, a teraz wychowują slumsy bez żadnych zasad. Z dzieci wyrastają przestępcy, którzy stają się częścią przestępczej Afryki w skali dotąd niespotykanej. W lepszym przypadku dzieci przedmieść zostają ludźmi bez wykształcenia i bez zawodu, przez wiele lat są bezrobotni, a potem już niezdolni do żadnej pracy. Dzieci chcą się uczyć, ale nie wszędzie jest szkoła. Tam, gdzie jest, poziom nauczana pozostaje tragicznie niski. Ale i tak szczęściarzem jest ten, kto trafi do szkoły. Kiedy już trafi, musi mieć długopis. Ten długopis kosztuje zaledwie dwadzieścia centów, ale dwadzieścia centów trzeba mieć. A na wsi nie ma nawet sklepu, gdzie można go kupić. Dlatego afrykańskie dzieci zaraz po słodyczach najbardziej marzą o długopisie lub mazaku. Często żebrzą i tych żebraków, małych, ale i dorosłych, bo niektórym wchodzi to w krew, jest dziś więcej niż kiedykolwiek. Dzieciaki, które nie żebrzą, chwytają za rękę pierwszego napotkanego białego i nie pytając o zgodę, mianują się jego przewodnikiem. Potrafią godzinami tak „oprowadzać”, licząc, że dostaną cukierka, długopis lub dolara. A kiedy zaproponuje się im wykonanie drobnej usługi, nie potrafią wycenić jej wartości i żądają stu dolarów. Kiedy dorosną i cudem dostaną prawdziwą pracę, to trzeciego dnia nie przyjdą i

będą się tłumaczyć, że zapomnieli lub że bolał ich brzuch. Tracą tę pracę i znów są bezrobotni i biedni. Ich bieda jest czymś tak normalnym, że przestaje być powodem wstydu, a nawet staje się źródłem swoistej dumy: Jestem Afrykaninem, jestem biedny, a więc jestem normalny.

Afrykanie widzą, że świat pędzi i ucieka. Chcą postępu, marzą o nim, ale nie robią nic, by marzenia te urzeczywistniać. Nie potrafią i nie chcą pracować. Potrafią za to wspaniale marzyć i te marzenia zastępują Afrykanom prawdziwe życie. Kiedy zderzają się z rzeczywistością, pokornie akceptują realia, ale czasem wybuchają gniewem i obwiniają za swój los cały świat. Winią głównie białych, że zgotowali im najpierw niewolnictwo, potem kolonializm, a teraz zostawili samych. Oczekują pomocy, ale chcą ryby, a nie wędki. Chcą inwestycji, a świat u nich nie inwestuje. Zachodnie koncerny nie ryzykują, a jeśli już decydują się na inwestycje, to albo w pewny biznes, kierowany i obsługiwany całkowicie przez białych, jak Orange w Afryce Zachodniej, albo w wydobycie surowców, albo realizują programy pomocowe, ale wyłącznie wtedy, gdy są zabezpieczone gwarancjami zachod nich rządów. W efekcie Afryka, która jak łania dżdżu pragnie zachodnich produktów, otrzymuje chiński szmelc oraz plastikowe butelki, które ją zasypują i z którymi nie potrafi sobie poradzić. Cały kontynent jest zaśmiecony plastikowym szmelcem, miasta i wsie toną w plastikowych śmieciach jak nigdy przedtem i nikt nie wie, co z tym zrobić.

Afryka chce iść naprzód, ale nie wie jak. Patrzy rozpaczliwie na świat, ale świat jej nie pomaga. I nie pomoże. Świat żyje swoim życiem i swoimi problemami. Ma ich zbyt wiele, by zająć się Afryką. Nawet za bardzo się nią nie interesuje. Chyba że dzieje się tam coś, co zagraża jego stabilności. Gdy w Ruandzie trwała rzeź Tutsi, w telewizjach świata pokazywano migawki jak kawałki sensacyjnych filmów. Ponad miesiąc Hutu ścinali

maczetami Tutsi dzień w dzień, od rana do czwartej po popołudniu, jakby to była jakaś zwyczajna, codzienna praca i nie spotkało się to z żadną reakcją świata, poza banalnymi stwierdzeniami, że oto na naszych oczach dokonuje się okropny mord. A wystarczyłaby jedna kompania białych żołnierzy, by zakończyć masakrę. W Dolinie Omo, w Etiopii, uciekaliśmy przed powodzią. Zginęło w niej ponad siedemset osób. Po powrocie do Polski szukałem w gazetach informacji o tej tragedii. Znalazłem kilkuzdaniową wzmiankę. Gdyby w Europie lub USA zginęło siedemset osób, świat zatrząsłby się w posadach.

Afryka stoi nad przepaścią. A nawet nad wieloma przepaściami: demograficzną, ekonomiczną, żywnościową, ekologiczną i być może w efekcie – polityczną. Stoi nad tymi przepaściami i rozpaczliwe chce zrobić krok naprzód.

Świta. Na horyzoncie wschodzi czerwone słońce, którego promienie wpadają przez okienko samolotu. Oświetla coraz większe połacie ziemi. Nad Afryką budzi się nowy dzień. W dole piaski Sahary. Tajemnicze, wspaniałe i straszne. Tak jak tajemnicza, wspaniała i straszna jest Afryka. Gdzieś tam, daleko Allaye szuka nowych klientów i oczyma wyobraźni widzi, jak otwiera swoją restaurację, Mamma być może wyrusza do Kidal, za którym tak bardzo tęskni, Baaba spod hotelu La Piroque snuje niekończące się marzenia, a Xavier spotyka się z kolejnym dilerem narkotyków. Spróbują przeżyć ten dzień. Cała Afryka spróbuje przetrwać kolejny dzień. Jeszcze jeden, a potem jeszcze następny i następny. Dzień po dniu, wciąż od nowa. Bez celu, bez planów na jutro, bez nadziei.

Za godzinę samolot wyląduje w Casablance. Szybka przesiadka, kilka godzin lotu i Bruksela. Inny świat. Niby nasz, a jakby trochę obcy. Czyżby Afryka odcisnęła już swój ślad w naszych głowach? Ale to minie. Za kilka

dni z europejskiej perspektywy Afryka wyda się odległa, nieprawdziwa, nierzeczywista.

W słuchawce telefonu odzywa się Allaye:

– Nie tęsknicie troszkę za Afryką?

Niemowlęta mają fantastyczną
opiekę, dwadzieścia cztery
godziny na dobę spędzają z matką

Starsze dzieci chowają się
same, żebrzą i wałęsają
gromadnie całymi dniami

Sklepik w Burundi, w którym
można kupić karty do telefonów
komórkowych obdarzonych przez
Afrykanów gorącą miłością

Wielki Rów Afrykański – wciąż jeszcze bardzo piękna jest Afryka, zwłaszcza tam, gdzie nie dociera zachodnia cywilizacja

Copyright © by Tadeusz Biedzki, 2012

Redaktor prowadzący
Izabela Troinska

Redakcja
Karolina Pawlik

Projekt okładki
Paulina Radomska-Skierkowska

Zdjęcia
Bogusław Pasieczny, Halina Pasieczna, Wanda Biedzka

Zysk i S-ka Wydawnictwo i Tadeusz Biedzki dziękują Bogusławowi Pasiecznemu za udostępnienie zdjęć na potrzeby tej publikacji

Wydanie I

ISBN 978-83-7785-116-6

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

www.woblink.com